

W sztucznym świetle

Bałtyk

seria wydawnicza Marpressu

Dotychczas ukazały się:

- Dania** Tove Ditlevsen | *Ulica dzieciństwa*
tłum. Agata Lubowicka
- Merete Pryds Helle | *Piękno ludu*
tłum. Justyna Haber-Biały
- Estonia** Andrus Kivirähk | *Człowiek, który znał mowę węży*
tłum. Anna Michalczuk-Podlecki
- Finlandia** Juhani Karila | *Polowanie na małego szczupaka*
tłum. Sebastian Musielak
- Ulla-Lena Lundberg | *Lód*
tłum. Justyna Czechowska
- Islandia** Einar Kárason | *Trylogia reykjavicka*
tłum. Jacek Godek
- Litwa** Daina Opolskaitė | *Piramidy dni*
tłum. Kamil Pecela
- Niemcy** Deniz Ohde | *W sztucznym świetle*
tłum. Zofia Sucharska
- Norwegia** Klara Hveberg | *Oprzyj swoją samotność o moją*
tłum. Karolina Drozdowska

Wkrótce ukazą się:

- Dania** Kristian Bang Foss | *Śmierć jeździ audi*
tłum. Agata Lubowicka
- Estonia** Paavo Matsin | *Gogolowe disco*
tłum. Anna Michalczuk-Podlecki
- Łotwa** Janis Jonevs | *Jelgava '94*
tłum. Daniel Łubiński

Deniz Ohde

W SZTUCZNYM
ŚWIETLE

Z języka niemieckiego przetłumaczyła
Zofia Sucharska



MARPRESS
WYDAWNICTWO

Gdańsk 2022

Tytuł oryginału: *Streulicht*

Copyright © by Deniz Ohde

Copyright © for Polish translation by Zofia Sucharska

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Marpress, Gdańsk 2022

Copyright © by Suhrkamp Verlag Berlin 2020

All rights reserved by and controlled through Suhrkamp Verlag Berlin.

Wydanie I

EPUB 978-83-7528-272-6

MOBI 978-83-7528-273-3

PDF 978-83-7528-274-0

The translation funded by Berlin Senate Department for Culture and Europe



The translation of this book was supported by a grant from the Goethe-Institut



Fotografia autorki na okładce: PAP / DPA / Arne Dedert

Projekt okładki: Zuzanna Leśniak

Skład i łamanie: Adrian Partyka

Redakcja: Urszula Obara

Korekta: Anna Piwowarczyk

Redaktorka prowadząca: Urszula Obara

Redaktor naczelny: Fabian Cieślík

Wydawnictwo Marpress sp. z o.o., ul. Targ Rybny 10 B, 80-838 Gdańsk

tel. 58 301 47 00, redakcja@marpress.pl, www.marpress.pl

1

Tuż za wjazdem do naszej miejscowości zmienia się powietrze: ma w sobie coś kwaśnego, jest gęstsze, można by – jeśli otworzyć buzię – zacząć je żuć jak watę. Nikt z mieszkańców nie zwraca na to uwagi, a po kilku godzinach i ja będę myśleć, że to jedyna konsystencja, jaką może mieć powietrze, każda inna wydawałaby się obca. Przy tablicy z nazwą miejscowości zmieniam się także ja sama: moja twarz kamienieje i przyjmuje wyraz odziedziczony po tacie, wciąż towarzyszący mu na co dzień; wyraz wynikającej z lęku apatii, która ma sprawić, że nikt mnie nie zauważy. Granicę przekraczam na przystanku końcowym, autobusy zataczają tutaj pętlę, po czym podjeżdżają pod główną bramę cmentarza, gdzie kierowcy robią sobie przerwę. Tu zmienia się światło, skóra opina mi policzki niczym warstewka gliny i z każdym krokiem z ciemności wyłania się kolejna latarnia. Dachy jednorodzinnych szeregowców przy drodze, która prowadzi do Wielkiego Dębu, tak wyraźnie odcinają się na tle nieba, że widzę je nawet wtedy, gdy na chwilę zamknę oczy, jak po zbyt długim wpatrywaniu się w słońce. Kiedy dochodzę do drzewa, znów widzę normalnie; usiłuję nie skupić wzroku na dłużej na żadnym konkretnym punkcie, mimo że nikt na mnie nie patrzy, na ulicy nie ma nikogo, kto mógłby zwrócić uwagę na moje spojrzenia. Tylko

w pojedynczych oknach wciąż pali się światło, sylwetki poruszają się po pokojach, wstają z telewizyjnych foteli, przebierają się do snu albo wynoszą tace z kolacją. Mam wrażenie, że za każdą fasadą czai się śmierć, za ciemnymi oknami kryją się łóżka, w których dogorywają chorzy. Na ulicy panuje niemal całkowita cisza, tylko delikatne buczenie wypełnia miejscowość o każdej porze dnia, słychać je zwłaszcza w nocy. Biały szum dociera zza rzeki i mości się już w moim uchu, jednocześnie miękkie i szorstkie – uczucie podobne do dotyku dobrze znanej poszewki na skórze. To kolejna rzecz charakterystyczna dla tego miejsca, na którą już po kilku godzinach tak jak inni przestanę zwracać uwagę. Na ostatnim skrzyżowaniu przed domem jednak kogoś spotykam – ojca idącego za rękę z córeczką. Dziewczynka pod jedną z latarni dostrzega własny cień o rozmytych brzegach, rozkładający się półkuliście dookoła. Zabawa polega na tym, by go zdeptać. „Giń, cieniu!”, woła zachwycona, a ojciec uśmiecha się do mnie. Odważam się uśmiech i tylko czekam, aż skóra odkruszy mi się od policzków jak wysuszona ziemia.



Klucz bez trudu obraca się w zamku sfatygowanych drewnianych drzwi, które wydają ten sam odgłos co zawsze, jak wtedy, gdy wracałam ze szkoły po wuefie, pot skraplał mi się między łopatkami, a w kieszeniach plecaka tkwiły puste torebki śniadaniowe; teraz jednak jest ciemno. Włączam światło na klatce. Na pierwszym piętrze ktoś zgromadził przy drzwiach cały stos kartonów i koszy na drewno i wypełnił je ziemniakami i cebulą. Od zewnątrz w zamku tkwi klucz, masywny, metalowy klucz starego

typu. „Zamknij światło”, powtarzała zawsze mama, gdy wracałyśmy do domu, bo lampa na korytarzu nie wyłączała się automatycznie. „Zamykać światło”, tak to nazywała. Otwieram drzwi i zamykam światło. Uderza mnie zapach dymu papierosowego. W tym domu wszędzie go czuć, zawieszona w powietrzu mgła wciska się w każdą rysę; pościele, ręczniki i poduszki z kanapy regularnie wirują w pralce, obsypywane pachnącym proszkiem, jednak wystarczy tylko je wyjąć, a dym ponownie oblepia włókna. Nie bardzo pomaga to, że ojciec nauczył się zamykać drzwi kuchenne. Naciskam klamkę, trzeszczy drewniana framuga, w kuchni unosi się jeszcze więcej dymu, a tata siedzi na ławie, z radosną miną obraca głowę w moją stronę, aż pojawiaam się w polu jego widzenia, z plecakiem na ramionach, o który uderzają drzwi, bo nie da się ich otworzyć na oścież. Na blacie piętrzą się artykuły spożywcze, widzę niebieski plastikowy woreczek ze starym chlebem, ten nadmiar jedzenia i tanich mebli, niskie sufity, biel na ścianach, z biegiem lat poźółkła, stos programów telewizyjnych, podłogę z PCV przy kuchence i korkową w korytarzu, w kilku miejscach nadkruszoną; rozpoznaję wszystkie te rzeczy. Poplamiony obrus na stole do połowy zastawiony kubkami, stary termos z brzegiem oblepionym skorupą zastygłej kawy, na lodówce magnes producenta sera; dostaliśmy go z tatą w prezencie, gdy kupiliśmy to przecenione wino ryżowe, po którym wymiotowałam w nocy do sedesu. Czerwoną klamrę, która kiedyś służyła mamie do spinania włosów na karku, a teraz leży w koszu pełnym ulotek. Na klamce wisi duża papierowa torba na opakowania, zbierane aż do chwili, gdy przestają się w niej mieścić.

– No, jesteś! – mówi tata.

Przez chwilę skaczemy po tematach, jak tam podróż, czy nie zapomniałam drogi.

– Wszystko wygląda tak samo, prawda, nic się tutaj nie zmieniło – dodaje łobuzersko.

Odstawiam swoje rzeczy i dosiadam się do niego. Tata podaje mi herbatę.

– Tu wszystko po staremu – powtarza. – Poza tym, że jesteś już dorosła, a twoi przyjaciele biorą ślub. Niesamowite, prawda? Tak wszystko się zaczyna. Życie toczy się swoim torem.

Mówi dziwnie niskim głosem, w którym słychać zmęczenie, jak kiedyś w głosie dziadka.

– No ale oni akurat mieli się ku sobie od bardzo dawna. Prawdziwa miłość z piaskownicy. Takie rzeczy zdarzają się już tylko w filmach. Pikka i Sophia...

Rzuca puste spojrzenie, przytrzymując dłoń na uchwycie czajnika, który właśnie odstawił na miejsce.

– Widuję ich czasem w supermarkecie, prawdziwi z nich dorośli, Sophia jest taka elegancka, w białych bluzkach i spódnicach, ale taka była przecież od zawsze, jak na dziecko nawet trochę do przesady. Są ludzie, którzy przychodzą na świat jako dorośli. A Pikka... Pamiętam, jak za dzieciaka pobrudził spodnie na trawie i bał się, że mama się zezłości. Biedak zawsze był bliski płaczu. Spędzaliście dużo czasu na łące nad rzeką, tak jak trzeba: dzieci na świeżym powietrzu. Sam przynajmniej taki nie byłem i nie robiłem awantury o kilka plam. Tacy elegancy nie byliśmy nigdy. Na którą jutro?

– Na dwunastą – odpowiedziałam.

– No i tak...

Potem jak zawsze zaczyna mówić o połączeniach kolejowych i ruchu na autostradzie A66, o pogodzie,

która się zmieniła, i o tym, co leci w telewizji. Najbardziej lubi programy o przeszłości i wznowienia starych formatów: operę mydlaną *Przygody roku 1900*, dokument o życiu w średniowieczu *Anno 1476*, przeróbkę *Winnetou*, *Listę przebojów* z największymi hitami lat siedemdziesiątych. Obok na kuchennym stole leży miejscowa kronika, żmudnie spisana przez dzielnicowe towarzystwo historyczne. Wydrukowana na białym papierze do ksero w formacie A4 i zszyta, a w środku rozpixselowane odbitki czarno-białych zdjęć, w tym kobiet stojących w fartuchach przed domem. Zawsze powinno być tak, jak kiedyś.

Przez czterdzieści lat pracował w tej samej firmie, także i do tego tematu powraca nieustannie. Rozpiera go robotnicza duma połączona z przekorą i wyuczoną z konieczności arogancją (lekko unosi podbródek, o kilka milimetrów przymyka powieki, opuszcza przy tym ramiona); tata przez czterdzieści lat zanurzał w ługu aluminiową blachę, czterdzieści godzin w tygodniu.

Cechuje go też bezradność we wszystkim, co wykracza poza pracę.

Nie chodzi na msze, nie należy do żadnego klubu (ani do chóru męskiego „Fortuna”), nie wpuszcza nikogo do domu. Zapraszanie gości było czymś, czego nie znał i mi zabraniał, gdy jeszcze z nim mieszkaliśmy; goście oznaczali obcych, którzy chcieli wdrzeć się do naszej kryjówki, należało się przed nimi bronić, zamykając drzwi wejściowe na dwa razy i nie naprawiając zepsutych rolet, bo to nawet dobrze, że uniemożliwiały zajrzenie do pokojów. Tata schodzi czasem nad rzekę, obserwuje statki i odwraca się, gdy ktoś pojawi się w pobliżu. Z nikim się nie wita. Na cmentarz zawsze idzie tą samą drogą,

bocznymi ulicami, jak gdyby miał coś do ukrycia; nie wchodzi głównym wejściem przez kamienny łuk, lecz przez zieloną żelazną bramę, przeznaczoną tak naprawdę dla ogrodników. W zamian ludzie zostawiają go w spokoju. Kobieta ze sklepiku z prasą, gdzie wystawy nie zmieniano od dwudziestu lat (wyblakłe od słońca lalki i ułożone w krąg powieściadła) i gdzie tata kupuje lokalną gazetę, od samego początku nie była wobec niego zbyt wylewna, choć z innymi prowadzi długie rozmowy o wydarzeniach w okolicy. Sprzedawca w sklepie ze sprzętem do telewizji satelitarnej zbył ojca, gdy ten chciał zamówić fachowca do zmiany sygnału na cyfrowy – rzekomo z powodu zbyt dużego zainteresowania; z czego ten sklep jeszcze w ogóle się utrzymuje, pytał tata, przecież w dzisiejszych czasach ludzie zakładają sobie w domu internet sami. W małej firmie wykonującej konstrukcje stalowe odmówiono mu realizacji jego pomysłu na grób mamy, który polegał na wykuciu miniatURY ogrodowego płotu. Za każdym razem, gdy mija na schodach kartony i stosy papieru, podciąga szelki, a kiedyś po wejściu na górę, mawiał, że miejscowi znów dowiedli swojej głupoty. „Nie chcemy mieć z nimi do czynienia”, rzucał przepędniony nieufnością i choć nie miał na myśli nic konkretnego, podświadomie dawał wyraz swojej postawie, tak jak robi to także i dziś, gdy pyta mnie, c o t a k i e g o chcę robić po moich studiach. Kiedyś z kolei zwykł mówić: „P a t r z t y l k o, żebyś miała na chleb”. Nie rozumiałam go i długo t y l k o p a t r z y ł a m, podczas gdy nie działa się zupełnie nic, a w tle kopciły kominy parku przemysłowego.

2

Następnego popołudnia żegnam się z nim, wychodzę z domu i ruszam ulicą w stronę rzeki. Miejscowość znajduje się na wzniesieniu, które chroni ją przed zalaniem w przypadku powodzi. Na dalszym planie w niebo wybijają się trzy kominy spalarni odpadów, od najwyższego do najniższego, jak oznaczone zapalki. Dziś o poranku, gdy otworzyłam okno swojego dziecięcego pokoju i chciałam głęboko odetchnąć świeżym powietrzem, poczułam ostry smród odpadów komunalnych. Chodniki u podnóża pagórka są tak wąskie, że przestały spełniać swoją funkcję; po prawej wznosi się wysoki mur stadniny, po lewej płot wokół ogrodu przy domu wielorodzinnym, latem wypełnionego gąszczem ozdobnych kwiatów. Stojąc na wale przeciwpowodziowym, patrzę na rozległą, ośnieżoną łąkę i głazy, które ciągną się wzdłuż brzegu rzeki. Obok przepływa załadowany do pełna statek towarowy, głęboko zanurzony w wodzie. Powyżej rozciąga się most Fabryczny, przecięty wzdłuż wysokim płotem; z tyłu tory dla pociągów towarowych prowadzą do parku przemysłowego, a w stronę miejscowości biegną dwa szerokie pasy jezdni, które, choć przepisowo oznakowane, zastawiono słupkami i wykluczono z ruchu samochodowego. Po tym odcinku mogą się poruszać tylko piesi i roweryści. Mieszkańcy uznali ten dziwny most za symbol

miejsowości i po stronie zamkniętej dla aut odbywają swoje niedzielne spacer, spoglądając za poręcz, dziesięć metrów w dół, na brązowozieloną wodę. Most stanowi także granicę parku przemysłowego: po jego drugiej stronie zaczynają się tereny fabryczne, odgródzone murami i trzykrotnie większe niż sama miejscowość; należy do niego też odcinek rzeki, na który statki mogą dostać się wyłącznie przez śluzę. Zamiast kamiennych umocnień ciągnie się zardzewiałe nabrzeże przeładunkowe. Fabryki są ze sobą połączone systemem krętych ulic i własną komunikacją autobusową dla pracowników; naziemną siecią rur płyną gaz i ciecze, a latem ogromne zraszacze chronią góry węgla przed samozapłonem. W ciemności park przemysłowy żarzy się niczym wielki, osiadły na mieliźnie spodek; na nocnym niebie tworzy się pomarańczowo-biała łuna zasilana przez neonowe rury, które oświetlają wieże na wszystkich piętrach, oraz przez szczyty kominów, oznaczone z myślą o ruchu samolotowym, mimo że przestrzeń nad parkiem jest dla niego zamknięta, bo w przypadku katastrofy lotniczej istnieje ryzyko awarii chemicznej. Produkty uboczne reakcji uchodzą z kominów jako opary, które w świetle księżyca zyskują srebrne brzegi. Zdarza się, że sól powstająca przy produkcji chloru ulega w powietrzu krystalizacji i opada na dachy; wówczas właściciele samochodów dostają bon do myjni. Park każdego dnia wyrzuca w przestworza ogromne ilości pary wodnej, która przybiera postać śniegu przemysłowego i pokrywa białą warstwą naszą miejscowość jako jedyną w regionie. Granica opadu przebiega wokół niej jak od linijki, a śnieg ma inne właściwości niż zazwyczaj: jest gęstszy, bardziej kleisty i nasączony wodą, uparcie oblepia drzewa, latarnie i znaki drogowe.

Mijam wzgórze i idę dalej w prawo, wzdłuż nabrzeża, zostawiając park przemysłowy za sobą. Łąkę porastają krzaki jeżyn; ich ciąg przerywają stara, obmywana przez mętną wodę i porośnięta oślizgłym mchem przystań dla łódek oraz masywne filary mostu autostradowego. Wznoszą się tu pojedyncze, wątłe drzewa, a tam, gdzie rzeka zatacza łuk, rozciąga się sad. W miejscu, w którym zaczynają się ogródki działkowe, skręcam w połą drogę. Pomiędzy nimi znajduje się oczyszczalnia ścieków, za ogrodzeniem i żywopłotem buczą pracujące maszyny. Poletki układają się wokół potężnego słupa linii wysokiego napięcia, obok przelatuje stado kruków. Zatrzymuję się przed Srebrną Farmą.

O tym ogródku razem z Pikką i Sophią zwykliśmy opowiadać sobie straszne historie. O tym, że w nocy rozlega się tu psi skowyt, choć nie widać ani jednego psa, metaliczne szczekanie jak ze starego nagrania czy też, co zdawało się bardziej prawdopodobne, ze świata duchów. O tym, że czasami na szyldzie nad bramą do ogródka wisi kowbojski kapelusz, jakby odłożony tylko na chwilę, i że w krzakach coś szeleści. Pikka mawiał, że to może być tylko duch kowboja, ze względu na „farmę” w nazwie.

Z upływem lat zapomnieliśmy o Srebrnej Farmie i wszystkim tym, co znajduje się po drugiej stronie autostradowego mostu. Zamiast przesiadywać popołudniami za oczyszczalnią ścieków albo nad rzeką, zimy spędzaliśmy w piwnicy Pikki, otoczeni dymem sziszy (syntetyczny banan, truskawka lub mięta). Na ścianie wisiał plakat Rammsteina z napisem świecącym w ultrafiolecie, a z głośników płynęła nieustannie ta sama piosenka Black Sabbath: *Iron Man*. Dwie kanapy i fotele stały wokół niskiego stolika, na którym bulgotał brzuch

fajki wodnej; ściany były pobielone wapnem, na podłodze leżał dywan, a metalowy regał mieścił wieżę, stosik płyt CD, zapas pudełek z krakersami i grammi kościanymi oraz dodatkowe czyściki do fajki, należące do taty Pikki. Pikka organizował słynne imprezy, zapraszał na nie tylko wybranych znajomych ze swojego rocznika i dwójkę chłopaków z sąsiedztwa, którzy zawsze nosili te same wytarte czapki z daszkiem. Upierali się, żeby puszczać rap w ich wykonaniu. Gdy usłyszałam pierwsze słowa, zupełnie nie do rytmu, łudziłam się jeszcze, że to parodia, oni jednak ze śmiertelną powagą siedzieli rozparci na jednej z kanap, ze stopą na kolanie i czapeczką głęboko zsuniętą na twarz. To oni właśnie przynosili na imprezy tak zwany lejek i zmuszali wszystkich, by kładli się na podłozie, wkładali do ust końcówkę węża i dużymi łykami wtlaczali w siebie piwo wlewane przez czerwony ustnik. Jeden jedyny raz Sophia uległa ich namowom. Przez ułamek sekundy ukradkiem zatrzymali wzrok na jej białej, mieniającej się w ultrafiolecie koszulce, co oczywiście nie umknęło uwadze Sophii. Miałyśmy wrażenie, że spojrzenia te przeciągają się w nieskończoność i oblepiają nas niczym stare, klejące słodycze; nauczyłyśmy się sobie z nimi radzić, niepostrzeżenie obracać się, naciągać szalik pod szyję i przytrzymywać go jak osłonę przed zimnem. Sophia zgodziła się wypróbować lejek, więc tym razem zakrycie się nie wchodziło w grę; chciała przynależeć do grupy i wiedziała, jak osiągnąć swój cel. Spojrzała na Pikkę, który pochylony nad szklanym stolikiem wyszukiwał w pudełku ostatnie krakersy w kształcie rybek. Gdy podniósł głowę, zawołała:

– Ja też chcę spróbować!

– Tak jeeest! – ryknęły chłopaki, przyjmując pozę zawodników przed biegiem na pięćset metrów.

Sophia położyła się na dywanie i obciągnęła koszulkę. Mogli rozpoczynać zabawę. Zdołała wypić trzy, cztery duże łyki, aż ciśnienie wzrosło tak bardzo, że rurka wyslizgnęła się z jej ust i chlust piwa rozlał się po twarzy i dekolcie.

Chłopaki wydobyły z siebie pełen uznania okrzyk, po czym jeden z nich sprawnym ruchem przyciągnął wężyk i kciukiem zatkał jedną z końcówek. Gdy Sophia się podniosła, promieniała na całej twarzy. Trzęsąc się ze śmiechu, odgarnęła z oczu mokre kosmyki. Pikka poklepał ją po ramieniu i powiedział z uznaniem:

– Jak na pierwszy raz to całkiem niezłe!

W polu widzenia pojawiły się teraz chłopaki i kilka dziewczyn, które z obrzydzeniem spoglądały na kałużę piwa na podłodze. Sophia zniknęła z Pikką, a po chwili wróciła w mocno spranej koszulce z Black Sabbath, trzymając mokry top w dłoni.



To były wyjątkowe wieczory. Najczęściej spędzaliśmy je w piwnicy w trójkę, a czasem we czwórkę, kiedy dołączał do nas tata Pikki. Żona nie pozwalała mu palić fajki w mieszkaniu, więc zamiast wychodzić do ośnieżonego ogródka przychodził do nas. W rzeczywistości jednak siadał między nami, bo chciał pobyc w centrum uwagi. Tak naprawdę to on był tym prawdziwym Pikką – ksywka pochodziła od nazwiska, koledzy nadali mu ją jeszcze w młodości. Uwielbiał udzielać synowi rad: przed imprezą należy zjeść puszkę tuńczyka – wyłącznie takiego w oleju,

nie w wodzie – a już w jej trakcie co jakiś czas przegryzać słone paluszki; tylko w picciu dużej ilości wody nie widział za bardzo sensu. Do uprawianych w ogródku przez żonę warzyw i ziół, którymi pieczołowicie posypywała każdą sałatkę, podchodził z nieufnością. Codziennie musiała go nakłaniać do jakiegoś pożywnego posiłku, bo wszystkie produkty uchodzące za dobre dla zdrowia uznawał za fanaberie i jedzenie dla mięczaków; kiedy zaś wyjeżdżała gdzieś z kościelnym chórem, on zamiast rozmrozić przygotowany prowiant, przyrządzał zupę z wody i maggi.

Gdy tylko zasiadał między nami na sofie, do naszego Pikki zwracaliśmy się po imieniu.

– No, i jak się dziś miewamy? – pytał, zgrywając starszego pana.

Wyciągał z etui fajkę i nabijał ją fachowo metalowym ubijaczem.

– Po staremu – odpowiadał zmieszany Pikka, a my z Sophią sączyliśmy fluorescencyjny gin z tonikiem.

Choć nic nie wskazywało na to, że bierze swojego ojca za wzór, to od zawsze gorliwie dążył do realizacji tego samego modelu życia. Już wtedy, w wieku siedemnastu lat, postanowił, że na zawsze pozostanie w naszej miejscowości, na tej działce, tak jak uczynił to jego ojciec, który całe życie mieszkał w tym domu, po ślubie ściągnął żonę, zażyczył sobie największej sypialni i przegonił matkę na parter; obyło się bez protestów, bo był teraz głową rodziny. Następnie osuszył piwnicę i za tylną fasadą wzniósł dobudówkę z parkietem i dużymi oknami, żeby dzieci miały własne pokoje (starsza siostra Pikki wyprowadziła się na studia, po czym wróciła do miasta i zamieszkała z chłopakiem w szeregowcu nieopodal). Wkrótce potem awansował w firmie na stanowisko kierownicze (tak jak kiedyś

jego ojciec), dokupił oficynę i usunął płot rozdzielający ogródki. Oficynę wciąż zajmowała inna rodzina, której pewnego dnia zamierzał wypowiedzieć umowę; tam też miał wprowadzić się Pikka, po tym jak, podobnie jak jego siostra, przez chwilę pomieszka jako kawaler na strychu w domu, na tak zwanym „osiedlu pustelników”.

– Dojrzewająca na dębowym mchu – zauważył ojciec Pikki.

Nalał sobie whisky i postukał paznokciem w butelkę. Zwilżył usta, uniósł szklanekę i mrużąc oko, spojrzął przez szkło pod światło ultrafioletowe; napój, ciemny i przezrzysty, mienił się na niebiesko.

– Tak że tak – odetchnął głęboko i uśmiechnął się do mnie i do Sophii, dając nam do zrozumienia, że zna się na czymś lepiej od nas.

Złożyłam dłonie i zamilkłam, przyglądając się tarczy z rzutkami, która wisiała na ścianie po drugiej stronie pokoju, oświetlona ciepłym, białym światłem reflektora.

Nieważne, czy Pikka robił dużą imprezę, czy siedzieliśmy tylko w trójkę, w tle zawsze grało Black Sabbath. Płyta z największymi przebojami leciała na przemian z dwoma innymi w wieży z trzema kieszeniami na CD. Zazdrościłyśmy mu takiego sprzętu. *Has he lost his mind, can he see or is he blind – nobody wants him, he just stares at the world*, śpiewał Ozzy Osbourne w spokojne wieczory, puszczany cicho niczym utwór fortepianowy stanowiący oprawę wytwornej kolacji. Myślałam o zrogowaciałych dłoniach mojego taty, którymi zanurzał w ługu aluminiowe płyty, zamiast ultrafioletem oświetlony ostrym blaskiem jarzeniówek. Dzięki temu mógł dostrzec na blachach wszelkie nierówności.



Latem kupowaliśmy w supermarkecie sześciopaki piwa, szliśmy na most Fabryczny i siadaliśmy na stalowej barierze wzdłuż jezdni, spoglądając to na oświetlone fabryki z tyłu, to na ciemną wodę przed nami. Przed rozejściem się do domów zawsze robiliśmy jeszcze rundkę po miejscowości. Czasem darliśmy się przy tym wniebogłosy, a czasem jedynie tłumiliśmy chichot. Mijaliśmy miejską studnię i kościół, w którym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku na pastercie kobieta wysadziła się w powietrze. Następnego dnia po zdarzeniu gazety opublikowały zdjęcie samobójczyni w nadziei na ustalenie jej tożsamości. Pochyliliśmy głowy nad szarą, nieostrą fotografią zmarłej; od eksplozji jej oczy nabiegły krwią, miała stłuczoną od góry kość policzkową i krzywo opadający nos.

Wydawało mi się, że naszą miejscowość gdzieś w tle przepełnia napięcie, które nie było odczuwalne na co dzień. Mieszkańców otulała zieleń krajobrazu nadrzecznej łąki, na której od czasu do czasu, gdy wiało od wschodu, czuć było odór parku przemysłowego i gdyby się wsłuchać, dałoby się wychwycić dochodzące stamtąd przytłumione dźwięki; mech powoli wspinał się po pomoście, a krzaki jeżyn rosły co roku tylko o kilka centymetrów. Coś było na rzeczy, coś wzbierało w tle, by raz na dziesięć lat nagle wybuchnąć. Trudno stwierdzić, gdzie kumulowało się napięcie: na nadrzecznych łąkach, w którymś mieszkaniu czy może w nas samych; czy także ktoś z nas miał wkrótce podzielić los samobójczyni? Zastanawiałam się nad tym za każdym razem, gdy na spacerze z Pikką mijaliśmy kościół.

Oboje mieszkaliśmy tuż przy wzgórzu, więc końcówkę drogi pokonywaliśmy razem, środkiem głównej ulicy,

po której o tej porze nic już nie jeździło; stawialiśmy krok po kroku, wlepiając wzrok na przemian w czarny asfalt i białe oznakowania, a czasem, gdy niebo było bezchmurne, podnosząc oczy w stronę Wielkiego Wozu. Zastanawiałam się wówczas, co będzie z nami dalej; czułam podekscytowanie niczym główna bohaterka w filmie, w którym zaraz rozpocznie się akcja, z nadzieją patrzyłam w górę i znów przed siebie, na szereg niskich domów na skraju wąskiej ulicy. Wzgórza w nocy nie było widać, ale wiedzieliśmy, że tam jest, a po jego drugiej stronie płynie rzeka.

Mój wzrok padł na prostokąt na ścianie jednego z domów, gdzie brakowało farby, ślad po wiszącym kiedyś automacie z papierosami. Wszystko ulegało starzeniu się i rozpadowi, nic nie przemijało, nie umierało i nie zaczynało się od początku, nawet wtedy, gdy ktoś próbował używać siły; ani gdy wysadzał się w powietrze, ani gdy znikał w całkowitej ciszy.

– Kiedy stąd wyjadę... – mruknęłam pod nosem i celowo nie dokończyłam zdania.

Uśmiechnęłam się w oczekiwaniu, że pewnego dnia sceneria ulegnie zmianie niczym obrazek w plastiskopie, w miejsce którego po naciśnięciu guzika wskakuje kolejny. Czekałam, aż wzgórze zniknie i ustąpi miejsca rozległemu polu rzepaku, czteropasmowej ulicy, przejściu między wieżowcami, którym będę iść, aż dotrę do dzielnicy mieszkaniowej, gdzie zawsze jest ruch i w oknach palą się światła. Wypatrywałam, p a t r z y ł a m t y l k o, kiedy to się wydarzy.

Gdy wracaliśmy do domu, pytałam czasem Pikki, jak wyobraża sobie przyszłość, a w tonie mojego głosu słychać było, że liczę na zmyśloną opowieść. Pikka zaczynał

mówić o możliwościach, jakie oferują firmy w parku przemysłowym. Nie był jeszcze pewien, czy chce zostać laborantem chemicznym czy asystentem farmaceutycznym, czy może powinien pójść na studia połączone z praktyką zawodową, ale to oznaczałoby dojazdy na uczelnię trzy razy w tygodniu. Głośno zastanawiał się, którym pociągami jeździłby rano i wracał wieczorem (ten regionalny w tygodniu kursował częściej); mógłby dojeżdżać samochodem, ale tylko poza godzinami szczytu. Oczywiście było dla niego to, że zamieszka na „osiedlu pustelników” i w oficynie, oraz że wieczorami będzie robił grilla i spacerował po miejscowości. „Tak jak dziś, oczywiście z wami, z tobą”. Przepelniała go radość, a jednocześnie spokój, które w nim podziwiałam.

Gdy zapytałam, czy nie chce się stąd wyprowadzić, potrząsnął głową.

– Niby po co? – odparł. – Tutaj las mam na wyciągnięcie ręki, czterdzieści minut i jestem w centrum miasta. Tutaj mam wszystko.

Następnie wymienił jeszcze kilka plusów, które już znałam.



Dlaczego chciałam wyjechać? Czy był to zwykły młodzińczy zapał, głód wrażeń, czy chodziło o tę miejscowość, to specyficzne miejsce na ziemi, w którym powietrze ma inny smak, a śnieg inną konsystencję? O niewidzialną ścianę między mną a miasteczkiem, która musiała wiązać się z murami parku przemysłowego i granicą spadającego śniegu, nawet jeśli nie przebiegała idealnie wzdłuż ich linii? Ściany tej nie dostrzegali ani Sophia, ani Pikka,

ale sprawiała ona, że mimo usilnych starań nie pasowałam tu. Nawet picie na wyścigi nie mogło uczynić ze mnie jednej z nich. Później odbiegłam od tutejszej normy, bo nie wpisałam się w schemat, przez co wylądowałam na marginesie. Tak właśnie o mnie myśleli, gdy siedziałam w pociągu do miasta, wciśnięta między aktówki ludzi jadących do pracy.

– Pani jest studentką? – zapytał mnie któregoś razu jakiś mężczyzna.

 Nie, nie byłam studentką.

 Podnoszę wzrok na drewniany szyld Srebrnej Farny. Nie wisi aż tak wysoko, jak nam się wydawało w dzieciństwie.

3

Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty, moi rodzice zaczęli właśnie zrywać tapety w mieszkaniu na pierwszym piętrze, a ja przyglądałam się im, siedząc na parapecie. Robota trwała już wiele godzin, papier rwał się, odchodziły tylko strzępy. Tapety, starannie przyklejone kiedyś do tynku, przez dziesięciolecia mocno do niego przywarły, gdy jeszcze mieszkał tu dziadek. To tutaj wychowywał się tata. Cały ten czas tapeta pozostała ta sama, a brązowawe żłobienia tworzyły oprawę naszych sporadycznych odwiedzin, w trakcie których siedzieliśmy na ciężkiej szarej kanapie, na podgrzewaczu stał dzbanek z kawą, rodzice milczeli, dziadek kręcił kciukami, a pokój wypełniało słabe, ciepłe światło znajdującej się w kącie lampy. Tata ociężale i bez przekonania wyniósł się stąd siedem lat temu, gdy zamieszkaliśmy piętro wyżej. Od tamtego czasu nie zmieniło się tu nic. Gdyby nie mama, sami nie zdecydowaliby się na ten krok. Dziadek był takim samym typem człowieka co tata: nienawidził zmian, już samo mówienie o nich wzbudzało w nim wstręt. Kiedy mama przedstawiała swoje argumenty, siedzieli wściekli w milczeniu, zapadnięci w kanapę. Uzgodniła już wszystko z właścicielem mieszkania. Pół godziny zawzięcie świdrowała ich obu spojrzeniem i – w przeciwieństwie do tego, co zwykła robić w takich sytuacjach –

nie wyszła po prostu z pokoju, aż wreszcie udało jej się przerwać ich milczenie. Dziadek zgodził się przenieść do mieszkania na parterze, które właśnie się zwolniło.

Wąskimi schodami znieśli wszystkie jego meble; meblościankę, z której szuflad wydobywał się słodkawy zapach, masywną kanapę oraz stół. Niczego nie wolno było wyrzucić, żadnego obrusu, żadnego ręcznika, które piętrzyły się w skrytkach pod siedzeniami narożnej ławy. Na górze je wyjmowali, na dole wkładali z powrotem w ten sam sposób. Mama chciała jeszcze przejrzeć z dziadkiem pierwszy stos, ale przy każdej ścierce, którą opisywała mu z pytaniem, czy może ją wyrzucić, dziadek kręcił głową. W trakcie przeprowadzki przyglądał się jej uważnie albo przynajmniej wyteęzał wzrok, usiłując coś zobaczyć. Stał w korytarzu, by nie tarasować wejścia do swojego nowego mieszkania, i zaciskał powieki. Za każdym razem, kiedy rodzice coś wnosili, robił krok w ich stronę i otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wydawał żadnego dźwięku. Miał na sobie koszulę w paski – materiał znosił się tak bardzo, że prawie nie było już na nim widać wzoru – i powyciągane dresowe spodnie z plamami, których nie zauważył, bo dostrzegał już tylko zarysy. Wszedł za rodzicami do mieszkania i stanął tuż za nimi, gdy skręcali ławę w kuchni.

– Tylko żeby mi to zrobili porządnie.

Dwa pozostałe piętra były wtedy jeszcze zajęte. Na trzecim mieszkał mężczyzna z fryzurą na czeskiego piłkarza i dwoma pieskami, które nieustannie drapały w jego drzwi: od środka, kiedy chciały wyjść na dwór, i od zewnątrz, kiedy wracali ze spaceru, a szukanie klucza trwało zbyt długo. Zazwyczaj znikał w mieszkaniu tak szybko, jak to tylko możliwe, mówił niewiele i patrzył

pytającym wzrokiem przez grube szkła okularów, z trudem rozpoznając kogokolwiek. Uśmiechał się tylko do mamy, gdy wpadał na nią przypadkiem na klatce.

Na drugim piętrze mieszkała starsza pani, która swoje tłuste siwe kosmyki zwykła zaczesywać za uszy i podpinąć szerokimi spinkami. Uwielbiała pochyłać się nade mną i kościstymi palcami szczypać mnie w policzki. Po tym, jak przez nieuwagę kilkakrotnie wpadłam w jej ramiona na klatce schodowej, szybko nauczyłam się rozpoznawać jej kroki. Od tego czasu, gdy chciałam wyjść na podwórko, stawałam przy drzwiach naszego mieszkania i nasłuchiwałam. Była tak chuda, że drewniane stopnie ledwo co ugiwały się pod jej ciężarem. Chodziła wolno i ostrożnie, stawiała kroki lekko, prawie nie było ich słychać; zdradzały ją tylko suche dłonie, którymi chwytiała się balustrady. Przesuwała nimi z każdym krokiem i ten rytmiczny szelest starczej skóry na lakierowanym drewnie wołałam przeczekać za mlecznym szkłem, aby w ten sposób uniknąć bliskiego spotkania z kobietą o niebieskich wargach i nieprzyjemnym oddechu.



Naszym podwórkiem nikt nie zajmował się od lat. Wąski pas ziemi z wysokim drzewem po lewej stronie porastały chwasty. Prawa strona była wyłożona szarą kostką brukową, fugi pokrył zielony nalot. Mama zaczęła pielić kawałek po kawałku, szorować kamienie miotłą o grubym włosiu i mokrą szmatką czyścić meble ogrodowe, które przez lata stały w szopie. Śruby pokryła rdza, tak samo jak poręcz na wąskiej werandzie, należącej do mieszkania na parterze. Mama pomalowała balustradę pomarańczowym

roztworem zabezpieczającym przed rdzą. Postawiła obok dwa wyczyszczone krzesła ogrodowe i położyła dłoń dziadka na ich oparciach.

– Tu sobie będziesz mógł siedzieć – powiedziała.

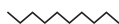
– No, niech będzie – odparł.

Pod oknem kuchennym rosła polna mięta, jedyne zielsko, które mama zostawiła w spokoju. Pod drzewem posiadała trawę, która w ciemnej, jałowej ziemi z trudem wypuściła korzonki; na podwyższonej grządce założyła staw. Kupiła w markecie budowlanym czarną plastikową wanienkę, której powyginane brzegi miały przypominać naturalny zbiornik wodny, i ustawiła pompę, by zapobiec powstawaniu glonów, na brzegu posadziła ciemnoлюбne rośliny bagienne. Godzinami kłęczała w ziemi, przez co poplamiała sobie spódnicę. Zanim zabrała się do pracy, podwinęła rękawy bawełnianej koszuli, a czarne włosy spięła na karku czerwoną kłamrą.

Kiedy razem ruszyliśmy schodami w górę do mieszkania, gdzie pomiędzy pasami tapety ojciec szlifował okienną ramę, spotkałyśmy starszą panią, która lekkimi krokami szła w naszym kierunku. Kobieta zatrzymała się na półpiętrze wyłożonym zielonym linoleum, pod ścianą, z której odpadał tynk, a następnie pochyliła się nade mną i stwierdziła:

– Urocze, doprawdy urocze z ciebie dziecko.

Usiłowałam odwrócić głowę, ale mama stanęła za mną. Jedną dłoń położyła mi na ramieniu, a drugą na plecach, po czym ścisnęła fałdkę skóry między łopatkami i obróciła ją między palcami na znak, że mam być uprzejma i się nie ruszać.



W przerwach od wrywania chwastów, szorowania, tapetowania i kładzenia podłóg tata wychodził na podwórko na papierosa, a mama gotowała dla dziadka kurę. Wstawiała ją na długo do piekarnika, by mięso całkowicie zmiękło, rwała na kawałeczki i układała na talerzu obok porcji ryżu, po czym całość owijała folią spożywczą. Gotowała też zupę ziemniaczaną z porem i marchewką, której dziadek jednak nie tolerował. Nie mówił jej o tym, tylko po kryjomu wymiotował do toalety. Mama zorientowała się dopiero po jakimś czasie. Tego dnia dziadek poszedł na jedną ze swoich wizyt do lekarza, a ona kręciła się po jego mieszkaniu. Postawiła sobie zadanie, że będzie tam sprzątać przynajmniej pobieżnie, by mieszkanie nie zarosło brudem jak to na pierwszym piętrze; by nie trzeba było później, tak jak na górze, szorować nawet drzwi, bo biały lakier pokryła żółtoszara warstwa, podobnie jak zakamarki pokoju, blat w kuchni i wnętrza wiszących szafek. Na koniec wypastowała kuchenną podłogę, która, wyłożona starym PCV, zamiast zalśnić, stała się niebezpiecznie śliska. Mieszkanie dziadka sprzątała w tajemnicy i pilnowała, żeby za toaletą nie gromadziły się kłęby kurzu. Na więcej dziadek jej nie pozwalał, bo nie chciał, żeby przesuwała jego rzeczy. Meble poustawiał identycznie jak piętro wyżej, przez co niektóre szafki stały ściśnięte obok siebie i mieściły się na styk tuż przy ramie drzwi. Szybko nauczył się poruszać po mieszkaniu, przeciągając dłońią po meblach, i wydeptał już sobie w dywanie ścieżkę, której mama pozbywała się, gdy starym, brzęczącym odkurzaczem zaczesywała włosie.

Mama dostrzegła plamy po zupie, gdy zmiotką sięgała za postument muszli klozetowej. Dziadek próbował zmyć bryzgi, które wylądowały obok toalety, ale ponieważ

nie widział wyraźnie, zamiast tego rozsmarował je na desce. Związała włosy, założyła jednorazowe rękawiczki i napuściła do wiadra ciepłej wody z mydłem. Dziadkowi nie wspomniała o tym ani słowem, tylko przestała dodawać do zupy problematyczne warzywa.



– Czy mógłby pan nam pomóc?

Mama wyczekiwała, aż sąsiad z fryzurą na czeskiego piłkarza wróci do domu. Zdążył już wsadzić klucz do zamka, gdy z uśmiechem obrócił się do mamy. Psy u jego nóg drapały energicznie o drzwi, a ponieważ zwlekał z ich otwarciem, zaczęły ujadać i kręcić się wokół własnej osi. Chodziło o ciężki kredens, jedyny mebel, który dziadek pozostawił rodzicom i którego w dwójkę nie dało się odsunąć od ściany. Psy spojrzały nieco zdezorientowane, jak ich pan wyciąga klucz z zamka i obraca się, po czym ruszyły za nim, z wysiłkiem zeskakując ze stopnia na stopień i stukając pazurami, a ich jasnoszare futerko wzniecało drobny pył z lakieru i drewna, który roznosił się po całym domu, od kiedy rodzice zaczęli szlifować okna.

Psy siedziały u moich stóp, gdy rodzice z sąsiadem przesuwali dłońmi po meblu ze wszystkich stron, upewniając się, że kredens w ogóle wytrzyma podniesienie, po czym chwycili go pod wystającym blatem. Cokół poderwał się z podłogi, ukazując na parkiecie grube, podłużne wałki kurzu. Pochyliłam się do mniejszego z psów, który położył mi łeb na stopie, i pogłaskałam go, raz, dwa, aż wydał z siebie odgłos przypominający kocie mruczenie. Miałam wrażenie, że mój dotyk sprawia mu przyjemność, więc głaskałam go dalej, szybciej i bardziej zamaszycie.

Mruczał coraz głośniej, pochyliłam się jeszcze niżej i spjrzałam mu prosto w oczy. Nagle wystrzelił przed siebie z rozdziawionym pyskiem i wgrzył się w mój lewy policzek. Wydałam przenikliwy okrzyk, rodzicom i sąsiadowi kredens wysunął się z rąk, brzęknęło szkło w drzwiczkach i cały dom zachwiał się w posadach. Pies wycofał się dopiero wtedy, gdy jego pan zrobił kilka kroków w naszą stronę i wykrzyknął coś niezrozumiałego. Mężczyzna zamarł w bezruchu pośrodku pokoju i przez grube szkła okularów spoglądał to na mnie, to na psy.



– Nie będzie piekło, to produkt dla dzieci – uspokajał lekarz, trzymając mój podbródek między kciukiem a palcem wskazującym. Drugą ręką nakładał mi pod okiem różową maść. – Raczej nie będzie śladu, rany u dzieci szybko się goją – dodał, obracając się w stronę rodziców.

Gdy wracaliśmy z pogotowia do domu, trzymałam się z tyłu oparcia kierowcy.

– Już za chwilę znów będzie się śmiać, już za chwilę – powtarzał tata.

Mijaliśmy kominy w parku przemysłowym, w rzece za mostem połyskiwały światła, a w przedniej szybie odbijały się rozmyte twarze rodziców, którzy uśmiechali się z ulgą.



O tej porze niebo uparcie zasłaniały szare chmury, a wiatr nie był ani zimny, ani ciepły. Łagodne podmuchy muskały mi policzki i ucichły, gdy wspięłam się na taboret

i wysunęłam głowę przez okno. Latarnia koło domu zapalała się, gdy tylko światło dnia zabarwiało się na niebiesko. Nad murami otaczającymi podwórka widziałam w oddali startujące samoloty i słup elektryczny pomiędzy ogródkami działkowymi, a gdy wiało od strony parku przemysłowego, słychać było buczenie maszyn oraz szum rzeki i oczyszczalni ścieków. W mieszkaniu pachniało tapetą, która po spryskaniu wodą zmiękła i wreszcie zaczęła odchodzić od ściany, a także odsłaniającym się wilgotnym tynkiem. Mama kuciała w rogu salonu i cierpliwie odrywała strzępy z brzegu listwy przy podłodze. W odbiciu okiennej szyby wpatrywałam się w biały plaster pod oknem. Wówczas tata wypowiedział zdanie, które pamiętam do dziś. Jeszcze nie osiwiiał, jedynie nad skroniami pojawiło mu się kilka pierwszych srebrnych włosów, które wciąż nadawały mu młodzieńczy wygląd; jego wąsik zdążył się przebarwić od nikotyny, a z powodu remontu na głowie miał czapkę z daszkiem. Zdanie to powiedział do mamy, nawet na nią nie patrząc, bo akurat zauważył pas, który niemalże w całości odchodził od tynku.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że będą nas tu nieustannie obserwować.

Mama, która wciąż kuciała w kącie, na chwilę przerwała pracę, spojrzała na swoje dłonie i stosik papieru na podłodze. Minęła sekunda, dwie. Następnie odparła:

– Tak, wiem.

Pikka, Sophia i ja mieliśmy zakaz wchodzenia do niektórych miejsc. Dotyczył on przede wszystkim mieszkania dziadka, a zaraz po tym sypialni rodziców, w której mama ukrywała wszystko, czego tata nie chciał wyrzucać; wystarczyło mu, że rzeczy wciąż są gdzieś w pobliżu. Mama wstydziła się starych ręczników, elektroniki, która miała nie przydać się już do niczego, zbieranych w młodości zabawkowych samochodów, które wciąż kupował, gdy trafił gdzieś na promocję. Usiłowała zapanować nad chaosem, rozdzielając rzeczy do przezroczystych plastikowych skrzynek, oznaczonych samoprzylepnymi karteczkami, jednak nieustannie dochodziły do nich nowe kategorie. W regale kupionym specjalnie w tym celu zaczynało już brakować miejsca, więc przedmioty znów łądowały nieuporządkowane w szafkach. I tak nie było takiej rzeczy, której tata kiedykolwiek by szukał.

– Nie wchodźcie tam – szeptała mi do ucha, tak by Pikka i Sophia nie usłyszeli, i specjalnie ściągała z klamki koszule, żeby móc domknąć drzwi.

Sophia zapytała, dlaczego moja mama zawsze w takim pośpiechu znika w uchylonych drzwiach.

– To prywatny pokój – wyjaśniłam.

Przytaknęła ze zrozumieniem; chyba myślała, że po drugiej stronie zamiast skrzynek ze śmieciami leżą szlaf-roki i wyprasowana pościel.

Tatę ogarniał niepokój, gdy raz w tygodniu nie poszedł na zakupy, a mama darowała już sobie przekonywanie, że ona się tym zajmie. Robił się nerwowy, gdy szafki były puste, rozglądał się dookoła, jakby w obawie, że ściany zaraz się zawałą. „A co z chlebem?” – pytanie to brzmiało płacząco, jak wyrzut dziecka, i nie miało znaczenia, czy chleb faktycznie się skończył. Tata stawał przed towarami wyłożonymi w hipermarkecie i uważnie oglądał łazienkowe dywaniki, sprzedawane za bezcen książki czy przybory kuchenne. Na stoisku mięsnym kupował mortadelę, kaszankę i pasztet warzywny, zawsze zaznaczając, że „może pani dać ciut więcej”. W drodze do kasy szedł alejką z przecenionymi ozdobami świątecznymi i wkładał do wózka przedmioty w rodzaju porcelanowego łoża (tylko za euro) i trójpaku świec, a w dziale z odzieżą zdejmował z wieszaka swetry i przykładał je do mnie, uznając, że będzie pasować. Na jego twarzy cały czas malowało się cierpienie, na które zdawał się nie mieć wpływu. Z czeluści pojemników z przecenionymi produktami wyciągał połamane rzeczy, w najdalszym kącie regału był w stanie wypatrzeć zepsute towary; długo trzymał je w dłoniach, po czym wkładał do wózka, niby chcąc je uratować, pomóc im, gdy tylko przyniesie je do domu i zawinie w koc jak małe żyjątko. W rzeczywistości jednak nigdy niczego nie zawijał ani nie sklejał i większość rzeczy pokrywała się kurzem wkrótce po tym, gdy wyciągnął je z siatek. Mama potajemnie znosiła część z nich do piwnicy, ale zaczynało brakować tam miejsca

przez przedmioty, których najpierw dziadek, a potem tata nie mieli serca się pozbyć. Plan piwnicy przypominał kolejne mieszkanie w budynku: korytarz i oddzielne pomieszczenia, tylko ściany oraz podłoga były wyłożone wilgotnym kamieniem i pokryte grubą, ciemnobrązową warstwą brudu – węgla, kurzu i wiórów. Jedną z komórek po sufit wypełniało drewno, którym kiedyś palono w piecu, a teraz załęgły się w niej myszy, w kolejnej piętrzyły się pożółkłe kartony po napojach, a w jeszcze innej, do której wchodziło się przez pancerne drzwi z czasów wojny, stały trzy stare grzejniki.

– Sprzedam je na skupie złomu – powtarzał tata za każdym razem, kiedy mama sugerowała, żeby je wyrzucić.

W starych pudłach po proszku leżały sukienki dla lalek, a na regale stały stare łyżwy taty. Mama stopniowo donosiła nowe nabytki, pojedyncze modele traktorów i ciężarówek – tata nigdy tego nie zauważył – i wkrótce taki sam los miał spotkać także łosia.

Żywność tata trzymał w wysokiej kuchennej szafce skrzypiącej przy otwieraniu. W fornirowanym froncie zostały dwie dziurki po uchwycie, który odpadł; tata, choć kupił nowy, to jeszcze go nie przymocował. Pociągał od góry za róg drzwiczek, czubkiem buta stukając w dolną ramę, pod podeszwą chrzęściły mu okruchy zmieszane z kurzem. Przesuwał opakowania kaszy manny i bułki tartej owinięte foliową siatką, słoiki z wiśniami i ogórkami; po wewnętrznej stronie drzwiczek wisiał lepki kawałek kartonu, pokryty jasnobrązowymi, pudrowymi molami spożywczymi.

W tamtym czasie byliśmy z Sophią przekonane, że możemy nauczyć się latać. Dostałyśmy kompletnego fioła na punkcie wampirów, czarownic i duchów. Sophia

miała do zabawy figurkę czarodziejki Bibi Blocksberg, którą nieustannie nosiła na szyi w jaskrawożółtej szaszetce, a ja Kaczora Donalda z jajka niespodzianki; wyobrażałam sobie, że on też ma magiczne moce. Pikka nic nie robił sobie z naszych zachwyków i gdy bawiłyśmy się figurkami, znudzony tylko potrząsał głową.

Większość czasu spędzałyśmy na podwórku na bazaraniu kredą po szopie, obserwowaniu mrówczych ścieżek na ziemi i chowaniu się za drzewem w miejscu, gdzie nic nie rośnie, bo nie docierało tam słońce; podeszwy naszych butów zapadały się w warstwie czarnej ziemi, podczas gdy komary siekały nam ramiona. U mnie w domu nie działo się nic ciekawego, a w kuchni nie mieliśmy ulubionych słodczy Sophie i Pikki (tylko twardą gumę do żucia, schowaną na górze w kuchennej szafce). Na podwórku nie było huśtawki ani niczego innego do zabawy, więc nasza rozrywka ograniczała się głównie do odbijania kauczukowej piłeczki.

– Gdy pójdziemy do szkoły – mówiła Sophia, a miało to nastąpić za kilka tygodni, przy czym tygodnie były czymś, czego nie byłam w stanie pojąć – będę potrafiła już trochę pisać.

Jej mama uczyła ją pojedynczych słów. Gdy poprosiłam o to samo moją mamę, usłyszałam, że później na lekcji będę się nudzić. Przeliterowała tylko moje imię, które poza domem brzmiało inaczej; wymówiła drętwo długie „i”, dbając o to, żeby nikt nie wysnuł żadnych podejrzeń.

– To jest z Turcji? – zapytała Sophia, gdy szłyśmy klatką schodową. Wskazała na gobelin, który mama powiesiła w nieotynkowanym miejscu na ścianie obok drzwi do mieszkania dziadka, i zamiast „cji” powiedziała

„ci” – „Turci” – jak gdyby wymówienie tego słowa mogło zostawić na niej skazę.



Na huśtawkach nad rzeką godzinami próbowaliśmy rozbijać się jak najmocniej i w najwyższym punkcie zeskakowałyśmy w nadziei, że uda się przedłużyć tę krótką chwilę w powietrzu. Pikka obserwował nas, stojąc nieco z boku, oparty o szczeble drabinki, z rękoma w kieszeniach.

– Latania nie można się nauczyć – zawołał w naszą stronę. – Albo umiesz latać, albo nie!

Sophia odparła, że kilkakrotnie prawie jej się to udało, na zajęciach z wołyżerki w hali jezdzieckiej na wzgórzu; stanęła wówczas na grzbiecie konia, trzymając się uchwytów białego siodła, które powoli puściła, po czym wyciągnęła ramiona na boki, idealnie w rytmie galopu.

Podeszwy naszych butów uderzyły o gruby żwir, którym usypana była ziemia pod huśtawkami, i pobiegłyśmy piaszczystą drogą aż do pachółków przed barem „U Conny’ego”. Już wczesnym popołudniem na rogu wystawali przed nim starsi mężczyźni w za dużych kurtkach, noszonych także latem. Przy wysokich stołach popijali na przemian piwo i wódkę, zapach tanich papierosów otaczał ich gęstą chmurą, a chwilę nieuwagi można było przypłacić jakimś tekstem z ich strony. Teraz, w porze obiadowej, knajpa była zamknięta, a opuszczona brązowa roleta wydeła się na zewnątrz, jakby pod naporem kogoś, kto przygarbiony oparł się o nią.

– To co, ryzyk fizyk? – zapytał mnie Pikka szeptem.

W ten sposób rzucił wyzwanie: kto odważy się wcisnąć wypukłość z powrotem, być może budząc pijanego gościa,

który, jak to sobie wyobrażaliśmy, zasnął i osunął się na żaluzję. Wspólnie oparliśmy dłonie o twarde wybrzuszenie, po czym rzuciliśmy się do ucieczki w górę ulicy, tracąc dech i pękając ze śmiechu. Biegliśmy w stronę wzgórza i dalej wzdłuż rzeki przez łąkę, ale zawsze w bezpiecznej odległości od wody, tak jak nakazywali nam dorośli. Gdy nadpływały duże frachtowce, fale wzburzone przez ich dzioby uderzały o głązy i nabierały rozpędu, gdy zaś statki były już daleko po drugiej stronie śluzy, woda rozbryzgiwała się po całym nabrzeżu. Uciekaliśmy z piskiem przed fontannami i machaliśmy do ludzi na mijających nas rozpędzonych motorówkach, tak szybkich, że wyglądały, jakby unosiły się nad powierzchnią. Wzburzone przez nie fale tylko pluskały cicho między kamieniami.

Zarośnięta ścieżka, która biegła pod drzewami od placu zabaw równoległe do wjazdu na most, prowadziła do domu Sophii. Znajdował się on na końcu ulicy objętej strefą zamieszkania, na której panował niewielki ruch. Domy jednorodzinne stały w bezpiecznych odstępach jeden obok drugiego, granice ogródków wyznaczały krzewy, drzewka ozdobne i owocowe oraz garażowe wiaty. Dom Sophii był pobielony wapnem, a okna miały jaskrawoczerwone ramy. Po cichu zeszła mama Sophii. Przy każdym kroku wyćwiczonym ruchem wysuwała do przodu szerokie biodra, które, mimo miękkości, zdradzały życiową nieustępliwość: wieczorne treningi siatkówki, które weszły jej w nawyk już krótko po skończeniu dwudziestu lat, jak również zamiłowanie do ciemnego pieczywa. Tego dnia założyła wełniany melanzowy sweter i okulary z czerwonymi metalowymi zausznikami, dwoma cienkimi mostkami u nasady nosa i szklami bez oprawek. Rzadką blond grzywkę suszyła na okrągłej

szczotce, końcówki włosów dotykały brwi, a gdy obracała głowę, potrząsała pasemkami w tę i z powrotem. Na półpiętrze w kącie stała szklana misa z pływającymi świeczkami; przechodząc obok, rzuciła w ich stronę bawcowe spojrzenie.

W łazience znajdowały się dwie umywalki. Po stronie mamy stało mydło w dozowniku ze szkła i stali nierdzewnej i nic poza tym, do ściany było przymocowane dodatkowe lustro powiększające. Całą resztę mama Sophii trzymała w szufladach poniżej, ich zawartość porządkowały płaskie plastikowe pojemniki. Szczoteczkę odkładała do podłużnej przegródki, a obok, do kolejnego pojemnika, krem na dzień i na noc, nić dentystyczną, waciki i mleczko do demakijażu tej samej marki co kremy. Na samej górze przechowywała kosmetyki do makijażu. Szminki w czarnych opakowaniach ze złotym brzeżkiem, wytartych i nieco porysowanych od kluczy w torebkach, do których wrzucała je w ciągu dnia. Wszystkie miały takie same ślady zużycia: zakończony ostro i wyglądający na kruchy koniuszek, bo zwykła wsuwać go w zaciśnięte usta i malować jednocześnie dolną i górną wargę. Jasno-beżowe sprasowane pudry z prześwitującym już metalowym dnem. Palety cieni do powiek, spośród których najbardziej zużyte były jasny i ciemny brąz, niebieskim malowała się sporadycznie; lśniące metalicznie tubki, wyciśnięte do połowy, których przeznaczenia nie potrafiłam odgadnąć. Z tego wszystkiego biła siła i kobiecość, z szuflady z kosmetykami i skórzanych torebek, noszonych zimą kozaków, zapewne wyciągniętych z namysłem z regału popularnego sklepu obuwniczego, którego jako jedyna nie znałam; klasyczne kozaki na obcasie, w których wydawała się jeszcze wyższa, nie wpływały na jej

sposób chodzenia, wciąż z takim samym skupieniem wysuwała biodra do przodu. Para tych butów sprawiła, że została przyjęta w szeregi mieszczańskiego życia, które cechowało kilka pokoleniowych osobliwości: zdobyła kwalifikacje do pracy w banku, a ta wymagała noszenia jedwabnej apaszki i muskania palcami wilgotnej pomarańczowej poduszeczki przed przeliczeniem banknotów; ludzie, którzy stali za szybą przed okienkiem, wpatrywali się w nią, traktując ją jak kogoś poważnego, kogoś, komu można zaufać w kwestiach związanych z finansami. „Wtedy, w banku...”, zaczynała czasem zdanie i kończyła je przekonana, że doświadczenie to wyróżnia ją na tle pozostałych pań domu mieszkających na tej ulicy. Nauczyła się tam zdecydowania i dyscypliny, które towarzyszyły jej teraz przy wszystkich porannych czynnościach: robieniu kanapek do szkoły, gdy zostawałam u Sophii na noc, wstawianiu wody na herbatę (dla męża) i kawę (dla siebie); szybkimi ruchami malowała rzęsy tuszem, zanim odwiozła nas do szkoły. Miała cofnięty podbródek, przez co sprawiała wrażenie osoby uroczo prostodusznej.

„Nie wszystko musi wiązać się z pieniędzmi”, powiedziała kiedyś do niej moja mama, na co mama Sophii z niedowierzaniem szeroko otworzyła oczy, bo oczywiście wszystko kosztowało: balet, nauka jazdy konnej; wszechstronnego wykształcenia, jak je nazywała, nie można zapewnić, puszczając dzieci samopas na łąkę nad rzeką, żeby bawiły się przy krzakach jeżyn. Mama Sophii, w przeciwieństwie do mojej, musiała mieć plan, nad którym się nie zastanawiała i zgodnie z którym mimo to postępowała we wszystkich aspektach życia. Przewidywał on dom jednorodzinny, szczęśliwe małżeństwo, zawsze gładko ogolone nogi oraz idealny trawnik, nad którym

rozpościerała się tęcza, gdy wczesnym rankiem zraszacz rozpylał delikatną mgiełkę. W granicach jej ogródka panowała idylla, której nie zakłócały chłodnie kominowe, wznoszące się za najdalszym żywopłotem; mama Sophii po prostu udawała, że ich tam nie ma. Oczywiście stanowiły element tutejszego krajobrazu, były tu od zawsze, ale nie miały z nią nic wspólnego. Tak samo jak jej ogród, w którym o ściśle określonych porach uruchamiał się zraszacz, nie miał nic wspólnego z zagrodzonym parkiem przemysłowym, gdzie stopy węgla oblewano ociążalym strumieniem wody, by zapobiec ich samozapłonowi.

Zajrzałam do szuflady w łazience i przekonałam się, że mama Sophii wie, co to znaczy porządek, co to znaczy jakość, co to znaczy styl, który ogólnie można było określić jako przyjemny, jak idealną temperaturę pomiędzy ciepłą a zimną wodą. Gdy miałyśmy pójść do szkoły, kupiła Sophii różowy tornister marki Scout, na którym pomiędzy bukietami kwiatów widniały napisane okrągłymi literami różne dziewczęce imiona: obok Anny, Julii, Sabriny, Sandry także Sophia. Od razu zapragnęłam mieć taki sam, mimo że mojego imienia nie było w ofercie, tak jak nie było go nigdzie indziej, na breloczkach do kluczy, rejestracjach w domu towarowym ani nawet na imiennych kubkach, które dziadek trzymał w szafce dla każdego członka rodziny. To było tajne imię, którego brzmienie sprawiało, że w świecie zewnętrznym zamieniałam się w kurz. Rysowałam je na niezliczonych kartkach z notesu, na bibułkach do atramentu w nowych zeszytach ze stronami zadrukowanymi dużą liniaturą, na których miałam później powtarzać w nieskończoność każdą literę alfabetu, żeby nauczyć się ich na pamięć. „L” zamieniło się w długi łańcuch pętelek. Mama zrobiła mi zdjęcie, na

którym stoję z nowym tornistrem na plecach i rogiem obfitości w jednej ręce, a drugą wyciągam triumfalnie w górę; a słońce oświetla lukę w mojej buzi powstałą po tym, jak krótko przedtem wypadły mi siekacze.

– Mamy w klasie dziewczynkę, która nazywa się tak, jak nasza koleżanka z podręcznika – powiedziała nauczycielka pierwszego dnia szkoły. – Zgadnicie, jak ma na imię?

Przez chwilę naprawdę myślałam, że może chodzić o mnie i łudziłam się aż do chwili, gdy wskazała palcem na Sophię. Ta zaczerwieniła się speszona, że nagle znalazła się w centrum uwagi, nieśmiało uśmiechnęła się do nauczycielki, założyła włosy za ucho i spojrzała na lśniąca okładkę książki, z której mieliśmy uczyć się pierwszych liter.



Wcześniej zaczęłam podejrzewać, że Sophia prostoduszność ma po matce, a moja niewiedza to coś zupełnie innego – nie wzbudzała bowiem niczyjej sympatii i sprawiała, że czułam się bardzo niepewnie, zdecydowanie bardziej niż koleżanki z klasy, a wynikało to z tego, że moje imię nie widniało w żadnym podręczniku ani na żadnym tornistrze. Moja niewiedza nie była niczym powszechnie akceptowanym czy wręcz mile widzianym – Sophia już jako dziecko wiedziała, jak nie przekroczyć tej cienkiej granicy – a braki w matematyce nie spotykały się z wyrozumiałością, bo „przecież wiadomo, że jej mocną stroną są inne przedmioty”. Nikt się nie uśmiechał, gdy na zajęciach z wiedzy ogólnej miałam trudności ze zrozumieniem, jak płynie prąd w obwodzie, nikt nie uznawał,

że to uroczę. Mimo że brałam udział w liczeniu na cztery kąty, ulubionej zabawie mojej klasy (kto jako pierwszy podał rozwiązanie zadania, przechodził do kolejnego kąta sali), i odpowiadałam poprawnie, mój głos nie był wystarczająco donośny i nie ruszałam się z miejsca do samego końca.

Moja niewiedza sięgała dalekiej przeszłości, czasów, gdy nie było mnie jeszcze na świecie. Brała się z jasnych, piaszczystych dróg przecinających górskie zbocza, które, choć nie widziałam ich nigdy w życiu, odpowiadały przebiegowi moich arterii; powietrze było tam czyste mimo panującej w południe duchoty. Miałam wąsko rozstawione oczy i spłaszczoną potylicę, bo gdy byłam niemowlęciem, zbyt często leżałam na plecach.

Nie znałam języka mojej mamy, ale to nie miało znaczenia. W każdą środę po południu wysyłała mnie na naukę pisania. Zajęcia w szkolnej piwniczce były przeznaczone dla kilkorga wybranych dzieci, które śmiały się z żartów nauczyciela; nie rozumiałam ich, ale mimo to z zakłopotaniem śmiałam się razem z nimi. Jako jedyna bezradnie kreśliłam zawijasy na papierze liniowym, niczym hieroglify. Gdy wypowiadałam swoje imię, nauczyciel poprawiał moją wymowę.

To były czasy, kiedy komedianci z duetu Mundstuhl wymyślili postaci Dragana i Aldera*, których komizm polegał na ich głupocie. To były czasy, kiedy płonęły domy, o czym nie wiedziałam, bo mama w mojej obecności wyłączała telewizor. To były czasy, kiedy w środku czułam narastające w ciszy poczucie niepojętego obrzydzenia. To były czasy, kiedy siedząc z mamą w samochodzie, zapytałam, co oznaczają bazgroły na tablicy przy wjeździe do naszej miejscowości, na zachodniej

bramie parku przemysłowego, skąd rozciągał się poprzecinany rzeką widok na kilometry powyginanych rur, kominów i krętych uliczek. Mama odparła, że nie powie, bo to nie dla dzieci.



– Chyba będziemy uczyć się latać – szepnęła mi do ucha Sophia.

Na lekcji wuefu przyszedł czas na gimnastykę i nauczycielka wypuściła z sufitu drewniane kółka, na których można było wziąć duży zamach i rozhuścić się w tę i z powrotem. W skarpetkach zesłam z materaców na gładką podłogę i zapytałam, czy mogę pójść do toalety. Szłam po płytkach, mijając nieczynne prysznice, w szatni na ławkach leżały porozrzucane rzeczy innych dziewczyn. Podeszłam do miejsca, gdzie przebierała się Sophia, i zdjęłam z haczyka jej kosmetyczkę, model pasujący do naszych różowych plecaków. Pod spodem wisiała sakiewka z małą czarodziejką. Ukryłam figurkę w najgłębszej kieszeni swojego tornistra, pod zeszytami do niemieckiego i matematyki, i ślizgając się w skarpetkach, wróciłam na salę. Po drodze minęłam scenę, wokół której na czas lekcji zaciągano czerwone zasłony. Sophia frunęła na kółkach przez powietrze, a w świetle połyskiwały jej ozdobione cekinami baletki, które nosiła także na zajęciach z wołtyzerki.

Gdy po lekcji wyszliśmy z sali, zaczęło padać. Zakryliśmy głowy kurtkami i pędem ruszyliśmy w górę głównej ulicy, aż dotarliśmy do ozdobnego drzewa, którego gałęzie wystawały znad płotu przydomowego ogródka, tworząc niewielkie zadaszenie. Tam przeczekaliśmy deszcz.

Sophia sięgnęła do swojej żółtej sakiewki i z przerażenia szeroko otworzyła oczy, bo zorientowała się, że nie ma w niej figurki.

Wieczorem, gdy leżałam w łóżku, wyciągnęłam czardziejkę z plecaka. Stała na mojej otwartej dłoni i oświetlona białym światłem latarni, wpadającym przez okno na przeciwległej ścianie i sięgającym aż do łóżka, rzucała cień tak długo, aż zasnęłam.

Różowy plecak nosiłam po szkolnym podwórku, otoczonym przez kasztanowce, gdzie cień rozłożystych drzew zapewniał latem schronienie przed upałem. Zabierałam go do zimnej kabiny w toalecie, której kafelkową podłogę zawsze pokrywał piasek, ziemia i wyschnięte owady. W toalecie nigdy nie było papieru i nie działała suszarka do rąk. Nosiłam go nad linoleum na korytarzach, co roku piętro wyżej, mając w pamięci metaforę nauczycielki, która edukację opisywała jako dom; mówiła, że niezbędne są solidne fundamenty, bo inaczej piętra mogą się zawalić. Miejsce, w którym na plecaku Sophii widniało jej imię, podkreśliłam na niebiesko.

Gdy pytałam mamę o jej przeszłość, odpowiedź przypominała baśń:

– Pochodzę z daleka, z małej wioski nad morzem, położonej w górach, które pochylają się ku plaży. Wszystkie drogi są wąskie, piaszczyste i prowadzą do morza. Ludzie nie mają samochodów, tylko osły, prowadzą drogami owce i ciągną wózki z wodą. W wiosce brakuje czystej wody, trzeba ją kupować. Pierwsza praca mojego brata polegała właśnie na sprzedawaniu wody. Mieszkaliśmy w małym domu, z piątką rodzeństwa, ale oni szybko się wyprowadzili, byli ode mnie dużo starsi. Dlatego miałam własny pokój, luksus. Stały w nim łóżko i niewielki stolik. O poranku budziło nas nawoływanie muezina, a kto w piątki nie chodził do meczetu, padał ofiarą plotek. Lubiłam spędzać tam czas, bo panował w nim chłód i można było do woli pić herbatę. Lubiłam to miejsce, bo stanowiło kryjówkę, mogłam się schować. W tamtej wiosce po ulicach biegają kury, a latem z drzew spadają owoce morwy. Tu nad rzeką też rośnie jedno takie drzewo, zwróciłaś kiedyś na nie uwagę? Zaledwie kilka metrów od wzgórza. Nikt tutaj nie wie, że jego owoce są jadalne, dlatego latem leżą wokół rozdeptane, wszędzie na ziemi są czarne plamy. Tutaj ludzie zbierają tylko jeżyny, ale to morwa kojarzy mi się z czasami młodości. Codziennie

siedziałam na ziemi i przygotowywałam jedzenie, nieustannie zawijałam w liście winogron orzeszki piniowe z ryżem i rodzynkami. Jesienią robiłam przetwory. U nas mówi się, że w domu, którego mieszkańcy jedzą warzywa, nie potrzeba lekarza, i to prawda, do nas nigdy nie przychodził lekarz. W mojej rodzinie prawie wszyscy żyli ponad sto lat. Z nami będzie tak samo. To dlatego, że moja matka zaklinała dżiny, a one jej wysłuchały. Matka była mędrzynią. Poprosiła dżiny: „Chrońcie moją rodzinę, niechaj nikt nie patrzy na nas złym okiem”. Odtąd dżiny mają nas w opiece; a ponieważ nikt nie patrzy na nas złowrogo, cieszymy się dobrym zdrowiem. To także zasługa warzyw i morskiego powietrza, którego tu brakuje, ale nie martw się, dżiny mają cię w opiece, przywołują do ciebie morze, mimo że tego nie widzisz. Nocą siedzą wokół twojego łóżka, ale nie masz się czego bać. Nie widzisz ich, lecz one pilnują, byś spała spokojnie, by żaden zły duch nie zbliżył się do twojego łóżka. Tam, skąd pochodzę, wierzymy, że wszystko ma swoje duchy: morze, morwa i piaszczyste górskie drogi. Kochałam moją wieś, ale zastanawiałam się, czy to już wszystko. Zastanawiałam się: a jeśli przez całe życie nie zobaczę nic innego? Tu jest pięknie, ale czy to już wszystko? Czy mój wzrok nie spocznie na niczym innym przez całe sto lat?



Gdy słyszała coś, czego nie było, twierdziła, że to znak. „Muszę zwolnić”, mówiła, gdy wykonywała domowe obowiązki, robiła pranie, wносиła talerze z salonu. „Muszę się uspokoić”; znaleźć sposób, by zachować spokój, obniżyć ciśnienie, muszę powiesić na lodówce tabelkę

z zawartością cholesterolu w różnych produktach (na którą później nie zwracała uwagi). Myśleć o czymś przyjemnym, żeby zasnąć. „Wyobrażam sobie budyń”, mówiła. „Muszę się ochraniać”; zostawiać drzwi półotwarte, przez co tata ma poczucie, że może wejść do środka, kiedy tylko zechce; to był najlepszy sposób, by zapobiec jego wejściu do pokoju. W przeciwnym razie walił w drzwi, kopał we framugę i krzyczał: „Wpuszczaj!”. W prawym uchu słyszała piszczenie i dźwięki, „coś jak zginiatanie papieru albo jakby ktoś tuż obok szeleścił suchymi liśćmi”. Nawet wycie syren w parku przemysłowym uważała czasem za szum w uchu, a ja musiałam jej wyjaśniać, jak należy zareagować, zgodnie z tym, czego uczyli nas w szkole.

– To tylko ćwiczenie – mówiłam.

Rozpoznawałam je po metalicznym, nieco monotonnym sygnale odwołującym alarm, który uruchamiano na początku.

– Jakie ćwiczenie? – pytała.

– Syreny.

– Ach, tak, rzeczywiście – odpowiadała, a jej wzrok, którym nerwowo błędziła po dłoniach, uspokajał się.

– Gdyby to był prawdziwy alarm, musiałybyśmy teraz zamknąć okna – tłumaczyłam.

Dźwięk wzmagał się i słabł.

Ćwiczyliśmy na wypadek awarii chemicznej, tak samo jak na wypadek pożaru. Co kilka miesięcy z parku wydobywało się dudnienie, niczym potwór z szeroko rozdziawioną paszczą przemierzający naszą miejscowość; bez ostrzeżenia, by sytuacja była w miarę możliwości autentyczna. Któregoś razu syrena zawyła w połowie długiej przerwy, kiedy Sophia wraz z innymi pokazywała mi różne wersje zabawy w łapki. Z tyłu minęły nas dzieci

na wiaderkowych szczudłach, kawałek dalej w powietrzu latały gumowe piłki. Rozległ się sygnał i choć już w sekundę wszyscy pojęli, że to tylko test, alarm wywołał poruszenie, wzmógł się gwar. Straciłam Sophie z oczu i nagle wyrósł przede mną blondyn z klasy wyżej, który zmrużył oczy w szparki.

– Co się gapisz? – Usłyszałam i odwróciłam głowę. – Jedno z tych dzieciaków, co chodzą do piwnicy na korki – dodał na odchodne, gdy już miałam ruszać za innymi uczniami przepychającymi się do wejścia do budynku. – Na korki dla ciapatych.

Silny cios w plecy, zbliżający się szary asfalt, a potem nic. Długo nic, choć „długo” to może niewłaściwe słowo, bo czas wywrócił się do góry nogami.

Gdy uniosłam głowę, na boisku było pusto. Zobaczyłam, jak drzwi budynku otwierają się i na dwór wychodzą dwie starsze dziewczyny z papierami w dłoniach. Kiedy dostrzegły mnie leżącą pośrodku boiska, rzuciły się pędem w moim kierunku, z obu stron chwyciły mnie pod pachy i dźwignęły w górę. Alarm minął, dawno już zaczęła się kolejna lekcja.

Pochyliłam się nad umywalką, z nosa leciała mi krew. Nadgarstki oparłam ciężko o jej brzeg, a dłonie, zimne i posiniaczone, zawisły bezwładnie nad białą emalią.

– Wypadek – powiedziała szkolna pielęgniarka. – Nic się nie stało.

Palcami obmacała mi twarz w miejscu, gdzie uderzyłam o ziemię. Na lewej kości policzkowej i grzbiecie nosa widać było otarcie i stłuczenie, które powiększało się z minuty na minutę, skóra napięła się do tego stopnia, że odbijała światło i wyglądała na mokrą.

– Wypadek – objaśniła nauczycielka mojej mamie.

Wypadek nieszczęśliwie zbiegł się z alarmem.

– Dzieci lecą i nie oglądają się za siebie – mówiła.

Trzeba to jeszcze przećwiczyć. Po to właśnie są próby, żeby w razie awarii zapanował spokój, dodała.

– A ona – powiedziała, wskazując na mnie – jest dość chuderława.

Dalej mówiła, że nie umiem postawić na swoim i dostrzegła już moje delikatne usposobienie. Może należałoby wyhodować grubą skórę?

– Nie ma się o co martwić – ciągnęła. – A jeśli chodzi o innych, zdarzają się bijatyki, dzieci w tym wieku już tak mają.

Do tego dochodził fakt, że ginęłam w tłumie.

– Ma tak cienki głosik, może trzeba czasem odezwać się głośniejsze, nie dawać za wygraną, hm? To bardzo wrażliwe dziecko – powiedziała nauczycielka, pochylając się nade mną.

W drodze powrotnej powtórzyłam mamie słowo, które usłyszałam na chwilę przed upadkiem. Zapytałam, co ono znaczy. Mama odparła, że to niemożliwe, nie mogło chodzić o mnie.

– To obelga – wyjaśniła. – Nie mogli mieć na myśli ciebie. Ty jesteś Niemką.

„To dlatego, że jestem bardzo wrażliwa”, powtarzałam od tamtej pory z dorosłym wyrazem twarzy. „Może należałoby wyhodować grubą skórę”, mówiłam z sugestią, że wiem dokładnie, jak to ma wyglądać, ta gruba skóra, którą należy wyhodować i która będzie skutecznie chronić mnie przed uderzeniami w plecy.



Mama usłyszała w nocy trzask ciężarówki wbijającej się w ścianę.

– Rozległ się przeraźliwy huk – powiedziała. – Jakby tuż obok mojej głowy zawaliło się coś ogromnego.

Leżała w szpitalnej sali w białej pościeli w żółte prążki i patrzyła na mnie z uśmiechem, tak jak w niektóre poranki, gdy zdążyła posprzątać odłamki szkła, a tata dawno już zabrał swoją torbę i poszedł do pracy.

– To nic takiego – zapewniła. – Niedługo wracam do domu.

6

Całe życie taty stanowiło jedną wielką czynność zastępczą. Gromadził prasę i konserwy, zbierał prospekty reklamowe, które miesiącami leżały zafoliowane w skrzynce na listy i do których codziennie dochodziły nowe. Zachowywał każdy program telewizyjny. Gazetki były adresowane do jego matki, której nigdy nie poznałam.

W wieku szesnastu lat poszedł do pracy, bo inny scenariusz nie wchodził w grę, nie istniała dla niego kategoria własnej woli. „Życzenie” było zakazanym słowem ze świata powieściideł, które jego matka kupowała, gdy zostały jej pieniądze ze sprzątanania, w sklepiku z gazetami w centrum naszej miejscowości. Życzenia stanowiły domenę innych, ludzi sentymentalnych (kobiet) i tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Nie wolno było stać się ciężarem dla rodziny tylko dlatego, że czegoś się chciało. Zachowywaliśmy się jak zatrzymani w czasach, gdy samoograniczenie stanowiło konieczność, szopa na podwórku wciąż była chlewem, klub jeździecki obok wzgórza – gospodarstwem rolnym z polem ziemniaków do zaorania, a po opustoszałych ulicach biegały kury i nikt jeszcze nie wpadł na pomysł zbudowania parku przemysłowego. A przecież jego młodość przypadła na lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, można było wówczas dorobić się na ożywieniu

gospodarki, dzięki czemu dziesięciolecie niedostatku, podobnie jak ich przyczyny, odeszły w niepamięć.

Tata przywoływał moment, gdy w powietrzu nagle pojawiły się spaliny.

– Pamiętam, jak szedłem do szkoły i wszędzie była sadza – wspominał. – A dookoła leżały gruzy, które zniknęły dopiero po jakimś czasie.

Pewien nauczyciel, nieco starszy nauczyciel s t a r e j s z k o ł y, faworyzował go, bo wiedział, że tata pochodzi z u c z c i w e j rodziny. Gdy ojciec mówił o tym nauczycielu, w jego oczach pojawiał się cień wstydu.

O kwestiach naprawdę istotnych nie wspominał ani słowem, tak samo jak o regałach, które był już w stanie zapełnić; że nie musiał dłużej dzielić pokoju z uchodźcami ani ludźmi, którzy przeżyli bombardowania. „Bombardowania” to pojęcie, którego tata z dziadkiem używali niczym kropki zamykającej zdanie. Jeszcze innym było określenie „na wojnie”. Zawierało w sobie wszystko. „Często jeździliśmy na wycieczki”, mówił tata, gdy pytałam go o dzieciństwo; podwijał rękawy, przesuwając rzeczy na stole.

Jako pierwszy z rodziny miał możliwość pójścia do gimnazjum, ale wytrzymał tam tylko dzień. „To nie dla mnie”, powiedział do swojego ojca, a ten przytaknął z wyrozumiałością i ulgą, bo w jego przypadku było tak samo. Piętnaście miesięcy w wojsku. Potem nauka zawodu w firmie, gdzie kiedyś pracował ojciec, w parku przemysłowym, którego nazwa zmieniła się między jednym a drugim pokoleniem i ustrojem. Dziecięcy pokój ojca na końcu korytarza (później sypialnia mojej mamy) z czasem przeobraził się w pokój nastolatka, a do kolekcji wszystkich tomów z serii *Piątka przyjaciół* dołączyły

podręczniki do badań materiałowych. W korytarzu wisiało zdjęcie jego dziadka, a mojego pradziadka, w mundurze Wehrmachtu. „On już nie powrócił”, mówił niby o dawnych czasach albo o wydarzeniu, które z niczym się nie wiązało. „To normalne.”

Zdjęć jego matki nie było. Zostało po niej kilka powieścideł i nazwisko na naklejce z adresem na programie telewizyjnym.

Wyobrażałam sobie ich obu przy stole kuchennym, zmęczonych po pracy: tatę odzywającego się od czasu do czasu i dziadka, który odpowiada mu sucho, rzucając szybkie: „No, no!”, a następnie milczenie. Pokój ojca był zastawiony szafkami, gdzie przechowywał każde spodnie i każdą koszulę, jakie kiedykolwiek włożył, wszystkie podkoszulki, w które już nie wchodził, i ręczniki – ciągle te ręczniki, tak wytarte, że prawie przezroczyste – z motywem czajnika albo kaczek. Do tego kolejna, nigdy nieotwierana szafa z d o b r y m i k o s z u l a m i, z której wydobywał się słodki zapach naftalinowych kulek. Stało tam też łóżko z materacem o szerokości dziewięćdziesięciu centymetrów. Prowadziła do niego wydeptana wąska ścieżka; każdego dnia o szóstej rano człapał nią jego ojciec, by go obudzić. Na przesuwany wózek telewizor starego typu, obrócony w stronę łóżka. Podłoga usiana nieuporządkowanymi notatkami ze szkoły zawodowej, dookoła figurki z jajek niespodzianek, komiksy, opakowania po batonikach. Drzwi do pokoju już się nie domykały. Pewnego razu pomalował pierwszą szafkę pod kolor ściany, czyli na jasny brąz; w ten rozczulający sposób chciał sprawić, że w pokoju zapanuje nieco bardziej przytulny nastrój. Jego ojciec tego typu starania kwitował stwierdzeniem: „I co to komu potrzebne?”

P o t r z e b n e były przede wszystkim artykuły spożywcze – wychodził z założenia, że zapasów nigdy nie za wiele – podobnie jak tekstylia kupowane w tajemnicy przez dziadka w obawie, że może mu ich nie wystarczyć, więc gdy na przecenie zobaczył ścierki, wkładał je do koszyka, bo „zawsze się człowiekowi mogą przydać”. Przydać nie mogły się natomiast rzeczy, które upiększały otoczenie i służyły wyłącznie poprawie nastroju; ten można było zaniedbać. Wpajana od najmłodszych lat skromność stała się stylem życia, choć wcale nie musiał już oszczędzać. Napędzał go strach, że mógł s t r a c i ć w s z y s t k o. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by czegoś się pozbyć, zawsze mogły przecież nadejść g o r s z e c z a s y. „Przeżyliśmy dwa bombardowania” było wytłumaczeniem dla kupowania dwóch bochenków chleba zamiast jednego i dwóch dziesięciopaków przecenionych skarpet w Realu zamiast jednego; połączenie łakomstwa z umartwieniem.



Nikt nie przychodził w odwiedziny, bo tacie robiło się nieswojo na myśl, że koledzy zobaczą jego pokój, od lat taki sam, nieposprzątanym ani razu, i zielono-szary dywan, którego kurz nie pokrywa tylko na wąskiej ścieżce wokół łóżka. Jeśli już kogoś zapraszał, to tylko latem – od razu prowadził gościa na podwórko, wyciągał z szopy krzesła ogrodowe i rozkładał na nich poduszki.

Kiedy w mieszkaniu czasami coś zaczynało cuchnąć, rozpoczynał obchód w poszukiwaniu źródła dokuczliwego zapachu. Pochylał się i zaglądał za ciężkie meble i szafy przepełnione ubraniami, aż znajdował pęknięte opakowanie zjedzonych do połowy lodów albo wyciągał

spleśniałą, zawiniętą w folię aluminiową kanapkę, na której widok oblewał go rumieniec wstydu.

Często pracował na nocnej zmianie i przeciągał powrót do domu, spowalniając każdy ruch; uzupełniał kawę w kuchni dla pracowników i w ukryciu palił papierosa na klatce. Dopiero wczesnym rankiem otwierał drzwi do domu i zastawał dziadka śpiącego pod grubą pierzyną w poszewce, którą należało już wyprać. W powietrzu unosił się zapach zwierzałego potu, a spod pościeli dochodził stłumiony szelest. W ciemności odnajdywał drogę do swojego pokoju, włączał telewizor, siadał na brzegu łóżka i otwierał paczkę orzechowych chrupek.

W sobotę godzinami krążył po ogromnej hali targowej, gdzie wysyłał go dziadek, którego zakupy zaczęły już męczyć. Ojciec wracał z torbami i koszami pełnymi kolorowych jogurtów, a także zawiniętej w powlekany papier kiełbasy.

– Duch, przysięgam, to duch – szepnął Pikka, kucając obok mnie.

Przez szpary między sztachetami płotu zajrzeliśmy do ogrodu.

– Co? Gdzie? – szepnęłam.

Pikka bez słowa wskazał krzaki w najdalszym zakątku Srebrnej Farmy, po czym natychmiast schował palec, jakby w obawie, że coś go za niego złapie. Nadeszła wiosna, a wraz z nią coraz łagodniejsze temperatury. Naszą miejscowość wciąż jednak nawiedzały wichury; zrywały z drzew każdą naderwaną gałąź i wprawiały w chybotanie przewody elektryczne. Warstwa grubych chmur sunęła po niebie, wirując gwałtownie niczym kipiąca zupa. Po nocnej ulewie ziemia na poboczu drogi za oczyszczalnią była podmokła i błotnista.

Pośrodku ogrodu stała przekrzywiona od wiatru chata, z podkówną nad drzwiami i oknem w ramie z łuszczącą się farbą. Na gwoździu wisiała umocowana na łańcuchu pusta doniczka, która huśtając się w tę i z powrotem, nieustannie uderzała ze stukotem o ścianę. Z jednej z rynien kapiała woda. Nietrudno było sobie wyobrazić, że w środku straszy. Szyby pokryły się warstewką brudu, widać było przez nie stopy pożółkłego papieru i napierające liście

rośliny doniczkowej na parapecie. Od czasu do czasu musiał więc ktoś tam bywać.

– Może podlewa ją kowboj – zasugerowała Sophia, po czym się roześmiała.

– Właściwie to kto mówił, że tu straszy? – szepnęłam do Pikki.

– Benjamin z równoległej klasy – odparł.

Nie znałam żadnego Benjamina, ale sposób, w jaki Pikka wypowiedział jego imię, wskazywał, że chodzi o kogoś, kto wie, co mówi.

– Był tu nawet kiedyś w ciemności i naprawdę usłyszał coś jak szczekanie psa. W chacie się ruszało, jakiś cień, tylko że się świecił.

– Jak cień może się świecić? – zapytałam.

– No, nie mam pojęcia! Ale od razu wiedział, że to duch.

W skupieniu wypatrywaliśmy w oknie jakiegoś ruchu.

– Na pewno mieszkał tu w średniowieczu – stwierdziła Sophia. – Przecież napis wygląda na stary, może naprawdę pochodzi z tamtych czasów.

– Jak dawno temu było średniowiecze? – spytałam.

– Nie wiem, pewnie sto lat temu – odparła. – Podkowa też musi być stara.

– Mówię wam, z tyłu w krzakach coś było. Wydaje mi się, że świeciło się na białe – powiedział Pikka.

– Chcecie spróbować tam wejść? – zapytała Sophia.

Spojrzelśmy na nią z przerażeniem i jednocześnie zawstyżeni tą kuszącą propozycją.

– Jeśli jeden podsadzi drugiego, przynajmniej wy wejście do środka. Ja mogę stać na czatach – zaproponowała.

– Czemu ty? – spytał Pikka.

Sophia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, mam wrażenie, że jesteście zafiksowani bardziej ode mnie.

Razem z Pikką zeslizgnęliśmy się więc po drewnianych sztachetach na błotnistą ziemię po drugiej stronie płotu i przykuliśmy na wypadek, że ktoś nas zobaczy, pobiegliśmy w stronę chaty. Drzwi były otwarte. W pierwszym z dwóch pomieszczeń na podłodze leżały wyschnięte grudki ziemi, które ktoś pewnie wniósł na butach. Przy tylnej ścianie stała wytarta kanapa, a przed nią krzywy stolik i popielniczka pełna niedopałków. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, kwaśny zapach. Przesunęliśmy palcami po stosie gazet na parapecie: kurz. Za oknem przez szpary w płocie widzieliśmy różowy sweter Sophii.

– Chodźmy dalej – zasugerował Pikka.

– A jeśli przeszkadzamy duchowi? – zapytałam.

Pikka pokręcił głową.

– Przecież zaraz stąd wychodzimy.

Małymi krokami przemierzając pomieszczenie w kierunku drugich drzwi, myśleliśmy o tym, co takiego mogło doprowadzić do śmierci kowboja i jego psa. Całe życie spędził dokładnie w tym miejscu, na tej ziemi; może mieszkały tu przed nim całe pokolenia jego krewnych.

– Duch zawsze jest związany z konkretnym miejscem – stwierdził Pikka.

Nad kanapą wisiało obok siebie dziesięć ramek ze zdjęciami. Wspięliśmy się na nią, by przyjrzeć się im z bliska. Obicie zatrzeszczało nam pod stopami, wypełniająca je gąbka musiała być popękana. Ujrzelśmy czarno-białe fotografie, portrety postaci z minionego stulecia, prawdopodobnie zrobione za pomocą camery obscury, bo choć osoby siedziały nieruchomo, to wydawało mi się, że widzę, jak oddychają; rozmazane

białe smugi wokół konturów ich ciał od długiego czasu naświetlania.

– To na pewno rodzina – konspiracyjnym tonem powiedział Pikka.

Z jednego z sąsiednich ogródków dobiegł nas wysoki dźwięk dzwonek na wietrze.

– I na nim kończy się drzewo genealogiczne? – spytałam. Pikka przytaknął.

– Chyba tak. Wygląda na to, że mieszka tu tylko jedna osoba.

Otworzyliśmy uchylone drzwi do małego pomieszczenia z jednym wąskim oknem, również tak brudnym, że ledwo było przez nie cokolwiek widać. Poniżej aż po parapet piętrzyły się zgniecione gazetki reklamowe, a podłogę pokrywały niedopałki; ktoś musiał zawsze w tym miejscu opróżniać popielniczkę. Zdążyliśmy na to wszystko tylko rzucić okiem, bo pod stosem papierów nagle coś się poruszyło. Wydaliśmy z Pikką stłumiony okrzyk, chwiejnym krokiem wycofaliśmy się z pokoju i wybiegliśmy na dwór, z powrotem w stronę płotu.

– Co jest? – zapytała Sophia, szeroko otwierając oczy.

– Tam coś było, coś się ruszało – wyjaśniłam, a Pikka wyciągnął ramiona na znak, że mam się wspiąć na płot.

Gdy zeskakiwałam na ziemię po drugiej stronie, Pikka biegł już w kierunku miejsca, w którym ogrodzenie było nieco niższe. Chwycił się od góry sztachet i wybił w powietrze, czubki jego butów z głuchym dźwiękiem stuknęły w drewno. W krzakach zaszeleściło, a chwilę potem Pikka stanął obok nas, otrzepując bluzę.

– Ktokolwiek to był, jedno jest pewne: mieliśmy do czynienia z duchem – stwierdził.

Wróciliśmy na ścieżkę i podnieśliśmy wzrok na sztyd.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku poszliśmy z Sophią do gimnazjum. Nauczycielom szalenie zależało na uświadomieniu nam, że jesteśmy przyszlą elitą. Stwierdzenie to wtrącali na marginesie, a czasem niby mimochodem rzucali hasło: „Jesteście elitą!” i patrzyli wyczekująco na trzydziścioro dziesięciolatków w przykrótkich spodniach. Już wtedy przeczuwałam, że kryje się za tym pewne oczekiwanie, nie rozumiałam jednak, o jakie zachowanie chodzi i co takiego miało wynikać z owej przynależności. Pytań tych nie zadawałam sobie jednak świadomie; raczej wywoływały one we mnie poczucie ogólnej bezradności.

Godzinami gapiłam się na blat ławki z lazurowanego na ciemno drewna i wciskałam plecy w oparcie krzesła. Wpatrzona w szare kserówki z tabelami oraz fragmentami tekstów pochylałam się tak blisko kartki, jak tylko się dało, wciąż nie tracąc ostrości, i przenosiłam wzrok na mazerunek. Pod ławką poprzyklejane były wyschnięte gumy do żucia, a we wsuwanych koszykach leżały zużyty papier śniadaniowy i opróżnione kartoniki po soku, od góry zaś widziałam wyryte na blacie imiona oraz hasła nabazgrane markerem i korektorem. Latem ramiona przyklejały się do lazury. W wyjątkowo upalne

dni krzesła pod wpływem potu traciły kolor, pozostawiając na ubraniu czerwonobrazowe smugi.

Podjeżdżałam, że musi chodzić o zachowanie. O to, że powinno się brać prysznic i nie nosić dziurawego swetra. Podjeżdżałam, że nieodpowiednie są moje szare, zmechacone od prania koszulki ze smokiem, jak również miejsce zamieszkania i stare meble kuchenne, warstwa brudu na brązowym blacie oraz tapeta w słońce w moim pokoju, która gdzieniegdzie odkleja się od tynku, i to, że ułamki obliczam na białym plastikowym stołku przed telewizorem, w którym leci talk-show *Britt*. Przeczynałam, że musi chodzić o sposób, w jaki się śmieję. O zalecenie, bym uśmiechała się łagodnie, i to jedynie wtedy, gdy chodzi o żart zawarty w wierszu, którego nauczyłam się na pamięć.

Chodziło także o to, że zamiast misternie upiętych kosmyków miałam szczeciniaste, równo przycięte rozpuszczone włosy z przedziałką pośrodku głowy; nosiłam też białą bluzę z kapturem, której rękawy położyłam na brzegach od dymu papierosowego taty. Chodziło o ten dym, wnikaający w każde włókno, i o wycieraczkę z orientalnym wzorem przed drzwiami naszego mieszkania.

Musiało chodzić o to, że noszę tajemne imię i jem za mało warzyw, a tata co kilka tygodni kroi mi garść owoców i jest zdania, że w ten sposób dba o moje zdrowie; o mrożoną pizzę na obiad i o to, że nikt u nas w domu nie jada przy żadnym ze stołów, bo piętrzą się na nich gazety, puste pudełka i opakowania.



Wszyscy uczniowie stali na swoich miejscach, a ja z opuszczoną głową patrzyłam na zamknięte zeszyty i słyszałam, jak wychowawca, pan Kaiser, przechadza się wzdłuż rzędów i zatrzymuje przed którąś z ławek. Zachrypniętym głosem odpytywał nas ze słówek. Gdy się obróciłam, zobaczyłam Sopię, która, podobnie jak kilku innych uczniów, po każdym pytaniu podnosi rękę, wciąż trzymając między palcami długopis.

Pan Kaiser zatrzymał się przede mną, powiedział moje imię, a następnie zapytał:

– Targ: *qu'est-ce que c'est?*

Musiało chodzić o to, że za każdym razem, gdy o coś pytał, w mojej głowie powstawała próżnia. Przyglądałam się jej ze wszystkich stron, podczas gdy reszta czekała na odpowiedź, a lekcja znajdowała się w stanie zawieszenia. Szukałam w pamięci odpowiedzi, ale bezskutecznie. Do policzków i uszu napływała mi krew, oddychałam płytko, wbijałam wzrok w blat ławki i brzeg papieru, w czubki palców na blacie. Pan Kaiser spoglądał znad swoich brązowych szkieł okularów, jego słabsze lewe oko ze wzburzenia jeszcze bardziej uciekało na bok od punktu, który obrał na mojej twarzy. Powtórzył pytanie, głośniejszym i z większym naciskiem:

– Targ: *qu'est-ce que c'est?*



W wieku dziesięciu lat stanęłam na parapecie i spojrzałam w dół na ulicę. Mogłabym to wszystko skończyć. Prerażona tą myślą cofnęłam się i w niewidocznym miejscu za zasłoną zaczęłam uderzać w ścianę, chcąc wybić w niej skrytkę. Gdy doszłam do cegły, poddałam się;

nie wiedziałam, co takiego miałabym tutaj schować. W korytarzu omijałam miejsca, w których parkiet skrzypliał pod korkową wykładziną. O określonych godzinach tata zamykał drzwi do salonu, co oznaczało, że znów zaczął kupować piwo. Z mamą cicho wstawiałyśmy naczynia do zmywarki, przemykałyśmy po mieszkaniu, spłuczkę w toalecie wciskałyśmy tylko do połowy i nie otwieraliśmy okien.

Noce tata spędzał w salonie na starej sprężynowej kanapie. Obok stała czarna witryna z porządnymi szklankami i serwisem kawowym, który Sophia podarowała mi na ostatnie urodziny, wciąż zawiniętym w przezroczysty celofan, bo tata powiedział, że zestaw jest zbyt drogi, żeby z niego korzystać. Mama spała sama w kupionym z poczucia obowiązku łóżu małżeńskim z zagłówkiem z granatowej sztucznej skóry. Poza tatą nikt nie zamykał drzwi; ani ja, bo miałam wtedy prowizorycznie przybitą do ściany framugę z desek, w której nie mieściły się żadne drzwi, ani mama, bo zawsze wieszala na klamce wyprasowane koszule. Kryształowe popielniczki, znalezione na pchlim targu jeszcze przed moimi narodzinami, stały w każdym pokoju. Na jadalnianym stole leżał obrus, który mama zmieniała co dwa tygodnie, jednak nie ze względu na plamy po wspólnych posiłkach, tylko warstwę gromadzącego się kurzu. Jedzenie przynosiła mi do pokoju, zazwyczaj to samo, co dziadkowi, może jeszcze z jakąś sałatką, na przykład sałatą lodową z drobno pokrojoną cebulą i sokiem z cytryny. Jadłam w przerwie między jedną a drugą zabawą, siedząc na podłodze. Resztki zjadał w nocy tata. Wyjmował je z lodówki i nakładał na talerz, który później opróżniał w niebieskim świetle telewizora. Nieustający szum programów usypiał mnie

wieczorami i zamieniał się w odgłosy radia, uruchamia-
nego tuż po przebudzeniu; początkowo dźwięki płynęły
z głośników przenośnego magnetofonu, później najwięk-
sze przeboje lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych
dudniły z małych otworków odbiornika wmontowanego
w mikrofalówkę. Tata siedział z nogą założoną na nogę
w najdalszym kącie salonu i pochrząkiwał nad rachun-
kami. Mama suchym mopem zgarniała włosy z płytek
na podłodze w łazience. Do szklanki z wodą wrzucała
witaminowe tabletki, które bulgotały i rozpuszczały się,
zabarwiając wodę na pomarańczowo i roztaczając po
kuchni sztuczny zapach mandarynek. Nawet silny środek
czyszczący nie usuwał lepkiej warstwy pokrywającej blat
w kuchni. Brud pozostawał także za bojlerem do ciepłej
wody, którego miedziane rury znikwały w podłodze; niósł
się po nich stukot, gdy dziadek wchodził u siebie do kuchni.



Żyłam w innym systemie znaków. Prawidłowa interpretacja najmniejszej zmiany w ustawieniu mebli mogła okazać się kluczowa, by przeżyć. Już w drzwiach musiałam robić rozeznanie, co dzieje się w mieszkaniu, sprawdzałam, czy w powietrzu nie ma napięcia, jak ktoś, kto mieszka na wsi i szuka schronienia przed burzą. „Gdy zaczyna błyskać, nie wolno stawać pod drzewem!”, powtarzano nam w szkole, „Samochód to klatka Faradaya”; dla mnie jednak informacje te okazywały się bezużyteczne, istotne było co innego: przy zamkniętych drzwiach do salonu należało poruszać się bezgłośnie. Odłamki szkła stanowiąły jedynie pierwszy znak; każdy mógł zobaczyć je gołym okiem, w moim przypadku liczyło się jednak to, co

się działo, zanim się pojawiły. Chodziło o to, by zachować szczególną ostrożność, z a n i m się zacznie, i wycofać się z linii frontu. By nie ponieść odpowiedzialności. By nie postawić niewłaściwego kroku, zbyt głośno stąpając, nie wywołać fali gniewu; by ręka nie zsunęła się przy nalewaniu wody do szklanki i by nie zalać nią blatu, sprawiając, że będąc stała obok, gdy krople bardzo powoli zaczną skapywać na podłogę. „Nawet tego nie potrafisz zrobić dobrze”, mówił wtedy tata, po czym trzaskał drzwiami i zwracał uwagę na coś innego, co zrobiła mama: nie tak zamiotła, nie tak zaparzyła kawę. Nawet jeśli zamiatałam ja – co tata zazwyczaj kwitował rzuconym w stronę mamy: „Tak to się robi!” – przy innej jakości powietrza reakcja mogła być odwrotna. Wówczas wołał: „Cicho bądź, cisza!”, a napięta skóra wokół ust, którą powinnam była rozpoznać jako pierwszy znak, zamieniała się w głębokie bruzdy i łączyła ze zmarszczkami gniewu, które już wtedy przecinały jego czoło i zostawały na nim przez cały dzień. Musiało chodzić o te zmarszczki. O to, jak mama w milczeniu składa pranie, zwrócona w jego stronę. O porę, gdy szedł po coś do jedzenia. Czy mył głowę. O drzwi do salonu. A wszystko to oblekała cisza, która wyostrzyła u mnie szósty zmysł.



Sophia mówiła, że nazywają ją „chodzącą encyklopedią”. Określenie to usłyszała w programie detektywistycznym na kanale KIKa, jedynym, który pozwalali jej oglądać rodzice. Wtedy też faktycznie zaczęła przed snem studiować *Słownik niemiecko-francuski Langenscheidt* należący do jej mamy. „Zawsze można się czegoś nauczyć”, mówiła; także to stwierdzenie musiało u kogoś podsłuchać.

Podczas gdy w ciepłym świetle lampki nocnej kartkowałam żółte tomiszczce, ja leżałam sztywno w ciemności, przerabiając swój własny słownik, tłumacząc skrzywienie starych belek w domu, brak szklanek w ciągu dnia w kuchennej szafce i to, że część z nich piętrzy się w salonie, a pozostałe, popękane i porysowane, leżą w śmietniku. Usiłowałam zostawić po sobie jak najmniej śladów, by nikt nie wezwał mnie na dywanik. Szklanki najwyraźniej poruszały się same, jak na seansie spirytystycznym. W ciągu dnia, gdy byłam w szkole, jakby za sprawą kosmicznej siły szyba w szafce wypadła z ramy. Mama zmiotła odłamki szkła.



Zaczynał się nowy odcinek *Milionerów*. Tata punktualnie co do minuty włączał telewizor i gdy znał odpowiedź, z zadowoleniem zaciągał się papierosem. Wydawało mu się, że w szkole wymaga się ode mnie tego samego co od kandydatów do programu, czyli odpowiadania pojedynczymi słowami. Też tak myślałam, przez co ze sprawdzianów notorycznie dostawałam gorszą ocenę, bo pod każdym zadaniem pisałam tylko jedno krótkie zdanie, nie uwzględniając wszystkich tych myśli, które wcześniej krążyły mi po głowie; nie sądziłam bowiem, że mogą one kogokolwiek interesować i być odpowiedzią, jakiej ode mnie oczekiwano. W umyśle brakowało mi miejsca na *accent aigu*, *accent grave*, na znaczenie słów *marché*, *des légumes*, *des fruits*, *un kilo d'artichauts*. Pan Kaiser demonstrował, jak karczochy obrywa się z liści i zanurza w roztopionym maśle; „Na przystawkę, marynowane z odrobiną czosnku, do tego aperitif, *un verre de vin*,

s'il vous plaît”, mówił, w jednej dłoni trzymając wymaginywany skórzany liść, a w drugiej kieliszek wina i prostując mały palec. Dla mnie nie liczyło się zapamiętanie tych znaczeń, tylko znaków, które mamie i mnie dawały pewność, że przeżyjemy. Przyschnięte resztki wina w garnkach wywoływały odruch, tak jak w innych sytuacjach mruganie czy zakrycie głowy w wypadku niebezpieczeństwa. „Nic nie mów”, prosiła mama, więc milczałam, a w mózgu zamiast obszaru odpowiedzialnego za zapamiętywanie słownictwa miałam ten odpowiedzialny za ciszę; za właściwość ciszy nastającej chwilę po tym, jak rozlegał się brzęk tłuczonego szkła.



„*Milionerów* już obejrzał?” pytał dziadek po południu, gdy tata po pracy przychodził do jego salonu; starsuszek w fotelu słuchał wiadomości i serwisu sportowego, po czym rozmawiali o tym, którą odpowiedź znali, a której nie. Znajomość odpowiedzi na pytanie za milion była kluczem do ukrytego świata, i choć ów klucz mieli w ręku, to do tego świata nigdy nie udało im się dotrzeć. Tata co tydzień dzwonił i starał się dostać do programu; cienkim, nieśmiałym głosikiem podawał nazwisko i nagrywał się na automat, a ja za każdym razem miałam nadzieję, że go nie wylosują, bo wiedziałam, że siedząc tam, na tym podwyższonym aluminiowym krześle, z zapadniętymi ramionami, oślepiiony światłem reflektorów, tak bardzo by się zdenerwował, że przez cały program serce waliłoby mu jak młot i nie wydusiłby ani słowa.



Czasem rodzice przezornie wysyłali mnie do dziadka. Siadałam na szarej kanapie w kształcie litery „L” rozciągającej się przez salon; białe firanki zasłaniały uschnięte kaktusy, przy krótszych ścianach stały dwie meblościanki. Za drzwiczkami kryły się rzeczy, których po przeprowadzce nikt nie tknął od dwudziestu lat i o których istnieniu dziadek prawdopodobnie zdążył zapomnieć. Na regałach piętrzyły się książki w obwolutach, wszystkie otrzymał jako członek klubu książki. Nie chciał rezygnować z prenumeraty, choć od dawna już nie był w stanie czytać, i raz w miesiącu wysyłał tatę do sklepu po kolejny tytuł, który następnie – bywało, że wciąż zafoliowany – dołączał do pozostałych. Wyciągałam kilka kredek z szuflady w szafeczce nazywanej przez dziadka „maszyną do szycia”, bo gdzieś w środku stał jeszcze stary, nieużywany już singer. Ustawiony na niej telefon zniknął pod stosem notesów i luźnych kartek na notatki, obok znajdował się kufel do piwa z długopisami, z czego połowa to były puste obudowy z nazwą firmy, gdzie wciąż pracował tata. Rysowałam fioletowe linie, a wzór obrusu – tkany materiał i haft z kwiatami – odbijał się na papierze, podczas gdy w telewizji pierwszy z kandydatów zasiadał na swoim miejscu.

Dziadek z trudem uniósł się z fotela i powłóczęc nogami, wyszedł do kuchni w poszukiwaniu jednego z talerzy, które w lodówce zostawiała dla niego mama. Wsunął rękę na środkową półkę, nie prostując palców; dziesiątki razy widziałam, jak wykonuje ten ruch, a teraz słyszałam, że natrafia na różne opakowania, aż wymacał folię pokrywającą miękkie kawałki kurczaka. Widział jeszcze na tyle wyraźnie, by stwierdzić, zanim zrobię to ja czy rodzice, że na dworze zapadł zmrok, gdy wciąż

było jasno, ale słońce zniknęło już za domami sąsiadów; zmysł ten, zamiast słabnąć, zdawał się wyostrzać. Talerz obracał się w żółtym świetle mikrofalówki. Dziadek widział jego zarys, ale nie dostrzegał bryzgów sosu pomidorowego i szpinaku wypalonych na białej powłoce. Buczenie dochodziło z kuchni i mieszało się z melodią w reklamach na kanale RTL i głuchymi odgłosami parku przemysłowego, podczas gdy z piętra wyżej docierały głosy rodziców. Mimo że tłumił je korek, parkiet i belki stropowe, wciąż słychać było wściekle krzyki. Coś nade mną spadło na podłogę. Pochyliłam głowę nad kartką z odrysowanym na fioletowo wzorem obrusu.

– Znów wcześniej robi się ciemno – stwierdził dziadek, gdy z talerzem w ręku wrócił do salonu. Kiwnęłam głową.

Minęło kilka sekund, w trakcie których na górze znów rozległ się stłumiony odgłos. Dopiero po chwili zorientowałam się, że przecież dziadek nie mógł zobaczyć mojego przytaknięcia.

– Tak – potwierdziłam, chociaż wcale nie zapadł jeszcze zmrok.



To, że nie mogłam należeć do elity, wynikało także z tego, że barmani z okolicznych knajp znali nasz numer telefonu. „Znów śpiewa?”, szeptała w nocy do słuchawki mama, po czym cicho narzucała kurtkę i słyszałam, jak zdejmuje klucze z półki. Nieustannie odbierała go z barów „U Conny’ego” albo „Pod Pijanym Zającem” i prowadziła do domu, brała go pod rękę, gdy niebezpiecznie zataczał się w stronę jezdni, zawstydzona wbijała wzrok w ziemię, mijając ludzi nadchodzących z naprzeciwka.

Scena ta mogła wydarzyć się w którymkolwiek stuleciu. Jedyną oznaką współczesności były migające światełka automatów do gry ustawionych w knajpach, elektryczne lampki, telefon, dzięki któremu ktoś dzwonił po mamę, i włączony w kącie telewizor. Scena ta równie dobrze mogła odgrywać się w latach pięćdziesiątych w zakurzonej knajpie, nazywanej wówczas jeszcze „szynkiem”. „Znów byłeś w szynku?”, dziadek przyjaźnie pytał tatę. Scena ta miała miejsce już setki razy i mogła wydarzyć się gdziekolwiek, w każdej górskiej wiosce i nad morzem, wśród rybaków i piaszczystych ulic w wiosce mamy. Doświadczenie to musiało być już po prostu wpisane w ludzki genom, przez co mama wiedziała dokładnie, co robić: wepchnąć tatę do mieszkania, położyć go na kanapie i ściągnąć mu buty, jak gdyby było to miejsce wyznaczone jej przez naturę.

Rano mieszkanie pachniało przetrawionym alkoholem, a po południu, gdy wracałam ze szkoły, klucz w drzwiach wejściowych tkwił od środka, więc musiałam wypychać go z zamka długopisem wyciągniętym z piórnika. Spodziewałam się czegoś strasznego, jednak zastawałam tylko promienie słońca, które padały na butelki i oświetlały resztki kłębow dymu. Stojąc w pustym mieszkaniu z tornistrem w ręce, uświadamiałam sobie, że tata znów zniknął i o mnie zapomniał.



Wynikało to także z tego, że moi rodzice prenumerowali magazyn telewizyjny i nikt u nas na co dzień nie czytał gazet – a przynajmniej to właśnie gazety były tym, na

co konkretnie wskazywali nauczyciele. Nie wiedziałam, jak w tym wszystkim przekonać rodziców, by zaczęli je kupować.



– T a r g: *qu'est-ce que c'est?*

Pan Kaiser podkreślił to teraz tak, jakbym mogła nie zrozumieć także i niemieckiego słowa.



Wynikało to także z tego, że przy swojej ostatniej wizycie w klubie książki tata kupił tom *Wiedza ogólna. Wszystko, co należy wiedzieć*, ale poddał się po kilku pierwszych stronach. Podobnie jak on sądziłam, że książka może uleczyć mnie z moich niedoskonałości, dlatego na pytanie Sophii, jakie mam plany na weekend, odparłam, że całe dwa dni zamierzam „tylko czytać”. Sophia kątem oka rzuciła mi spojrzenie, które wydawało się nieco deprecjonujące. Bo próbowałam zachowywać się elitarnie. Bo przyjełam pozę, która nie była wiarygodna. Bo pewnie kłamałam i wcale nie chciałam czytać, tylko siedzieć przed telewizorem i żuć ziarna słonecznika, wyluskując je z łupin, aż moja dolna warga rozmięknie i zrobi się zupełnie biała.

Sophii tylko od czasu do czasu wolno było oglądać telewizję oraz podjadać między posiłkami. Jej mama przygotowywała wówczas „talerzyk przekąsek”. Z najwyższej szuflady szafki na kółkach, której Sophii nie wolno było otwierać samej, wyciągała słodczyce, rozpakowywała je i układała na talerzu.

Sophia sprawiała wrażenie, że spływa na nią rozważa jej rodziców; jakby tajemnica wszelkiego sukcesu tkwiła w sposobie podania odliczonych batoników, w noszonych przez nią rybackich i oryginalnych butach Adidasa, a także miękkich gumkach do włosów, dobieranych pod kolor koszulki.



Czułam, jak pod bluzą robi mi się coraz bardziej gorąco, w ustach ślina zaczyna się cofać, a język leży drętwy niczym kawałek mięsa i naciska na podniebienie.

– No, dalej, nie ma czasu na zastanawianie – ponaglił. –
A więc?

Potrząsnął trzymanym w dłoni podręcznikiem. Buchnął mi w twarz jego odrzucający kawowy oddech. Nauczyciel obrócił się i powtórzył:

– Sophia. Targ: *qu'est-ce que c'est?*

– *Marché.*

Spojrzałam na wilgotny ślad palców na drewnie.



Czasami po południu szliśmy z Sophią do niej do domu. Na podłodze w salonie i jadalni leżały turkusowe dywany, płótna z fotografiami górskich krajobrazów i gepardów zdobiły ściany z białą tapetą. Przed skórzaną kanapą na szklanym stoliku stała miseczka z *potpourri* o owocowym zapachu, a w szafkach w salonie kolekcja pamiątek z podróży: popiersie Tutanchamona, naklejone na drewnianą kostkę wyjątkowe muszle i odłamki skalne spod Wezuwiusza; żadnego z tych przedmiotów nie wolno nam

było dotykać, podobnie jak kolekcji numerów magazynu „Geo”, które zbierał tata Sophii. Pod okiem gepardów, na wypolerowanym stole jadalnym, który pachniał jeszcze drogim środkiem do czyszczenia, rozkładałyśmy zeszyty i rysowałyśmy w nich trójkąty, cyrklami kreśliłyśmy koła. Gdy obsunęła mi się linijka, mama Sophii stwierdziła, że po prostu nie potrafię narysować prostej linii.

Po odrobieniu pracy domowej włączyłyśmy *Logo!*, program informacyjny dla dzieci na kanale Kika. Stałam się siedzieć prosto, podczas gdy spikerka o blond włosach z poważnym, ale i przyjaznym wyrazem twarzy mówiła coś o wojnie, która toczyła się gdzieś daleko, a my jadłyśmy ułożone w krąg batoniki kinder i cukierki nimm2.



Wieczorem przygotowałam kąpiel. Na brzegu wanny postawiłam świeczkę, położyłam się na szorstkiej emalii, a następnie zanurzyłam się w ciepłej wodzie i otworzyłam *Wiedzę ogólną*. Przeczytałam kilka zdań o starożytnej Grecji, przekonana, że przedstawiciele elity dokładnie zapamiętują i rozumieją każde zdanie. Ponieważ nie wiedziałam już jednak, co znaczy „rozumieć”, bo „rozumienie” stało się mistycznym stanem zarezerwowanym dla przedstawicieli elity, poddałam się po pierwszym akapicie.

– To nagły zanik słuchu – stwierdził lekarz.

Mama leżała w pościeli w paski, z rurką przyczepioną do grzbietu dłoni. Za oknem szumiały pozieleniałe drzewa.

– Czy w ostatnim czasie odczuwała pani dużo stresu?

Tata stał u stóp łóżka z rękoma w kieszeniach. Zdawało się, że omija wszystko wzrokiem; zamiast w oczy, patrzył lekarzowi na fartuch, podczas gdy ten objaśniał, jak dochodzi do zaniku słuchu, a także jakie będzie dalsze postępowanie.

– Na razie kortyzon.

Tata skierował rozbiegany wzrok na ścianę, jak gdyby znajdował się na niej obraz złożony z wielu elementów, a on miał spośród nich coś znaleźć, zamiast na twarz mamy, która uważnie słuchała lekarza i potakiwała.

– Nie, dużo stresu właściwie to nie – zaprzeczyła.



Wcześniej siedziałyśmy w salonie. Mama, w przeciwieństwie do taty, lubiła przytulne światło przy oglądaniu telewizji.

– Teraz możemy się wygodnie rozsiąść – powiedziała.

Włączyła stojącą na parapecie lampkę rzucającą białe światło i przygasiła tę na ścianie. Postawiła na stole miseczkę z kawałkami jabłka i plasterkami pomarańczy i drugą z orzeszkami. Film jeszcze się nie zaczął, na ekranie migwały sceny z któregoś z popołudniowych seriali. Złożyła koc, pod którym w nocy spał tata, i podłożyła go sobie pod plecy zamiast poduszki.

– Dlaczego właściwie nie śpicie w jednym pokoju? – zapytałam, wskazując wzrokiem na koc. – Przecież specjalnie kupiliście kiedyś takie duże łóżko.

– Twój ojciec chrapie – wyjaśniła. – Lubi też w nocy podjeść. Ja śpię od dziewiątej wieczorem do szóstej rano, wolę trzymać się stałych godzin, a on niekoniecznie, zazwyczaj kładzie się i wstaje o różnych porach.

Odwróciła wzrok i zaczęła wodzić nim po dłoniach. Sięgała po orzeszki i przytrzymywała je przez kilka sekund. Przeżuwał, mówiła dalej:

– Ale mimo tej całej improwizacji zależy mu na tym, żeby wszystkie jego rzeczy były bezpieczne w jednym miejscu. Tak jak my, żebyśmy były w miejscu, do którego może wrócić. Musi mieć pewność, że od dziewiątej do szóstej jestem w sypialni. Czuje się bezpiecznie, gdy rano robię pranie, a po południu zamiatam podwórko. Kiedy dzwoni do mnie z pracy, a ja nie odbieram, ogarnia go wściekłość, ale nie nagrywa się na sekretarkę, sama mam wpaść na to, że dzwonił. Nie lubi, kiedy coś przelatuje mu przez palce, nawet jeśli tylko ma takie wrażenie. Wiesz, tacy już są faceci. Zapamiętaj to sobie, choć masz jeszcze czas. A kiedy dobijają do czterdziestki, to już w ogóle dziwnieją.

Zaśmiała się, przybierając zawiadiacki i lekko uszczypliwy ton.

– Wtedy wydaje im się, że coś stracili, że muszą coś nadrobić. Niektórzy kupują sobie maserati. Nas na to nie stać, więc tata musi znaleźć sobie coś innego, ale nie pomyśli, żeby się poruszać, wyjść i odetchnąć, zamiast tego pozwala, żeby się w nim gotowało, aż wreszcie pęka. Wtedy nie wystarczą mu już ręczniki z przeceny czy bezprzewodowe telefony, które znosi do domu i zostawia w przypadkowych miejscach. „Zawsze może zadzwonić dziadek, że czegoś potrzebuje”, może sam w to wierzy, ale jednak to zawsze ja muszę odbierać telefon.

Wzruszyła ramionami i chyba przypomniało jej się moje pytanie, bo dorzuciła:

– Mnie to obojętne, czy śpimy w jednym pokoju. Mnie to nie przeszkadza. Niech robi, jak mu się podoba.

Zauważyłam dziurę w tapecie. Mniej więcej trzydzieści centymetrów pod sufitem wisiał strzęp bladopomarańczowego papieru. Pod spodem dostrzegłam coś czarnego, przyszło mi do głowy, że zamiast szarego tynku znajduje się tam ciemne, puste pomieszczenie. Szybko przeniosłam wzrok gdzie indziej, na włączony telewizor, na dłonie. Próbowalam wmówić sobie, że to jedno z tych miejsc, które wyrzuciły się wkrótce po położeniu tapety. Mama zauważyła moje spojrzenie. Także i ona przeniosła wzrok na telewizor, rada, że o nic nie pytam. Czy słyszałam w nocy coś, co mogłoby wyjaśnić powstanie tej wyrwy, czy może była ona tam już wcześniej? Czy wydarzyło się to, gdy byłam w szkole, a nie gdy akurat stanęłam jak wryta we wnęce przy drzwiach? Nie mogłam odnaleźć w pamięci żadnego nowego zajścia. Może we śnie nie dopuściłam do siebie hałasu; przywykłam do kroków w korytarzu tak bardzo, że przestałam je słyszeć. Mama

nie nosiła żadnych widocznych śladów. Rozluźniłam ramiona, sięgnęłam po pokrojone owoce.

– Spróbuj też orzechów, są naprawdę pyszne – dodała z uśmiechem.

Rozpoczęła się reklama, zbliżenie na blondynkę obracającą rumiany policzek w prawo, „cera bez niedosko...”, zaczęła. Mama ucięła wypowiedź modelki, zmieniając kanał. Zobaczyłyśmy inną kobietę, w długiej szarej sukience i dopasowanej kolorem chuście na głowie, na schodach budynku państwowego, a obok niej dwóch brunetów, jeden wyglądał na starszego, drugi musiał być młodszy. Podszedł do nich kolejny mężczyzna, który wręczył kobiecie statuetkę z przezroczystej pleksi.

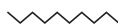
– Kto to? – zapytałam.

– Prezydent Niemiec – wydusiła z siebie mama, wciąż trzymając w dłoni pilot.

Było widać, że miał strój uszyty na miarę; garnitury dwóch pozostałych mężczyzn były trochę za duże i odstawały kanciasto na ramionach. Następnie nadszedł czas na zdjęcie, które w domu miało stanąć na regale; nikt się nie uśmiechnął, zresztą nie było ku temu powodu. Stali tak z ramionami sztywno ułożonymi wzdłuż ciała. Zdjęcie z prezydentem Niemiec, uścisk dłoni: „Mam nadzieję, że przy następnym spotkaniu będzie pani trochę lepiej mówić po niemiecku”, uprzejmy uśmiech, podczas gdy rozluźniali uścisk, a mikrofony wciąż były włączone.

– Ale kim są...

Zanim zdążyłam zadać pytanie, mama znów przełączyła na inny kanał.



Upadła na podłogę, na korkowy parkiet, który wybierała kiedyś z taką starannością, po którym przesuwała ręką, gdy na krótko przed przeprowadzką byliśmy w markecie budowlanym: „Aż przyjemnie na nim stanąć, izoluje przed zimnem. I jest bardziej miękki od drewna”.

Cechująca ją przytomność umysłu sprawiła, że tuż nad podłogą mama w mgnieniu oka wysunęła dłonie, amortyzując upadek. Jej ciałem sterowały odruchy. Nic jej się nie stało.

– Powiedział, że jestem ciapata – zrelacjonowałam mamie, gdy siedziałyśmy już w samochodzie.

W nosie miałam jeszcze zaschniętą krew, a w gardle metaliczny posmak. Nie wysunęłam rąk na czas, upadłam na beton.

– To niemożliwe – odparła jak dziecko, które nagle wszystko zrozumiało.

Wbiła wzrok w przednią szybę, po czym uruchomiła silnik.



– Słyszysz coś? – zapytała mnie z szeroko otwartymi oczami, chwilę po tym, jak rozpoczął się drugi blok reklamowy.



– Właściwie to nie odczuwałam żadnego stresu – powiedziała do lekarza.

– No dobrze, może jest pani szczególnie wrażliwa. Mówiła pani o częstych szumach w uszach. Proszę trochę odpocząć, a potem zrobimy kilka testów – odrzekł

i zachęcająco skinął głową. – Powinna pani dziś tu zostać, żeby infuzja zadziałała jak należy.

Mama kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– Niedługo będę w domu – powiedziała, kiedy lekarz opuścił salę.

Gdy wracaliśmy szpitalnymi korytarzami i minął nas ktoś na wózku, tata wstrzymał oddech i podniósł wzrok na sufit.

– Nie znoszę szpitalnego zapachu – stwierdził.

10

Z korytarza dobiegł mnie odgłos otwieranych drzwi wejściowych i szelest kurtki taty. Nacisnęłam przycisk „stop” na magnetofonie, przy którym ślęczałam przez ostatnią godzinę, ćwicząc czasowniki nieregularne na angielski. *Go, went, gone*, mówiłam do mikrofonu, by później przy odsłuchiwaniu nagrania w przerwach wypowiadać na głos prawidłowe formy przeszłe, kontrolując postępy. Wyszłam na korytarz, tata właśnie odwieszał kurtkę. Ruszyłam za nim do kuchni i usiadłam naprzeciwko, a on z kieszeni koszuli wyciągnął etui z nabitymi wcześniej papierosami.

– Jak było? – zapytałam.

– No cóż... – zawiesił głos i na chwilę podniósł wzrok, jakby usiłował przypomnieć sobie coś, co wydarzyło się dawno temu.

Wrócił właśnie z pierwszej wywiadówki. Grupkę czterdziestoparolatków wprowadzono na niej do przedsionka auli, podłużnego pomieszczenia o kamiennej posadzce, szklanym froncie i jaskrawym oświetleniu, gdzie wzajemnie unikali kontaktu wzrokowego. Dyrektor przedstawił szczegółowy program nauczania w pierwszych dwóch klasach gimnazjum i w kolejnych latach, po czym rodzice grupkami dołączyli do poszczególnych wychowawców.

– No cóż – powiedział tata. – To nie mój świat. Opo-
wiadali nam, co i jak.

– Co i jak?

– No, dwa pierwsze lata to tak jakby okres próbny. Dlatego nie łączą was z wyższymi klasami, tylko macie swój budynek i podwórko. Chcą najpierw zobaczyć, kto się nadaje. Wiele dzieci trafia tam, mimo że poziom jest dla nich za wysoki. To się nazywa „faza orientacyjna”.



– Faza orientacyjna – powiedział wcześniej dyrektor, a w świetle jarzeniówek niebieskie cienie pod jego oczami sprawiały wrażenie ciemniejszych. – Potem następuje odsiew tych, którzy sobie nie poradzą. Matura to nie żarty.

Ci najbardziej sumienni w pierwszym rzędzie, w tym mama Sophii, ze zrozumieniem kiwnęli głowami. Gdy wchodzili razem do środka, na widok taty szybko skinęła dłonią i uśmiechnęła się przyjaźnie, po czym pełna determinacji ruszyła do przodu, tata zaś usiadł w jednym ze środkowych rzędów.

O d s i e w. Dyrektor nie podjął nawet najmniejszego wysiłku, by znaleźć łagodniejsze określenie. Na ścianach wisiały prace plastyczne, co pół roku po tygodniu projektowym wymieniane przez nauczycielkę. Przed nimi stały wysokie białe stoliki i szerokie stoły bufetowe, ustawiane na imprezę z okazji zakończenia szkoły przez ostatnie roczniki po uroczystym rozdaniu świadectw.

Określenia tego użył także pan Kaiser, kiedy tata usiadł wśród innych rodziców na zdecydowanie zbyt niskich krzesłach w naszej klasie. Drzwi ozdobił plakat Wysp

Brytyjskich, na tablicy widniały napisane drżącym pis-
mem odpowiedzi ze sprawdzianu ze słówek.



– Odsiew.

Tata powtórzył to określenie niczym dogmat, po czym
dodał:

– Ciebie to nie dotyczy.

Nie chciał pozostawić żadnych wątpliwości, ale w spo-
sobie, w jaki ruszał podbródkiem, było coś innego niż
zwykle. Choć przyjęty przez niego ton miał sugerować,
że to oczywiste, słychać w nim było cień niezrozumienia.

– Chodzi o to, że w gimnazjum zbiorczym będzie
inaczej, będziecie musieli zdawać maturę, trzeba się do
tego nadawać.

Kiwnęłam głową.

– Jasne – przytaknęłam.

– Idź spać – powiedział tata. – Jutro przecież macie
sprawdzian.



Z Sophią i Pikką spotkaliśmy się następnego dnia na
przystanku. Zawsze jeździliśmy autobusem o tej samej
godzinie, choć Pikka spokojnie mógł jechać kolejnym,
bo miał bliżej do szkoły. Uczęszczał do niegdysiejsze-
go gimnazjum dla chłopców, które teraz reklamowało
się jako placówka o profilu przyrodniczym; z kolei my
z Sophią chodziłyśmy do szkoły dla dziewcząt, gdzie do
dziś najważniejszą rolę odgrywa kształcenie artystyczne.
Uczniowie z naszej miejscowości zaczęli wpychać się do

przegebowego autobusu, objając się o siebie grubymi tornistrami marki 4YOU. Niektórzy zawsze wybierali te same miejsca z przodu, ale większość wolała siadać z tyłu. Trójka dzieci stanęła w kręgu w przegubie i chwyciła się za ręce; zabawa polegała na tym, by utrzymać równowagę na zakręcie. „Proszę trzymać się uchwytów, nie jesteśmy w wesołym miasteczku”, z głośników rozległ się głos mamroczącego pod nosem kierowcy. Padał deszcz i szyby zaparowały od naszych oddechów. Kto siedział przy oknie, przecierał po nim rękawem i spoglądał na światła i kominy unoszące się nad murami parku przemysłowego. Ulica była w złym stanie i za każdym razem, kiedy autobus przejeżdżał przez wyrwę, podskakiwaliśmy na siedzeniach na kilka centymetrów.

– Kiedy pójdziemy do zbiorczego gimnazjum, będziemy mogli razem spędzać przerwy – powiedział do mnie Pikka, podczas gdy ja usiłowałam przytrzymać plecak na kolanach.

Gimnazjum zbiorcze było miejscem, w którym nasze ścieżki edukacji zbiegały się na ostatnie trzy lata przed maturą i które cieszyło się dobrą renomą. Chodziły tam wszystkie dzieci z bogatych rodzin mieszkających w okolicznych górskich wsiach; do szkoły długo dojeżdżały kolejką podmiejską, a zimą czasem przychodziły z już przemoczonymi kapturami, bo u nich śnieg zaczynał padać wcześniej, przynajmniej jeśli chodziło o te prawdziwe opady.

– Mają tam fakultety – ciągnął Pikka. – Mówili u was o tym na wywiadówce?

Przytaknęłam.

– A jaki przedmiot wybierzesz na poziomie rozszerzonym? – zapytał, majstrując przy klamrach swojego

plecaka. Zgodnie z najnowszą modą nie zapinał ich, przez co stuknęły rytmicznie z każdym stawianym krokiem.

– Jeszcze nie wiem – odparłam.

– Możemy wybrać te same przedmioty. Będzie czad! – rzucił, wzrokiem śledząc żywo płoty migające za oknem na skraju drogi, które oznaczały, że zaraz dotrze do swojej szkoły.



W przedsiönku auli pani od angielskiego dyktowała czasowniki. Gdy wszystkie sale były zajęte, zdarzało nam się tutaj pisać klasówki. Po bezokoliczniku mieliśmy podawać formę w czasie *past simple* i imiesłowy *past participle*. Tapir na głowie nauczycielki nie poruszał się, gdy przy każdym czasowniku podnosiła wzrok znad kartki. *Put!*, wołała jodłującym głosem, tak by usłyszeli ją także ci w ostatnim rzędzie. Miała na sobie beżowy kostium i pachniała drogim kremem do twarzy. Jej prawą dłoń, w której trzymała notatki, zdobił jedynie dyskretny złoty pierścionek i za każdym razem, gdy miała podyktować kolejny czasownik, w zagłębieniu między obojczykami poruszał się naszyjnik z drobnych pereł. *Begin!*, padło kolejne hasło.



Nie poszło mi zbyt dobrze. Miałam tego świadomość, gdy wieczorem siadłam na wykładzinie w pokoju i włożyłam do kontaktu wtyczkę magnetofonu. Dostanę złą ocenę. Tego dnia długopis zawisł mi w powietrzu nad

kartką, gdy nauczycielka wolnym krokiem przechadzała się między rzędami ławek. Podeszwy jej brązowych mokasynów na kamiennej posadzce nie wydawały żadnych odgłosów; kiedy na dłuższą chwilę zatrzymała się przy mnie, nie podniosłam wzroku. Nie widziałam, że na marynarce ma plamę, jej cerę pokrywa nieco zbyt gruba warstwa makijażu i że uparcie realizuje narzucony program, aby tylko nie popełnić błędu, podobnie jak wszyscy nauczyciele w naszej szkole. Zanim cokolwiek pochwalili, przeglądali najpierw swoją biblioteczkę, upewniając się, że zostały spełnione standardy. Wiedzieli, że nie mają do zaoferowania nic wyjątkowego i że są nudni jak flaki z olejem. Zostali nauczycielami, bo nie mieli na siebie lepszego pomysłu i byli wściekli na młodych ludzi, którzy każdego dnia coraz bardziej się od nich oddalali. Nie mogli znieść myśli, że owe nastolatki mają nieskończony potencjał, którego oni sami w sobie nie odkryli nigdy lub zrobili to za późno. Największa frustracja ogarniała ich, gdy któreś z dzieci miało nagle własne zdanie i podobało mu się coś innego niż *Iliada*, jak chociażby futerkowa bluza czy karty z pokemonami; patrzyli wtedy z wyższością. Dopiero gdy przystawiłam końcówkę długopisu do kartki, udając, że zaraz coś napiszę, anglistka ruszyła dalej.

„Trzeba się do tego nadawać”, pomyślałam. *Beat, beat, beaten*, powiedziałam zdecydowanym głosem do mikrofonu. *Become, became, become.*

11

Sophia zżyła się z naszą miejscowością: ze stadniną i ćwiczeniem woltyżerki, z klubem gimnastycznym, gdzie chodziła na balet, i z kościołem, który jako jedyna instytucja niezwiązana ze sportem oferowała młodym ludziom możliwość spotkań. Na krajobraz Sophii składały się te pomieszczenia i piękne ulice. Należały do niego alejka przed jej domem, porośnięta ozdobnymi klonami, które jesienią przyjmowały odcień głębokiej czerwieni, czystkiutkie fugi między płytami chodnikowymi, tabliczki z napisem „Witamy” na bramach ogrodowych, skrupulatnie wymieniane, gdy wyblakły od słońca; krzyż w centrum miejscowości, gdzie jej mama spotykała się ze znajomymi na pogaduszki, w dłoni trzymając siatkę z zakupami na dokładnie dwa kolejne dni. Ulica prowadząca do wzgórza, którą sąsiedzi, choć nie trzymali się specjalnie ze sobą, zdobili na Boże Ciało. Układali brzozone gałązki na frontonach nad drzwiami, a czerwono-białe wstążki trzepotały w stronę zbliżających się instrumentów dętych i koni. Na jednym z nich siedziała Sophia i machała do mnie, a ja obserwowałam procesję, obejmując się za brzuch i wychylając przez okno.

Na mój krajobraz składała się kratka wentylacyjna supermarketu, obok której stałam, czekając na przystanku

przed lekcjami, aż za zakrętem pojawi się Sophia. Do mnie należały opuszczone rolety „U Conny’ego”, dworzec, startujące samoloty na kwadratowym niebie w oknie mojego pokoju, słup wysokiego napięcia, mury parku przemysłowego, wznoszące się rury, i choć walczyłam z tym wszystkim, były to moje jedyne punkty zaczepienia. Naszego domu nie otaczał żaden ogród, ani jedna brzoza nie dawała cienia, bo cień wypełniał całą działkę, a nasze mieszkanie było tajemnicą, której należało strzec, bo się jej wstydziliśmy. Gdy siedziałam w rzędzie szkolnych krzeseł, wydawało mi się, że widzę migające dookoła światełka automatu do gry w barze „Pod Pijany Zającem”. W weekend grał na nim tata; to one rozbłyskiwały wokół mnie i ściągały uwagę pana Kaisera. Bez starannie dobranego stroju, kolacji o określonej godzinie i pytania o to, jak minął mi dzień, tak jak robiła to mama Sophii, bez ochronnego muru rodziców, którzy wiedzieli, o co zapytać na wywiadówce, tak by ich dzieciom dano święty spokój, byłam całkowicie zdana na jego łaskę.

– Nic dziwnego, że nie możecie zapamiętać nowych słówek, skoro cały czas oglądacie głupie programy, one zapychają wam głowy – stwierdził pan Kaiser, patrząc na mnie o sekundę dłużej niż na pozostałych.

W moim ciele zadomowiło się nieustanne napięcie odczuwane w klasie; stan gotowości w obliczu zamkniętych drzwi do salonu, notoryczne zapobieganie niebezpieczeństwu. Na mojej klatce piersiowej pojawiła się swędząca czerwona wysypka, tata smarował mi ją przeterminowanymi maściami. Bez przerwy miałam gulę w gardle, mimo to usiłowałam przełykać ślinę, i zaczęłam czuć kłucie w brzuchu. Dopiero wtedy zaprowadził mnie do

lekarza. Jego dewiza brzmiała: „To nic takiego”; wszelkie cierpienie należało znosić z zimną krwią. Nawet w dniu, gdy nagle trafił na stół operacyjny z trzema kamieniami żółciowymi wielkości orzechów, dzielnie wystawał przy swoich kadziach z ługiem, nieufny wobec zimnych potów; do lekarza wybrał się zaś nie z troski o siebie, tylko dlatego, że nie chciał przez to przechodzić; obolałe ciało obserwował niczym niegrzecznego chłopca. Przyznanie się do czegokolwiek nie wchodziło w grę. Należało szukać innych przyczyn bólu niż te oczywiste; przyczyny – jak niewłaściwą markę proszku – zawsze bez problemu dało się unieważnić, nadając samowoli życia i śmierci maskę niewinności. Tata nigdy nie chciał ustalać prawdziwych przyczyn. Ani wtedy, gdy zmarła jego matka, ani gdy dostałam wysypki i rozboleł mnie brzuch.

– To na pewno od nowego płynu do płukania – powiedział do lekarza.

– Jeśli właśnie go pan zmienił, to może być przyczyna – odparł lekarz. – Jeśli zaś chodzi o bóle brzucha – kontynuował, uciskając mi podbrzusze – to może być po prostu powietrze, ale mimo to dla pewności zrobimy rentgen.

Zdjęcia wykazały, że faktycznie chodziło o powietrze. Lekarz dotknął długimi palcami mojego dziwnego wybrzuszenia na wysokości jelita cienkiego.

– Tutaj mamy pęcherzyk powietrza – stwierdził.

Tata powtórzył z ulgą:

– To tylko pęcherzyk powietrza.

– Na przyszłość uważaj tylko przy jedzeniu, żeby się nie opychać i dokładnie przeżuwać, i będzie po sprawie.

Przytaknęłam, choć nigdy się nie opychałam, a ostatnio wręcz jeszcze bardziej apatycznie grzebałam widelcem

w sałacie lodowej. Musiałam się zmuszać, by mimo guli w gardle przełknąć kęs chleba, ale o tym nie wspomniałam. To należało przemilczeć.



Zgodnie z prognozą bóle pogorszyły się, po czym całkowicie ustąpiły. Lekarz zalecił mi nie wstawać z łóżka przez kilka dni; spędziłam je na kanapie u dziadka na dole, by nie przeszkadzać tacie, którego głośna muzyka wypełniała salon. Tutaj też podjęłam jedyną próbę przybliżenia komuś sytuacji.

– Często krzyczą – powiedziałam do dziadka, po czym się zacięłam.

Poza „krzyczeniem” nie potrafiłam nazwać niczego, ani jednej potłuczonej szklanki, ani guli w gardle. Dziadek siedział w fotelu i dłońią pocierał zamknięte oczy.

– Ano tak – stwierdził. – Tak bywa.

Po chwili ciszy, gdy musiało mu się wydawać, że zasnęłam, wstał i podszedł do stojącej za kanapą meblościanki. Otwartą dłońią przesunął po uchwytych, aż znalazł ten właściwy i za drzwiczkami ukazała się lustrzana półka z alkoholem. Wziął łyk z jednej butelki, sprawnie odchyłając głowę do tyłu, niczym lekarstwo.



– Dziadek pije – powiedziałam tacie kilka dni później.

Wyzdrowiałam, wróciłam do szkoły i byłam wręcz rada, mogąc uciec z mieszkania. Wołałam znosić docinki pana Kaisera niż słuchać dochodzących zza ściany jęków

taty i ukrywać się w obawie przed oskarżeniami o rozlane wino albo leżący na podłodze ręcznik. Chciałam go ostrzec, bo myślałam, że na dziadka może jeszcze nie być za późno; łyczek, który wziął, był przecież tak mały. Tata jak zawsze siedział na kanapie w salonie w świetle telewizora. Pochyliłam się nad nim, na mojej dziecięcej twarzy malowała się powaga. Miałam nadzieję, że zrozumie, co mam na myśli, co może się stać, jeśli nie zareagujemy. Spojrzał na mnie zaskoczony, podniósł się, ściągnął łopatki i wybuchnął śmiechem. Głośnym śmiechem, który wypełnił pokój.

Moje ostrzeżenie urosło potem do rangi utartego powiedzenia. „Dziadek pije”, wołali do siebie tata z dziadkiem, gdy tylko jeden z nich wyciągał butelkę z alkoholem, i klepali mnie po plecach.

Zamiast mówić, zaczęłam nasłuchiwać. W łóżku, wzbudzona ze snu, w którym nic mi się nie śniło. W łazience, spod ręczników, gdzie chowałam głowę. Rozbite szkło znajdowałam dopiero wtedy, gdy znów zapadała cisza, gdy już się rozeszli i nastawał kolejny poranek. Mama uśmiechała się do mnie znad kuchennego stołu, jak gdyby w nocy wydarzyło się coś pięknego, a za oknem czekał nas wiosenny dzień.

Gdy tata wypił piwo albo kieliszek szampana, udawało mi się czasem wykorzystać chwilę odprężenia i wyciągnąć z niego kilka historii o jego matce: w południe zwykła ucinać sobie drzemkę na kanapie, a potem domagała się kawy, lubiła ładne rzeczy i z pensji sprzątaczkę poza powieściolami kupowała sobie także wytworne kieliszki do likieru; czyściła podłogi u bogatych rodzin i pozwalała tacie jako „malutkiemu chłoptasiowi” siadać na miotle, a on nie posiadał się z radości. Tata śmiał się, ale jednocześnie patrzył na mnie tak, jakby przeproszał za miłe wspomnienia. „Wylew”, tyle jeszcze udało się z niego wyciągnąć, i nic poza tym. Żadnego miejsca ani daty, tę ostatnią można było tylko odczytać na czerwono-brunatnym nagrobku z naturalnego kamienia, cyfry z kutego żelaza układały się w rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty.

Po jej śmierci jego ojciec stał się tym znanym mi milczącym starym mężczyzną. Po pogrzebie natychmiast zabrał się za wymianę bojlerów z ciepłą wodą w piwnicy i kaloryferów w domu, jak gdyby była to najpilniejsza rzecz. Starych nie wyrzucił, tylko ułożył je za pancernymi drzwiami na stosiku, wśród stępionych łyżew, pozrywanych drewnianych paneli i miedzianych przewodów. Z najwyższą powagą wnosił i znosił drabinę po schodach;

stawiał kroki, chwając się na prawo i lewo, niczym olbrzym, który opada z sił. Pojawiły się niejednoznaczne objawy: zmęczenie, od czasu do czasu zaburzenia widzenia z powodu mgły przed oczami, częstsze infekcje, przez co sprawił sobie w drogerii wszystkie suplementy diety z działu „Odporność”. Z jego sypialni nieustannie dochodził zapach maści tygrysiej. Smarował sobie kostki żelem z czarciego pazura i ssał pastylki solne. Przypadkowo zdiagnozowaną cukrzycę zbył jako błąhostkę, przykład jak z podręcznika. W dalszym ciągu w niedzielę, a czasem i w tygodniu, pozwalał sobie na ciasto z kremem i był święcie przekonany, że wchodzenie po schodach na pierwsze piętro można uznać za aktywność fizyczną. Gdy pojawiły się objawy utraty wzroku, poczuł niepokój i zaczął do ciasta zjadać jabłko, bo to jako pierwsze przyszło mu na myśl jako „coś zdrowego”. Do tego dochodziła utrzymywana w tajemnicy słabość do cukierków; wzrok mu się pogarszał, więc nie dostrzegał opakowań wystających spod poduszek kanapy. Tata bez słowa wyrzucał je do kosza. Wtedy też dziadek już prawie wyłącznie przesiadywał w swoim fotelu, pomiędzy licznymi lampami, z których działała tylko ta czarno-turkusowa, oświetlająca sufit. Z upływem lat coraz bardziej przybliżał się do masywnego mahoniowego biurka, gdzie stał telewizor; opierał dłonie o blat, a twarz miał oddaloną zaledwie o kilka centymetrów od ekranu, na którym migotały kontury spikerek, i coraz bardziej mętnym wzrokiem usiłował rozpoznać na nim cokolwiek. W rocznicę swojego ślubu i w dniu urodzin zmarłej żony ogarniał go zły nastrój, a tata sam musiał domyślać się, o co mu chodzi.

Tata chciał wyprowadzić się już wcześniej, ale ponieważ jego wola nie miała żadnego znaczenia, przy czym

też współczuł ojcu, odsuwał od siebie tę decyzję, a gdy wreszcie ją podjął, zrobił to połowicznie. Rowerem w dół długą ulicą, piętnaście minut przez pole i krótki odcinek dających ochłodę drzew – tam znalazł niewielkie mieszkanie. Dwa połączone ze sobą pokoje w nowym budownictwie nad sklepem z odzieżą, łazienka z wąskim otworem zamiast okna i kuchnia o szerokim parapecie. Na ścianach frontowego pokoju powiesił gablotki i ustawił w nich kolekcję miniaturowych ciężarówek. Jako że wszystko kupował sam, mógł pozwolić sobie na czarną meblöściankę z witryną (czarne meble w latach osiemdziesiątych były oznaką nowoczesności), wieżę stereo i elektryczny czajnik, za który zganił go ojciec („Przecież mam jeszcze jeden w piwnicy!”).

Pieniądzy wystarczało na wieczory w barze z kolegami z pracy, czasem nawet „gdzieś dalej”, w mieście, które stanowiło właściwe centrum, podczas gdy tak naprawdę to nasza miejscowość była „gdzieś dalej”, tata jednak tego tak nie odbierał. Potykał się o bruk w knajpiowym zagłębieniu, przez drewniane drzwi wpadał do barów, śmiał się jazgotliwie i uderzał dłońmi o kontuar. Gdy się napił, w kółko opowiadał historię poznania mamy. Dostrzegł ją w tłumie, wpatrzoną w małą scenę, gdzie na gitarze grał jakiś nieznaną muzyk. Tata wyrósł tuż przed nią i szelmowsko puszczając oko, zapytał, czy wciąż jeszcze coś widzi. To był jeden raz, gdy bez ogródek poszedł po coś, czego chciał, jedyny raz, gdy w jakimś stopniu był świadomy swoich pragnień.



Kiedy po raz pierwszy przyprowadził mamę do swojego ojca, wpadli na niego na schodach. Mama uprzejmie skinęła głową, już wtedy spoglądała spod przymrużonych powiek. Tata opowiadał, że przypominała mu księżną Dianę, w jej spojrzeniu widać było uległość, która równie dobrze mogła być oznaką wyrachowania i siły.

– Dzień dobry – przywitała się.

Dziadek popatrzył na nią kątem oka, rzucił pod nosem „dzień dobry” i szybkim krokiem ruszył schodami w dół.



– Nie odpowiada ci? – zapytał kilka dni później tata, obracając się na kanapie w stronę fotela, gdzie siedział dziadek.

Od piętnastu minut w milczeniu wbijali wzrok w telewizor, w popołudniowym paśmie leciał właśnie talk-show.

– Nie odpowiada ci? – przerwał ciszę tata.

Dziadek tylko wysunął dolną wargę.

– Co ma mi nie odpowiadać? – zapytał.

– Ona – uzupełnił tata. – O n a ci nie odpowiada?

– Daj spokój – odparł dziadek.

Talerze po wspólnym posiłku stały jeszcze na stole. Na obiad były tłuczone ziemniaki, szpinak ze śmietaną i jajka na twardo.

– Co ma mi w niej nie odpowiadać, wcześniej czy później musiałeś sprowadzić kogoś do domu, powoli zaczynałem się martwić – dodał, a po jego twarzy przemknął cień uśmiechu, który zaraz zniknął.

– Chciałem ci ją przedstawić – rzekł tata. – Mogłeś zamienić z nią choć słowo.

– Przecież powiedziałem „dzień dobry”.

Tata wypuścił powietrze i obrócił się w stronę telewizora, po czym z powrotem opadł na poduszki.

– Nic do niej nie miałem i teraz też nic do niej nie mam – uciął rozmowę dziadek.



– Nie postawiłeś się mu! – krzyczała mama, gdy w kłótni wracali do tej sprawy sprzed lat.

Wtedy nie rozumiałam jeszcze całej sytuacji, jednak za każdym razem, gdy do niej wracali, a ja, siedząc na łóżku, słyszałam przez ścianę ich podniesione głosy, zaczynałam pojmować wszystko coraz lepiej i dopowiadałam sobie całą resztę.

– Mogłeś być bardziej stanowczy i zrobić to dla mnie – wołała mama.

– Zrobiłem, co mogłem – odpowiadał.



Kiedy mama wprowadziła się do taty, starała się w łagodny sposób dać mu do zrozumienia, że mógłby pozbyć się niektórych rzeczy. Zaczęła od kuchni. Podnosiła każdy przedmiot po kolei – wiele z nich tata gromadził w dwóch lub trzech egzemplarzach – i pytała: „A co z tym?”. Była przyzwyczajona do posiadania absolutnego minimum; przy przeprowadzce miała trzy rzeczy na krzyż, resztę zostawiła w swojej liczącej pięciuset mieszkańców wsi nad Morzem Czarnym. Pilnowała, by zawsze było odkurzone, a w oknie stały rośliny; by po powrocie do domu natychmiast ściągać buty i nie wchodzić w nich

korytarzem do kuchni, żeby coś odstawić. Często powtarzała: „Musisz posprzątać”. Nie wiem, o czym rozmawiali poza tym, zanim mama nie poduczyła się niemieckiego.

W chwili moich narodzin tata miał trzydzieści lat. Od tamtej pory mama podskórnie czuła, że znajduje się w permanentnym stanie podwyższonej gotowości. Patrzyła, jak tata pali w salonie, podczas gdy na podłodze na kocyku leży dziecko. Jak się chwieje, ociężałe zakłada w korytarzu buty i obja się o ściany. Każda osoba postronna uznałaby to za krótki zawrót głowy, jak przy szybkim wstawaniu; zdarzało się to jednak tylko raz na kilka miesięcy, zawsze wtedy, gdy dołączał do kolegów w knajpie. Wpuszczenie do swojego mieszkania kobiety i spłodzenie z nią dziecka oznaczało jego zdaniem utratę jakiejś części autonomii. Nagle ogarnęło go niejasne poczucie, że czas postawić na „samego siebie”; nie przyszło mu do głowy, że mama może czuć się podobnie. Mawiała, że tacy są faceci i powinna była bardziej zatroszczyć się o niego, by dostrzegł jej potrzeby. Raz tylko uparła się i poszła wieczorem do kina. Gdy wróciła, spałam na kanapie, a tata wykończony siedział obok. Już wtedy szkło wibrowało w witrynie, ale wszystkie dźwięki wydawały się bardzo odległe, a mama nie zostawiała jeszcze uchylonych drzwi; te do sypialni tata wyjął z zawiasów, żeby zrobić więcej miejsca. Sklep na parterze zamykano późnym popołudniem, więc nikt ich nie słyszał.

– Twój ojciec ledwo co wchodzi po schodach, powoli robi się tu za ciasno dla naszej trójki – stwierdziła. – Może lepiej by było, gdybyśmy zamienili się mieszkaniami?



Tacie z trudem przyszło złożenie wniosku o zasiłek dla dziadka i uznanie jego niepełnosprawności. Nie wynikało to ze wstydu, tylko z przekonania, że każdy własnym sumptem powinien zapewnić sobie utrzymanie i nie wolno korzystać z pomocy, a już na pewno nie tej od państwa, nawet jeżeli ma się do niej prawo. Gdy wreszcie się przemógł i zaprosił do domu kogoś z urzędu, dziadek z drżącymi rękoma wyprostował się w fotelu i pozwolił urzędnikowi otaksować się wzrokiem, niczym w ramach wielkiego testu, który wykaże, czy jest wystarczająco dobry.

Tata niepotrzebnie utrudniał sobie życie i przez to z niczym nie nadążał. Hamował go dziwaczny perfekcjonizm, tak jak wtedy, kiedy chciałam zabrać do szkoły papier toaletowy, bo w ciemnych kabinach zawsze go brakowało. Zamiast dać mi całą rolkę, albo po prostu wcisnąć mi do ręki opakowanie chusteczek, przez pół godziny starannie odrywał po trzy porcje i wkładał je do woreczka śniadaniowego. A także wtedy, gdy uparł się, że wytnie artykuł z gazety, który miałam przynieść jako zadanie domowe, i naklei go na białą kartkę papieru, zamiast po prostu wyrwać całą stronę.

– Tak to się robi! – oznajmił nieco przekornie, ja jednak wcale nie byłam tego taka pewna.

O zawodowych piłkarzach i pianistach mawiał: „Ci to musieli wcześniej zacząć”, głównie po to, by stwierdzić, że na niego jest już za późno, by zajął się czymś t a k n a p r a w d ę. W moim przypadku, choć byłam jeszcze młoda, też nie wchodziło to w grę, bo „do tego” – czyli wszystkiego, co wykraczało poza zwykłe lekcje – n a p r a w d ę potrzebny był talent. Wybił mi z głowy nawet „zadania z gwiazdką” (rozwiązanie ich było niezbędne, by otrzymać najlepszą ocenę): „Grunt,

żeby w życiu się nie przemęczać”. Żywił przekonanie, że wysiłek do niczego nie prowadzi. „Bez przesady z tą wytwornością”, stwierdził w odniesieniu do materiałowych serwetek.

Mój talent polegał na ciągłym rozmyślaniu o nierozwiązywalnych problemach i pisaniu sekretnego pamiętnika. Gdy byłam już na studiach, a umiejętność ta okazała się przydatna, stwierdził, że mój kierunek n i k o m u n i e j e s t p o t r z e b n y.



– Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie miała problemów hormonalnych – powiedział tata w Boże Narodzenie dziewięćdziesiątego szóstego roku.

Wypił już kieliszek szampana; policzki miał zaczerwienione, oczy lekko wilgotne. Owa próba wyjaśnienia okoliczności raz-dwa ukazała myśli krążące mu po głowie.

– Cukier miała w normie – rzekł dziadek, podpierając głowę rękoma.

– Ach, czyli to jeszcze byli w stanie stwierdzić? – zapytał tata.

Jego komentarz poza bezradnością wyrażał pogardę wobec t y c h, którzy być może mogli coś jeszcze poradzić.

Potem zapadła cisza.

Zamroczony szampanem przez chwilę zbierał się do kościoła na pasterkę. Odwiódł go od tego dziadek zgodnie ze swoim życiowym credo, by „lepiej nigdzie się nie ruszać”. Drzewko przystroiliśmy ołowianą lametą i bombkami ze szkła, „porządnymi ozdobami”, jakie „można było dostać kiedyś”, ale w obawie przed pożarem zrezygnowaliśmy z prawdziwych świeczek. W oknie

wisiały poźółkłe firanki. Mama wniosła pieczeń o grubej skórce i ceramiczną sosjerkę z wciąż bulgoczącym sosem; gdy odstawiała ją na stół, sos chlupnął o brzegi.

Czy grób babci zrównać z ziemią, czy nie? Termin już minął. Czy przedłużyć prawo użytkowania gruntu? Ile to kosztuje? Stwierdzenie „zrównać z ziemią” wywarło na mnie ogromne wrażenie. Dziadek zakreslił dłonią w powietrzu łuk wzniesienia, a następnie zagłębienia, „Jak ziemia się obsunie”, powiedział, mając na myśli stan, w jakim znajdują się świeże, kilkutygodniowe groby, które są tak odległe od grobu mojej nieznanej mi babci; od dwudziestu lat rzadko kiedy ktoś go odwiedzał.



Tej zimy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku w ogóle nie usłyszeliśmy huku eksplozji w kościele, choć wcale nie był tak daleko: ulicą w dół, a potem w lewo. Wszystko przez to, że tata, po dwóch szampnach popitych kilkoma piwami, w pewnym momencie włączył głośno muzykę i przygrywał do niej na gitarze, dziko wymachując głową na wszystkie strony, jak robią to długowłosi melomani. Przycupnęłam na brązowej kanapie, którą tata na tę uroczystą okazję złożył i z łóżka przemienił w mebel do siedzenia. Patrzyłam na niego i na śnieg za oknami; spikerzy w lokalnej stacji radiowej ożywionym głosem życzyli sobie „białych świąt”, ale biało zrobiło się tylko w naszej miejscowości. Pamiętam tatę i dziadka w dresach, spowolnioną mowę i przytłumiony chichot pod koniec wieczoru, a także opadające powieki. Mamę w długiej czarnej spódnicy, dłonie splecione na kolanach i trud, jaki kosztowało ją zaśmianie

się razem z nimi. W oddali być może zawyły syreny straży pożarnej, wyłączone, gdy samochód wjeżdżał do strefy zamieszkania, bo i tak nie było komu schodzić mu z drogi; tego jednak nie jestem już dziś pewna, a my i tak nie wpadlibyśmy na to, co się stało.

W nocy nie dawała mi zasnąć krążąca po pokoju mucha. Tata leżał na kanapie z zamkniętymi oczami, na twarzy miał odcisnięty wzór poduszki. Spomiędzy miękkich warg wydobyło się senne mamrotanie: „Skończ zupę”.

Być może pan Kaiser tak naprawdę chciał zostać nauczycielem, ale zabrakło mu odwagi i uznał karierę nauczyciela za rozwiązanie prostsze i bardziej bezpieczne. Być może gdy skończył dwadzieścia lat i zaczął studia, pomyślał, że miło byłoby spędzić życie z młodymi ludźmi i tym samym przedłużyć swoją młodość, mając na wyciągnięcie ręki świat, który rozumie i w którym kiedyś odnosił sukcesy, bo zawsze zgłaszał się w odpowiednim momencie i nagradzano go za przemądrzały sposób wypowiedzi. Lata jednak mijały i w okolicach trzydziestki uznał, że nie znosi hałasu. Każdego ranka szeroko otwierał okna, bo młodzież w okresie dojrzewania roztaczała nieprzyjemny zapaszek. Mówił: *Nous avons besoin d'air frais!*, a w jego głosie słychać było wysiłek. Następnie uczył podopiecznych posłuszeństwa, każąc im siadać i wstawać. Wołał: *Levez-vous!* – i uczniowie wstawali. *Asseyez-vous!* – i salę wypełniało szuranie krzesel. Gdy miał okienko, spotykał się z panią od chemii w kantorku za pracownią, gdzie przechowywano kwasy, ługi i wszystkie proszki. Na jednym z regałów ukrywała butelkę alkoholu; na przemian ukradkiem brali kilka łyków, jak gdyby sami byli uczniami. Pan Kaiser od urodzenia gorzej widział na lewe oko, ale zaczęło mu to przeszkadzać dopiero wtedy, gdy do grona nauczycielskiego dołączyła właśnie

ona (czyli przed prawie dziesięcioma laty). Wtedy też sprawił sobie okulary z przyciemnianymi szklami, które jednak nie do końca skutecznie maskowały uciekające oko. Z niesmakiem przyglądał się młodemu dziewczynom w pierwszym rządzie, codziennie ustalającym, co założą nazajutrz, a gdy zbliżały się wakacje i zbyt głośno mówiły o swoich krajach pochodzenia, sugerował, że powinny się lepiej zintegrować.

Wiosną, przed Wielkanocą, odbywały się tygodnie projektowe. Siódme klasy miały obowiązek wzięcia udziału w przygotowaniach do debaty młodzieży, ponieważ ta, zgodnie z broszurami edukacyjnymi, służyła „wzmocnieniu postawy demokratycznej”. Zwycięzcy mogli następnie uczestniczyć w konkursie na poziomie landu. Na wszystkie tematy sformułowano jasne pytania, na które można było odpowiedzieć „tak” albo „nie”: „Czy pary homoseksualne powinny móc adoptować dzieci? Czy należy zlikwidować podwójne obywatelstwo? Czy należy zakazać noszenia chust na głowie w instytucjach publicznych?”. W broszurze zalecano zacząć od „pytania żartobliwego”. Brzmiało ono: „Czy obowiązek szkolny powinien dotyczyć także żelkowych misiów?”. Czworo uczniów usiadło przy ustawionych naprzeciwko siebie stolikach i z chichotem zaczęło przedstawiać swoje argumenty.

Spśród wielu karteczek pan Kaiser wyciągnął pierwszą z poważnym tematem. „Czy ojcowie powinni móc współdecydować o aborcji?”. Rzucił monetą i wylosował zespoły; my z Sophią miałyśmy być za. Zaczęłyśmy naradzać się i zbierać pomysły.

– Co też wymyślą nasi przeciwnicy? – wyszeptala zduszonym głosem Sophia. – Musimy się przygotować!

W napięciu przez chwilę popatrzyła przed siebie, po czym z zapaląm zabrała się do notowania najważniejszych punktów.



Przeczuwałam to już rano, zanim jeszcze się zaczęło, w drodze do szkoły, gdy mijałam chore drzewa rosnące wzdłuż ulicy. Rwący ból w podbrzuszu sprawił, że przypominały mi się wąskie rubryki w czasopismach, z których dowadywałam się wszystkiego o tym, co dzieje się z moim ciałem. Mama mojej intuicji nie potraktowała poważnie, bo uważała, że dwanaście lat to za mało. „Dzieci coraz wcześniej dojrzewają płciowo”, brzmiał jeden z nagłówków i było w tym coś obrzydliwego, coś brudnego; nie wiedziałam jednak, dlaczego określenie „dojrzałość płciowa” źle mi się kojarzy. W czasopismach widziałam tampony zawinięte w różowy papier jak cukierki i podpaski z miękkiej, pachnącej bawełny. Krew miała zbierać się w pęczniejących perłach, które w reklamach zawsze miały intensywnie niebieski kolor. Mama w pośpiechu wcisnęła mi do ręki cienkie wkładki, żebym przestała o tym mówić. Gdy się zaczęło, na początku czułam tylko lekki ból, potem jednak musiałam spędzić cały dzień w łóżku, w moim małym dziecięcym łóżku, na tle tapety w słoniu. Bolało tak bardzo, że zwinęłam się pod kołdrą i nie byłam w stanie robić nic poza stękaniami w poduszkę; gdy skurcze nieco ustały, zasnęłam z wyczerpania. Najbardziej martwiło mnie, że opuszczę lekcje, bo bóle nie jawiły mi się jako dostateczny powód do zostania w domu, tylko osobista porażka. Wkładki od mamy nie wystarczały, a ja myślałam, że tak musi być:

co dziesięć minut trzeba iść do toalety i stąd biorą się żarty o tym, że dziewczyny mają małe pęcherze.

W damskiej toalecie nieustannie unosił się zapach zwietrzałego dymu, ściany kabin pokrywały napisy i graffiti; nie było śmietników, bo rzekomo byłyśmy za młode. Do tego dochodził fakt, że wszystko od razu znikało i było niszczone, przez co w podstawkach brakowało nawet szczotek toaletowych. Zwinęłam zużytą wkładkę i położyłam ją za postumentem muszli w nadziei, że nikt jej tam nie odkryje, po czym zza paska od spodni wyciągnęłam kopertę z motylkami, którą ukryłam, gdy szybkim krokiem wychodziłam wcześniej z sali równo z dzwonkiem, by na korytarzu nikt nie zobaczył mnie z tyłu.



W magazynach pisali, że z niczym nie należy się spieszyć. W każdym numerze w rubryce *Mój pierwszy raz* publikowano historie rzekomo nadesłane przez czytelniczki. Zawsze wszystko działo się bardzo powoli i w blasku świateł. Wyobrażałam sobie ich ruchy, miarowe i dostojne, jak gdyby to było jakieś nabożeństwo, a pomieszczenie nieustannie wypełniało brzmienie mis tybetańskich. Miesiączka jako coś wyjątkowego wymagała zakupu wielu nowych akcesoriów; na dwóch stronach przedstawiano termofory, herbatki z kwiatu hibiskusa, różowy kwarc, zdobione kwiatami etui na podpaski, tuż obok znajdował się „miękki polar”, a luki wypełniały modelki, które nakładały na grzbiet nosa maseczkę, aby już w zarodku zdusić przyszcze wynikające ze zmian hormonalnych („Do kremu do twarzy dodaj kroplę olejku miętowego”).

Mama zwolniła mnie z wuefu, ale nauczyciel nie zaakceptował uzasadnienia. Nie uwierzył, że mam bóle, i uznał, że ruch dobrze mi zrobi, a ja szukam wymówki, bo nie lubię piłki nożnej, po czym posłał mnie na bramkę, w skarpetkach, bo na salę nie wolno było wchodzić w butach z ulicy. Gdy chłopaki z całej siły strzelały do bramki, a twarde piłki odbijały się od ścian, zasłaniałam twarz rękoma. Poczułam, jak krew odpływa mi z kończyn i oblewa mnie zimny pot. Zatrzymałam się na chwilę, po czym przykucnęłam, żeby się nie przewrócić, a napastnicy zawołali: „Teraz!”, celując obok mnie w wolną przestrzeń.



– Z pasją, z pasją! – wołał pan Kaiser z mojego miejsca, które zajął podczas dyskusji.

– Ojciec powinien móc współdecydować, bo sam doprowadził do poczęcia, bez niego nie byłoby dziecka – powtórzyłam argument, który razem z Sophią sformułowałyśmy według podanego wzorca: postulat – uzasadnienie – wniosek. Mimo to nie udało mi się sprawić, by zdanie nie zabrzmiało jak rzucone ukradkiem pytanie.

– Ojcu też nie jest łatwo beczynnie przyglądać się wszystkiemu – stwierdziła Sophia.

Spojrzałam na nią zaskoczona, bo odważyła się wyłamać z zażartej wymiany argumentów. Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Nasi przeciwnicy zaczęli nerwowo wertować notatki.

– Matka jako jedyna powinna mieć prawo... – zaczęła czytać jedna z nich, ale pan Kaiser jej przerwał.

– Nie, chwila, to było dobre, spróbuj jeszcze odnieść się do tego, niech dyskusja nabierze rumieńców! – zalecił, wymachując długopisem w powietrzu.



Po lekcjach, gdy byłam jeszcze w sali i wyciągałam z plecaka pudełko śniadaniowe, zza drzwi usłyszałam okrzyki: „Co to jest!” i „Fuu!”. Kiedy ruszyłam korytarzem i miijałam toaletę, zobaczyłam, że kilka dziewczyn zebrało się przed kabiną, w której byłam na ostatniej przerwie, i zaglądało do środka z bezpiecznej odległości. Przez szparę w drzwiach, między stojącymi blisko siebie nogami, dostrzegłam wkładkę higieniczną, która rozwinęła się, ukazując warstewkę krwi.



Dzień Dziewczyn odbywał się po feriach wielkanocnych. Podstawiono dla nas autokar, który woził nas po terenie parku przemysłowego. Po raz pierwszy widziałam z bliska budynki fabryczne. Poplątane rury ogromnego kompleksu destylacyjnego wydawały się jeszcze bardziej nierealne; podniosłam wzrok tak wysoko, na ile pozwalało mi okno w autobusie. Sophia szturchnęła mnie w bok.

– Zobacz, piszą już o tym w gazetce szkolnej – powiedziała, wskazując na artykuł rozłożony na kolanach.

Dostała się do szkolnego finału, a jeśli wygra i tu, będzie mogła wziąć udział w konkursowej debacie na poziomie landu. Lekko rumieniąc się z radości, kurczowo trzymała kartkę i po raz drugi i trzeci czytała akapit, w którym pojawiało się jej nazwisko.

Na schodach przed wejściem do koncertu chemicznego fotograf zrobił naszej grupie zdjęcie do lokalnej gazety, która miała napisać o Dniu Dziewczyn. Przeniosłam ciężar ciała na lewą nogę, odgarnęłam z czoła kosmyk i podpięłam go żabką, co podpatrzyłam w gazecie dla dziewczyn; nie zapięłam górnego i dolnego guzika swetra, a frędzle przy nogawkach dzwonów wisiały mi nad kostkami, bo zdążyłam już wyrosnąć ze spodni, które miałam od zaledwie kilku miesięcy. Starłam się nie przybierać wrogiego wyrazu twarzy. Nie chciałam uśmiechać się z zębami i lekko zacisnęłam wargi w nadziei, że dzięki temu będzie widać mój różowy błyszczczyk polecany w gazecie. Czubki palców wsunęłam do kieszeni spodni, głębiej się nie dało.

– Wiesz co? – powiedziałam do Sophii, gdy fotograf już sobie poszedł. – W ciągu tygodnia jesteś od razu w dwóch gazetach, niedługo ludzie będą cię rozpoznawać na ulicy!

Sophia odrzuciła głowę do tyłu, zanosząc się śmiechem.

Odebrała nas kobieta z plakietką, na której widniało logo Dnia Dziewczyn. Ruszyliśmy za nią, przechodząc obok otwartych drzwi, za którymi mężczyźni w białych kitlach stali przy mieszarkach. Patrzyłam, jak badają zachowanie różnych tworzyw sztucznych, na nosach mieli okulary ochronne i w skupieniu wpatrywali się w magnesy obracające się na dnie mieszadła. Kobieta wskazała na nich zamaszystym gestem, nie wolno nam było wejść do środka. Następnie poszliśmy piętro wyżej, gdzie znajdowały się biura technologiczne i księgowość. Weszliśmy do pokoju kobiety, specjalnie na tę okazję ubranej w bluzkę z kołnierzykiem, pod którym, chyba niewprawnymi

rękoma, zawiązała krzywo kokardę. Stłoczyłyśmy się wokół jej biurka. Pośrodku stał czarny telefon, a dookoła leżały folie z wykresami. Kobieta uśmiechała się i pobiełałymi ze zdenerwowania palcami wskazywała na grafy.

Na koniec pani zaprowadziła nas do pomieszczenia, gdzie z sufitu zwiślały różowe girlandy, a na serwetkach rozłożono precle. Na podstawie wyświetlanej na ścianie prezentacji w PowerPointcie szczegółowo objaśniła, że odsetek kobiet wśród pracowników wynosi około trzydzieści procent oraz że im bliżej szczebla dyrektorskiego, tym bardziej się zmniejsza.

– No właśnie, i z czego to może wynikać – powiedziała, ale nie zabrzmiało to jak pytanie, tylko stwierdzenie, po czym podkreśliła, że po prostu musimy zdobyć się na odwagę.

Tylko w przybliżeniu wiadomo było, kiedy urodziła się mama. Babcia nie zapamiętała dokładnej daty, było jej to obojętne. Mama opowiadała o tym przez lekko zaciśnięte wargi, ledwo co słyszalnym głosem:

– Nie wiem, kiedy dokładnie wypadają moje urodziny.

Była Wagą czy Panną? Mówiła, że jej matka najpierw usiłowała się jej pozbyć, uderzając się w brzuch, jednak bezskutecznie. Wówczas poddała się i doczekała do rozwiązania, po czym znienawidziła swoją córkę. Mama opowiadała, że gdy siedziała na skraju łóżka, stopy miała w kurzu. Wstawiała o świcie, by razem z bratem sprzedawać wodę przy ulicy prowadzącej do plaży. Jako dziecko lubiła jadać surową cebulę, już na śniadanie, i jej matka zaprowadziła ją do lekarza we wsi, by dopytać, czy to może być dla niej niebezpieczne; a lekarz na to, że nie, wszystko w porządku, tylko nie powinna zjadać tych cienkich, prawie przezroczystych skórek, które można ściągnąć z pojedynczych warstw cebuli; tę historię opowiadała mi, gdy ściągałam skórkę i wkładałam ją do ust. „Tego nie jedz”, upominała. Każdego lata wakacje spędzała w szkole, bo przez cały rok nie uważała na lekcjach. Zamiast tego patrzyła za okno, na zmieniające się kolory na niebie, opierając łokcie o drewniany pulpit ławki. Szkoła, także z drewna, była parterowa, podobnie

jak wszystkie domy dookoła oraz meczet, i wystarczyło skręcić za róg i minąć plac targowy, a następnie zejść stromą ulicą w dół, by za wzgórzem zobaczyć morze. Mama zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby w jej domu nie było przemocy. „Brał pas”, mówiła. „Pach, pach”, naśladowała uderzenia. Co miałam zrobić z tą informacją? „Ty nie masz tak źle”, kwitowała.

Rozważała wyprowadzkę gdzieś daleko. Bardziej zależało jej na zamieszkaniu gdzie indziej niż nadziei, że dojdzie do pieniędzy. Oczywiście znała historie innych i ich motywacje; wiedziała, co kierowało jej starszą siostrą. Jednak w jej przypadku było inaczej: nie chciała kupić mercedesa ani nikomu wysyłać pieniędzy, z wielką pompą wracać każdego lata i upiększać rzeczywistość, z uniesioną głową opowiadać, ile zarabia, nie wspominając przy tym o fakcie, że połowę pensji wydaje na klitkę na osiedlu z wielkiej płyty, tak jak robiła to siostra.

– Miałam zostać? – zapytała głosem swojego ówczesnego „ja”. – Wiedziałam doskonale, jak by to wyglądało. Oznaczałoby to, że wyjdę za mąż i wprowadzę się do jego domu, będę gotować, sprzątać. Czyli mieć jakąś perspektywę na przyszłość i jednocześnie nie mieć żadnej. Miałam zostać...?

Obróciła dłonie do sufitu.

– Nie, to nie wchodziło w grę.



Po tym, jak wyjechała, siostra odebrała ją z lotniska we Frankfurcie. Mama miała za sobą długą podróż autokarem, w trakcie której na każdym zakręcie kurczowo chwytała się siedzenia, i jeszcze gorszy lot; przy starcie

w skupieniu brała głębokie wdechy przez nos i wypuszczała powietrze ustami, a mimo to serce nie przestawało walić jej młotem. Czuła się, jakby we śnie spadała z dużej wysokości. Siostra czekała na nią za automatycznymi drzwiami, za metalową barierką, przez którą tłum przylatujących wchodził do hali.



– Mój ojciec umarł wcześniej, bardzo go kochałam – wyznała.

Ledwo co dało się z niej wyciągnąć, kiedy i na co zmarł. Następnie zamilkła, spoglądając za okno, choć nie widziała w nim nic, tylko własne odbicie w szybie, ciemność na zewnątrz, żółte światło kuchenne za plecami. To był wypadek samochodowy, w połowie lat sześćdziesiątych, gdy ledwo co skończyła dziesięć czy jedenaście lat. Na jednej z tych serpentyn, o których wspominała, opowiadając o swoim przyjeździe tutaj: „Pochodzę z daleka, nie ma tam porządných ulic. Drogi prowadzą przez góry, ludzie jeżdżą poboczem na osłach”. Nigdy nie wiedziałam, co z tego jest prawdą, a co zmyśliła, żebym wyobraziła sobie coś tajemniczego, owe serpentyny, na których ogarniał ją strach, nie tylko przez nieprzewidywalnego kierowcę. Jej strach pojawił się już wcześniej, w przeszłości, tego popołudnia, gdy ojca potrącił samochód. Szedł poboczem, do domu miał daleko.

– Z pracy – dodała, ale już nie wyjaśniła, co to była za praca, gdzie ją wykonywał. – Zawinęli go w białe prześcieradło i spuścili do ziemi.

Wykonała dłońmi ruch, jakim mężczyźni spuszczaali sznur.

Została sama z matką, która jej nie chciała i miała już swoje lata, bo urodziła ją późno, chyba nawet grubo po czterdziestce, gdy sądziła, że już wystarczy; mama była ostatnią z sześciorga rodzeństwa. Kiedy zmarł dziadek, babka miała pięćdziesiąt pięć lat. Mamie przeszła ochota na zabawy w piasku. Na patrzenie godzinami, jak dziewczynka toczy oponę w dół stromej ulicy. Gdy mama zbyt późno wróciła do domu, rozlała mleko, nie wstawiła wazzy jak należy, nie ukloniła się w należyty sposób i nie pocałowała babki w dłoń, gdy przez chwilę tkwiła w bezruchu, choć kazano jej usiąść, babka ściągała but. Kiedy mama dorosła, ogarnął ją gniew i czasami specjalnie długo nie wracała do domu, umyślnie pozwalała, by uderzenia trafiały w jej ramiona, stawała naprzeciwko z dzikim spojrzeniem, tylko na to czekając. Gdy miała szesnaście lat, pewnego razu potajemnie spotkała się z przyjaciółmi nad morzem, nieopodal szerokiej promenady, od razu widocznej dla każdego, kto szedł w stronę wody, tam, gdzie skały otaczały zatokę. Ktoś przyniósł raki, ukradzioną rodzicom i przelaną do jednej z butelek po wodzie, które sprzedawał popołudniami na ulicach. Mama wypić o kilka łyków za dużo, ale zrobiła to umyślnie. Zataczała się potem do domu, czując ciepło w buzi pełnej śliny, z błogością rzucając za siebie spojrzenia na latarnie na plaży, chybotające się słupy wysokiego napięcia i okna, w których ludzie zasiadali na podłodze do posiłku. Stała w drzwiach, babka zauważyła ją od razu. „Co ty wyprawiasz?”, krzyczała, a mama nie odpowiadała, tkwiła w bezruchu. Babka tym razem zadała sobie trud przyniesienia metalowego pręta z paleniska. Mamie zmiękły i zdrętwiały policzki, jak pokryte warstwą gęstego kremu. Rozluźniły się jej ramiona i ręce, zwisające wzdłuż

ciała, podczas gdy babka szarpnięciem przyciągnęła ją do siebie i zaczęła bić po plecach, aż uderzyła tak mocno, że mama poddała się i upadła na czworaka na drewnianą podłogę. Pociemniało jej przed oczami. Poczowała, jak miękkość od policzków i ramion rozchodzi się po całym ciele; taniec zakończeń nerwowych w ustępującym bólu opatulił ją od pleców całą niczym kołdra.



W Niemczech zauważyła, że niebo prawie zawsze jest zachmurzone, częściej i dłużej jest zimno niż w rodzinnych stronach. W sypialni na krześle siostra zostawiła jej grubszą sukienkę, kurtkę i szalik. Mieszkanie było dwupokojowe z małą kuchnią, która bardziej przypominała komórkę. Przynajmniej miały balkon. Mama wprowadziła się do klitki z dwoma wąskimi oknami; jedno, tuż pod sufitem, można było tylko uchylić, drugie znajdowało się na wysokości oczu i było przez nie widać balkony w domach naprzeciwko, a przestrzeń pomiędzy wypełniał trawnik z równo ustawionymi suszarkami na pranie.

Jej siostra sprzątała w kompleksach biurowych w centrum miasta. Wstawała wcześniej, bardziej w nocy niż rano, bo musiała skończyć, zanim pojawili się pierwsi pracownicy. Gdy pierwszej nocy w wąskim korytarzu po cichu narzucała kurtkę i zamykała za sobą drzwi, mama się obudziła. Ściany były tak cienkie, że stłumiony odgłos kroków niósł się jeszcze z klatki schodowej. Siostra załatwiła jej pracę w tej samej firmie; miała zacząć tydzień po przyjeździe. Nie musiała rozumieć zbyt wiele, wystarczyło chodzić wyłożonymi wykładziną biurowymi

korytarzami i pchać wózek pełen wiader po brzegi wypełnionych wodą, worków na śmieci oraz ścierek, z pokoju do pokoju, podnosić dziurkacze, klawiatury, tacki na dokumenty, wycierać powierzchnie pod spodem i odstawiać rzeczy na miejsce. Koleżanka tłumaczyła polecenia szefa, który mówił: „Wycierać – na czysto!” i palcem przesunął po blatach, po czym sprawdzał, czy na opuszkach nie został kurz. Koleżanka tłumaczyła: „Chce, żebyśmy teraz wytarły biurka”, „Chodzić – szybko – mówił szef – a nie powoli!”. „Chce, żebyśmy szybciej pracowały”, powiedziała, a mama przytaknęła i spojrzała kobiecie w oczy, zastanawiając się, czy z czasem na jej twarzy pojawią się takie same zapadłe cienie i mnóstwo małych zmarszczek, a skóra pod oczami zacznie przypominać pogniecione prześcieradło.



Mama powiedziała, że kiedyś ugryzł ją lew.

– Prawdziwy lew? – zapytałam.

– Tak – odparła. – Zobacz, tutaj.

Wskazała miejsce na karku. Nachyliłam się, ale zanim zdołałam z bliska przyjrzeć się długim bliznom, obróciła głowę w moją stronę, naśladując parskanie i ryk lwa. Przeraziłam się, a ona wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. Zazwyczaj spinała włosy tak, że przegów nie było widać, i wiązała wokół szyi chustkę złożoną w trójkąt.

Mieszkańcy nienawidzili piaszczystych dróg i wsi, o których wspominała mama, chyba że sami przyjeżdżali tu na wakacje i rozkładali na leżakach ręczniki. To był żart, który Kaya Yanar opowiedział w telewizji w piątkowy wieczór: „Latem wszyscy Turcy jadą do

Turcji, a Niemcy po prostu zabierają się razem z nimi!”.
W mieszkaniu rozległ się głośny śmiech mamy.



– Będą nas tu obserwować – stwierdził wówczas tata.
Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Mama przytaknęła, przyglądając się trzymanym w dłoniach strzępom tapety. Czekwała, aż tata zmieni temat, tkwiła w bezruchu jak kot, którego ktoś chwycił za grzbiet.

– Nie możemy już tak hałasować – dodał, jakby to ona ponosiła winę za latające popielniczki i drżące szyby. – Musimy wziąć się w garść. Co by było, gdyby usłyszeli nas sąsiedzi albo... mój ojciec. Musimy nauczyć się zachowywać jak należy. Musimy z tym skończyć. Z tymi kłótniami. Pomyśl o naszej córce, co ona sobie o nas pomyśli. Jasne, że rodzina to prywatna sprawa, co dzieje się w domu, zostaje między nami, relacje są po prostu trudne, to ciężka praca, tego jak najbardziej może się uczyć od maleńkości, nie mamy nic do ukrycia. Od czasu do czasu dochodzi do kłótni. Ale tutaj będą nas obserwować, mój ojciec cały czas nastawia uszu, nawet jeśli oczy mu szwankują. Przez to słuch mu się tylko wyostrzył. Nie powinien nas słyszeć, bo będzie się martwił. Więc lepiej weźmy się w garść. Nie możemy zachowywać się tak jak dotychczas, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak, wiem – przytaknęła mama.

Wciąż unikała go wzrokiem w nadziei, że nie domyśli się, o czym marzyła od samego początku: że w sytuacji podbramkowej ktoś coś usłyszy i powstrzyma go przed najgorszym. Że tata przez to czegoś się nauczy. Straci

odwagę. Dwa razy się zastanowi, czy rzucić coś w jej kierunku, czy sobie darować.

Wyprowadzając się, mama zostawiła pozorne poczucie bezpieczeństwa. Zostawiła kapcie babki i ciszę w kuchni, gdy ta dawała jej do zrozumienia, co ma robić; tę przemocową ciszę, która zawierała w sobie cały hałas, wszystkie ciosy i krzyki, i napierała jej na uszy.

Kucała na podłodze i czuła się, jakby była owinięta wełną mineralną i włókna wpijały się jej w skórę.

– Tak – powiedziała mama. – Zdaję sobie z tego sprawę.



Zeszła na dół do mieszkania dziadka, by jak co środę odkurzyć dywan w salonie i sypialni. Dziadek siedział w fotelu, muskając palcami powieki. Kiedy szum odkurzacza ucichł i mama zaczęła zwijać kabel, zapytał:

– No i co, wczoraj znowu kopnęłaś kilka butelek?

Dzień wcześniej na podłogę spadła popielniczka, zamieniając się w odłamki szkła o ostrych kantach. Zadrżałam i popatrzyłam bezradnie na siedzącego w fotelu dziadka, który podniósł wzrok na sufit, po czym potrząsnął głową jak niezdarne dziecko.



Tego popołudnia panowała cisza i w ruch nie poszło żadne szkło. Mama z tatą siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Tata, mamrocząc pod nosem, pytał o coś, po czym przerywał w pół zdania, a mama w odpowiedzi wzruszała ramionami i prawie niedostrzegalnie potrząsała głową. Za każdym razem, gdy przechodziłam

koło otwartych drzwi, widziałam, jak mama spogląda na obrus i stara się to przeczekać, kciukiem prawej dłoni obsuwa skórki na paznokciach, a tata pochyła się do przodu, z troską, nie dowierzając temu, co nagle ujrzął. Usłyszałam stłumiony dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i zobaczyłam mamę z małą walizką w dłoni, ciemne włosy opadały jej na czoło, wokół szyi miała chustkę. W pośpiechu minęła na klatce fiołki alpejskie, które kiedyś ustawiła tam na parapecie. Pociągnęła za sobą szarą poświatę jak na zbyt długo naświetlanym zdjęciu i zostawiła na klatce zapalone światło, choć wiedziała, że samo nie zgaśnie.

Moja twarz była czymś, co chciałam ukryć. Myślałam, że nie będę rzucać się w oczy, jeśli zacznę prostować włosy i pamiętać o tym, by każdego ranka przejechać nad górną wargą jednorazową maszynką z niebieskiego plastiku; plastrami do depilacji zdarzyło mi się uszkodzić naskórek na ustach. Pilnowałam, by robiono mi zdjęcia tylko z profilu. Sophia i Pikka dostali zakaz używania tajemnego imienia. Sądziłam, że to ono stawia moją twarz w ostrym świetle reflektorów. Siedziałam przy biurku i przez okno obserwowałam chmurę pomiędzy dachami naprzeciwko, przeciętą linią wysokiego napięcia. Przede mną wisiała półka ze słownikami z nieaktualną pisownią*; tata nie zgadzał się, by je wyrzucić. Na biurku stał pojemnik z nieużywanymi długopisami, na których zatrzymywałam wzrok, kiedy miałam coś do przeczytania. Opierałam się na łokciach, pochylałam nad tekstem i powtarzałam sobie: „Skup się”, jednak widziałam tylko początki słów, po czym wszystko rozmywało mi się przed oczami. Pół biurka zajmował ogromny monitor, komputer nie był podłączony do internetu. Zniknął stojący niegdyś naprzeciw łóżka telewizor, na którym w środowe wieczory oglądałam serial *Buffy, postrach wampirów*. Tata był zdania, że to przez niego pogorszyły mi się oceny.

Kupił mi opracowanie do *Kapitana z Köpenick* Carla Zuckmayera, bo najwyraźniej nie rozumiałam lektury. Gdy nauczyciel pytał o różne motywy, ani razu nie znałam odpowiedzi. Szukałam ich w pamięci – chodziło już nie tylko o pojedyncze słowa, ale całe konteksty, których albo nie mogłam wbić sobie do głowy, albo ich stamtąd wydobyć. Innym nie przeszkadzała niepewność co do poprawności odpowiedzi, mimo to zgłaszali się i próbowali zgadywać. W najgorszym razie nauczyciel mówił: „Nie”. Sam nigdy nie miał żadnych wątpliwości, bo mógł zajrzeć do książeczki z kluczem, którą otrzymał razem z podręcznikiem. My, uczniowie, podręcznik musieliśmy kupić sobie sami, bo zabrakło go w bibliotece; zalecił stworzyć listę osób, których nie było na niego stać. Wpisała się na nią tylko jedna osoba.



Moja twarz nie uległa zmianie. Mama Sophii przypatrywała mi się wnikliwie, podczas gdy ja, przy białym, wytartym stole w jadalni, próbowałam sprzedać jej niewinną historię, a Sophia poszła akurat do kuchni po ser. Opowiadałam, jak kilka dni wcześniej poślizgnęłam się w kuchni na świeżo wypastowanej podłodze i o mały włos nie uderzyłam okiem w kant stołu. Ot, zwyczajna, codzienna historia, która musiała spotkać się z jej uznaniem, bo chodziło o lśniącą podłogę, o czystość i staranność, a te – taką miałam nadzieję – mogłyby w jej oczach mi się udzielić. Staralam się przyjąć niewinny wyraz twarzy, ona jednak tylko lekko się roześmiała i dalej jadła kanapkę. Czując na sobie jej spojrzenie, opuściłam wzrok.



Przynajmniej udało mi się sprawić, że na moją twarz zwracano uwagę tylko czasami.

– Nic nie widać – stwierdziła Sophia.

Uznałam to za wyróżnienie.

– Gdybyś owinęła sobie coś wokół głowy, zdradzałyby cię tylko oczy – dodała i roześmiała się.

Wyciągnęła owarte dłonie, zasłaniając mi czoło, nos i usta, tak że w polu jej widzenia zostały same oczy. Zaśmiałam się razem z nią. Dotychczas sądziłam, że może chodzić o wszystko, tylko nie o oczy, które uważałam za ładne, jednak pod wpływem spojrzenia Sophii uległy zmianie. Zaczęłam przypatrywać się im w lustrze i wzdłuż dolnej linii brwi wyskubywać włoski za włoskiem, aż przybrałam wiecznie zaskoczony wyraz twarzy.



Wypracowanie na temat drugiego aktu sztuki *Kapitan z Köpenick* napisałam okrągłymi literami w zeszycie od niemieckiego. Nauczyciel podchodził po kolei do wszystkich, by upewnić się, że każdy zapisał całą stronę. Szybko przelatywał tekst wzrokiem i czerwonym długopisem stawał ptaszek. Gdy doszedł do mnie, zatrzymał się, nisko pochylił przez ramię i wskazał miejsce, w którym użyłam niepoprawnego rodzajnika; zrobiłam to z roztargnienia, bo w połowie zdania przerwałam pisanie, sprawdziłam coś w opracowaniu, a następnie wyjrzałam za okno.

– Czy niemiecki jest twoim językiem ojczystym? – zapytał.

Spojrzał pytająco na moją twarz, na grzbiet nosa i czarne punkciki w miejscach, gdzie odrastały mi brwi, które zrujnowały mój kamuflaż.

– Tak – odparłam.

Nauczyciel przekreślił rodzajnik czerwonym długopisem.



Należałam do osób, które niepytane opowiadały wszystkim, gdzie były jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku: miałam dwanaście lat i siedziałam w salonie. Serwis kawowy Sophii wciąż stał w witrynie, która teraz, ponieważ brakowało w drzwiczkach szkła, była już tylko regałem, przez co na papierze prezentowym powoli zaczął zbierać się kurz. „Z ostatniej chwili! Zbombardowano ważne budynki!”, zapisałam w pamiętniku po tym, jak poprzeskakiwałam po kanałach i zauważyłam, że nic nie zgadza się z programem telewizyjnym. Czytałam właśnie *Dziennik Anny Frank* i zaczęłam pisać swój własny pamiętnik. Kilka tygodni później zanotowałam zdanie zaczynające się od słów „w czasach terroru”. Należałam do osób, które wynoszą śmieci i pilnują tego, żeby zawsze dotrzymywać terminów. W szkole codziennie byłam przed czasem, uśmiechałam się do ludzi na korytarzu, zaciskając usta i unosząc kąciki ust, choć w moim spojrzeniu widać było smutek. Oczekiwałam, że dostanę z powrotem dziesięć centów z zeszłego tygodnia, na spotkaniach zawsze płaciłam za siebie. Czytałam oznaczenia na ulicy i tablice na dworcach, żeby nikogo nie pytać o drogę, szczególną uwagę zwracałam na znaki zakazu. Pilnowałam, by nie jechać pierwszą klasą, gdy nie miałam na nią biletu (oczywiście nigdy nie było mnie na niego stać), a także by zawsze poruszać się prawą stroną, również na chodniku, a co dopiero na schodach ruchomych;

nie przechodziłam na czerwonym, miałam tylko jeden język ojczysty, jedno miejsce urodzenia, niemieckie nazwisko i dwa imiona, jedno z nich było tajemne. Goliłam włoski między gęstymi brwiami, mówiłam: „To nie ja jestem Turczynką, tylko moja mama”. Powtarzałam, że nie jestem taka jak inni, którzy mają tureckie korzenie, i tym samym bez słów prosiłam o to, żeby tak mnie nie traktować, zazwyczaj jednak wcale o tym nie wspominałam, tylko miałam nadzieję, że nikt nic nie zauważy, fryzurą i ubraniem udawało mi się wszystkich zmylić. Któregoś razu zablądziłyśmy w innej części miasta. Sophia w zamyśleniu spoglądała w twarze przechodniów, po czym stwierdziła, że wyglądam jak wszyscy dookoła. Obróciłam głowę.

– Załóż to – powiedziała Sophia.

Udrapowała mi na włosach jedwabny szal. Stałam między słupem a krawężnikiem, obok nas wciąż ktoś się przeciskał.

– Teraz jeszcze bardziej przypominasz ludzi dookoła. Gdybyś nosiła się tak każdego dnia, wszyscy by to widzieli. Masz szczęście, że twoja mama nie każe ci tego robić.

„Szczęście” – to słowo zawisło między nami w powietrzu jak ostrzeżenie, niczym uwaga co do zagrożenia, które w każdej chwili mogłam na siebie ściągnąć albo którego mogłam na jakiś czas uniknąć poprzez wybór prawidłowych dodatków, choć i tak zawsze czyhałoby na mnie, niezależnie od tego, jak bardzo bym się starała. Sophia mierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu, chociaż widziałam jej spojrzenie, a nie znajdowałam się za lustrzaną szybą, niczym uwięzione zwierzę chodząc w tę i z powrotem i obserwując cały czas jedynie własne

odbicie; jak kot w pawilonie z nocnymi zwierzętami w zoo, o źrenicach szerokich jak duże czarne talerze.

– Chodźmy – powiedziała Sophia i pociągnęła mnie za rękaw.

Zdjęłam chustę z głowy i trzymałam ją w dłoni tak długo, aż Sophia zabrała mi ją bez słowa.

Zebranie stowarzyszenia w klubie jeździeckim, na które mnie zabrała, już się zaczęło. Stałam obok niej przy ścianie. Na oko szesnastoletnia dziewczyna z wyciągniętym w powietrze długopisem opowiadała o planowanym przebiegu parady karnawałowej w naszej miejscowości i o tym, jakie konie pójdą w niej w tym roku. Miała długie włosy zaplecione w jeden z tych dobierańców, które nigdy mi się nie udawały. Szeroko otworzyłam oczy na znak, że słucham z uwagą. Ledwo co skończyła mówić, gdy wysunęła podbródek w moim kierunku i zaczęła mnie małpować.

– Tak więc z przodu będą szły konie – powiedziała po chwili. – A nieco dalej gwardia dziewczęca.



Rodzice Pikki co roku przed imprezą karnawałową zabierali mnie z Sophią na obiad do restauracji na wzgórzu. Chodzili tam przy każdej okazji – urodzin, chrzcin, pogrzebu. Jedliśmy rosół i sznycle podawane na kremowych talerzach; stoły z jasnego drewna od dziesiątków lat nakrywano wykrochmalonymi obrusami. Tata uczył mnie kiedyś, co oznacza każdy układ sztuców, „na wypadek, gdybyś kiedyś znalazła się w eleganckim towarzystwie”, i specjalnie postawił na stole metalowy stojak z papierowymi serwetkami.

– Jeśli nie jesteś pewna, zawsze od zewnątrz do środka – zalecił i wskazał na szereg wymaginowanych widelców do ryb i łyżeczek deserowych. – A gdy skończysz jeść, sztucze należy odłożyć na talerzu równolegle do siebie.

Pokazał, co ma na myśli, zsuwając nóż i widelec nad ostatnim liściem sałaty lodowej.

– Nie będzie nowych sztuców, to nie pięciogwiazdkowa restauracja – stwierdził teraz kelner, zabierając mój pusty talerz.

Nóż z widelcem położył przede mną, sos z sałatki zaczął wsiąkać w obrus. Rodzice Pikki uśmiechnęli się, spuszczając wzrok.

Gdy przekroczyliśmy próg świetlicowej sali, ruszyłam za pozostałymi jak dziecko uczone maminej spódnicy. Powietrze było już zastałe i przesycone zapachem nalewki śliwkowej z małych buteleczek, które co kwadrans otwierano w jednym z kątów pomieszczenia, obracając je do góry dnem i uderzając nimi o kant stołu, zgodnie z liczbą zapisaną na dnie butelki. Mieszkańcy siedzieli przed sceną na długich ławach, wszyscy przebrani za I n d i a n i pielęgniarki, w perukach imitujących afro; mężczyźni włożyli wąskie sukienki i pomalowali się szminką w babcinym odcieniu fuksji, wyjeżdżając daleko poza kontury ust. Stop parytetom, co do tego wszyscy przy stole byli zgodni, wówczas przestaną się liczyć umiejętności. Kobiety z warkoczami Pippi Langstrumpf patrzyły przed siebie przez grube szkła okularów, jak gdyby chciały coś jeszcze powiedzieć, ale zgubiły wątek.



Sophia zabierała mnie także na spotkania młodzieży do kościoła, bo jej mama powiedziała, że chrześcijanie powinni przyjmować każdego, ponieważ przez ich kulturę otwartości przemawia Duch Święty. Sophia i jej koleżanki nosiły buty do koszykówki Adidasa, a ja podróbkę marki Victory, i za każdym razem, kiedy w trakcie gry w Tabu mówiłam: „Rzecz”, bo nie przychodził mi do głowy żaden synonim, naciskały na piszczalkę, chociaż „rzecz” wcale nie znajdowała się na liście zakazanych słów. Gdy szukałam innych wyrażań, złośliwie wpatrywały się we mnie tak długo, aż zwróciłam im uwagę i powiedziałam:

– Robicie mi na złość.

Na co one odparły:

– Skąd, tak ci się tylko wydaje.



– Po prostu są zazdrosne – stwierdził tata.

Do domu szłam w deszczu, bardzo powoli, żeby nie pytał, dlaczego wróciłam tak wcześniej, i przez całą drogę wpatrywałam się w czubki własnych butów, w okrągły plastik z innym wzorem niż ten, który miały pozostałe dziewczyny.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że zaledwie kilka lat później, gdy wszystkie nas osaczy dojrzewanie, jedna z nich zmieni krąg znajomych i z kościoła, a także czyszczonych w soboty podjazdów, przeniesie się na ulicę pełną sklepów „wszystko za jedno euro” i herbaciarni. Wraz z kilkoma innymi miała wystawać przed McDonaldem; nosiła biały T-shirt z czerwonym napisem, zdobniętym

również białe trójkąty z papieru, z których o trzeciej w nocy wypływał sos czosnkowy zabarwiony czerwoną kapustą. Pod rysunkiem wesołego mężczyzny stojącego koło rożna z kebabem widniał napis „Döner Kebab”. O swojej młodości miała kiedyś powiedzieć, że „większość czasu spędzała z Turkami”; nie podejmowała jednak nigdy prób wygładzania cery rozdrobnionymi pestkami moreli. Tym, co miała przemilczeć, była historia z maminy ciastem, które na dwunaste urodziny przyniosłam do szkoły zapakowane w folię aluminiową. „Co to, kebab?”, zawołała wówczas z końca sali i wybuchnęła śmiechem. Śmiechem, który od tamtej pory rozpoznam zawsze, na którego dźwięk do dziś gwałtownie robię krok w tył, tak jak wtedy, gdy niechając opuszkiem muśnie się rozgrzany palnik na kuchence; to jest mój siódmy zmysł, który dołączył do tego szóstego, aktywowanego przez milczenie.

Ale miałam szczęście. Jak ta dziewczyna musiała mi zazdrościć.

– Tak ci się tylko wydaje – uznała Sophia.

Jej zdaniem nikt w naszym otoczeniu nie był do mnie wrogo nastawiony.

– Zawsze od razu bierzesz wszystko do siebie – dodała.

Wszelkie przejawy wrogości wymknęły mi się z rąk i po lustrzanej szybie powoli osunęły na ziemię, przylepiając się do niej niczym kawałek przeżutej folii aluminiowej. Wrogość zawsze pojawiała się między słowami i od razu znikwała, gdy tylko chciałam o niej wspomnieć.

Co niedzielę kobiety klęczały na chodnikach, pot zalewał im brwi, a one wydrapywały ze szczelin chwasty. Gdy przechodziłam obok, unosiły głowy i spoglądały

na mnie szeroko otwartymi oczami, kurczowo ściskając w dłoniach grabki. Za moimi plecami z paszcz syren wydobywał się ryk odwołujący alarm.



– Co poniekórym tutaj nie chce się samodzielnie myśleć – stwierdził nauczyciel.

Skończył obchód ławek i od dłuższej chwili stał przed klasą z założonymi rękoma, czekając, aż pomruki ucichną i ostatnie papiery znikną w szufladach pod blatem. Patrzył przy tym na moją ławkę, na której w widocznym miejscu, na stosie zeszytów i notatników, położyłam opracowanie lektury, tym samym wołając o pomoc.



Niezależnie od ujęcia twarz Buffy zawsze wyglądała na miękką i okrągłą. Dziewczyna zazwyczaj z pochyloną głową podnosiła wzrok i widzom ukazywały się białka jej oczu. Włosy po bokach miała lekko podkręcone, a usta pociągnięte lśniącem błyszczkiem. Leżałam już w pościeli. Tak długo wierciłam rodzicom dziurę w brzuchu, aż zgodzili się, żeby na ten jeden serial wstawić wózek z telewizorem do mojego pokoju. Zapaliłam świeczkę, w świetle której nie było widać na biurku segregatorów, a na podłodze ubrań z plamami od potu na plecach. Opracowanie lektury ukryłam na regale nad biurkiem; głowa Kapitana znalazła się między poźółkłymi słownikami.

– Tylko żadnych świeczek – dobiegło mnie z korytarza wołanie taty.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie na niewinną, pokrytą jasnym meszkiem twarz Buffy chwilę przed tym, jak miała wbić drewniany kołek.

Z założonymi rękoma stałam na podium. Pod podeszwami butów czułam miękką podłogę, szczególny rodzaj desek, drewno sceniczne, na którym pokolenia przede mną ustawiały się, by odebrać świadectwa. Wyblakłe niebieskie materace gimnastyczne przesunięto pod ścianę; przy niektórych brakowało paska, więc trzeba było chwytać je po bokach, miały szorstką fakturę. Na widok tych otoczonych czerwonymi zasłonami materacy przypomniało mi się, jak często trafiałam na ten bez paska i jak głupia ciągnęłam go za rogi; jak często wyslizgiwał mi się z rąk, a wuefista przypatrywał się ze złośliwą satysfakcją, choć od samego początku nie chciałam żadnego materaca, nie chciałam siedzieć na ławce rezerwowych, odbijać przedramieniem piłek podczas gry w siatkówkę, zza linii końcowej serwować piłek, które zawsze obijały się o siatkę, przez co drużyna musiała czekać dziesięć lub piętnaście minut, pięć serwów, siedem serwów, chłopaki wciskały pięści w kieszenie srebrzystych spodenek, dziewczyny znudzone malowały usta perłową pomadką, aż wreszcie piłka ledwo przelatowała nad siatką i wpadała w czyjeś ręce, a ja mogłam zająć kolejną pozycję i w swojej przykrótkiej koszulce stanąć pośrodku boiska.

Widziałam tłum rodziców i dziadków ubranych w sztywne marynarki i koszule, na krzesłach, które dzień

wcześniej poustawialiśmy w rzędach. Na szczęście było chłodno, rano spadł deszcz, a niebo się teraz zachmurzyło, dzięki czemu nikt się nie pocił, a lazura nie zostawiała na plecach smug. Na półtorej godziny rodzice i dziadkowie zsunęli się po oparciach, raz po raz zakładając nogę na nogę. Gdyby był upał, trzymaliby później szklanki, mając na ubraniach brązowe plamy; tłum, który śmierdzi wodą kolońską i wygląda, jakby wytarzał się w gnoju. Szampan albo szampan z sokiem pomarańczowym.

Dyrektor wygłosił przemówienie, kilka dziewczyn z ósmej klasy zaprezentowało hip-hopowy układ do piosenki Rihanny, a uczniowie z piątej i szóstej klasy zagrali utwór na instrumentach dętych, gubiąc rytm, mimo że pani od muzyki energicznie wymachiwała batutą. Gdy skończyli, ukłoniła się przesadnie głęboko, jakby to była ogromna sala koncertowa. Może chciała kiedyś zostać dyrygentką, podobnie jak wuefista, który tak naprawdę marzył o karierze lekkoatlety; często opowiadał o swoich rekordach z młodości w biegu przez płotki. Zamiast tego każdego dnia, obracając głowę, wsuwał karton przez szczelinę w drzwiach do damskiej szatni, a my wkładałyśmy do środka swoje portfele i ciężkie jak cegła komórki. Zamiast tego o ósmej rano stał z boku sali w czystych adidasach, przyglądał się sapiącym uczennicom wykonującym ćwiczenia na poszczególnych stacjach i asekurował niektóre w wątpliwy sposób, lekko dotykając ich bioder. Po lekcji zapalał na podwórku papierosa – po intensywnym robieniu pompek zostały mu szerokie plecy – i parzył na wyimaginowany horyzont.



Ustawiliśmy się alfabetycznie, niektórzy machali do siedzących na widowni rodziców. Pan Kaiser kroczył wzdłuż rzędów, w ramionach trzymając stos grubych kremowych kopert i bukiet żółtopomarańczowych róż. Za każdym razem po wręczeniu koperty i róży ścisnął dłoń stojącej przed nim osobie. Gdy doszedł do mnie, od razu wyciągnął rękę, łypiąc prawym okiem znad przyciemnianych okularów. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Gratuluję – powiedział automatycznie.

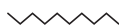
Najwyraźniej zapomniał, co było napisane na moim świadectwie: „Nie uzyskała promocji do następnej klasy”. I pod spodem: „Konieczna zmiana typu szkoły”.

– Nie ma czego – odparłam.

Gwałtownie przytaknął i otworzył usta. Wyglądał jak zakłopotana ryba, z trudem łapał oddech. Po chwili otrząsnął się i ruszył dalej.

– Gratuluję – usłyszałam, jak mówi do uczennicy obok, trzymając w wiotkiej dłoni papier.

Rzędy od A do D i od O do Z wyszły na scenę i ustawiły się zgodnie z ustalonym scenariuszem; pani od muzyki nacisnęła na wieży przycisk *play* i zaintonowaliśmy piosenkę z *Dirty Dancing*: *'Cause I've had the time of my life, and I owe it all to you.*

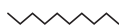


Intensywne opady deszczu sprawiły, że drzewa pokryły się gęstymi, soczystymi zielonymi liśćmi i gałęzie ugięły się aż do ziemi. Zmienna pogoda miała utrzymać się także w nadchodzących dniach. Przed południem panował upał, później ochłodę przynosiły burze. Nadrzeczną łąkę porastała bujna trawa i dzikie kwiaty, wszystkie

przydomowe ogródki po brzegi wypełniły chwasty, a na każdym ogrodzonym skrawku ziemi wokół drzew na ulicy pleniły się maki o płatkach, które od deszczu straciły kolor.

Wakacje mogłam spędzać na oglądaniu jeden za drugim filmów dla nastolatków, w których bohater leży na łóżku i z powagą wpatruje się w sufit; chodzić na długie spacery nad rzeką, zawsze tą samą ścieżką, i wspinać się schodami przy wale przeciwpowodziowym, ześlizgliwać na gałęziach i ziemi w poszukiwaniu śladów czegoś, co pokazywano w filmach: okresu kształtowania tożsamości. Mogłam zapuścić włosy i zostać czyjąś dziewczyną. Mogłam po prostu zachowywać się jak na wakacjach, które nie chcą się skończyć, spędzane wśród krzaków jeżyn nad rzeką, w samodzielnie zbudowanej chatce, przypominającej domki na drzewie, jakie miały dziewczyny w filmach. Mogłam jeszcze raz przetrząsnąć stare czasopisma i dowiedzieć się, czy nowa maseczka z mięty jest skuteczna, a zioła zebrać spod kuchennego okna dziadka; w galerii handlowej kupić torebkę z nitami, w lodziarni wystawić się na ocenę dziewczyn o perłowych wargach i zobaczyć, jak w zwolnionym tempie wysuwają z ust łyżeczkę z lodami waniliowymi, nie spuszczać wzroku z mojej starej flanelowej koszuli, jakby były świadkami wypadku. Nie byłabym jednak w stanie sprostać roli uroczej outsiderki, jaką odgrywały dziewczyny w filmach. Nie dorównałabym w tej roli Sophii, gdy tak stała obok na scenie na miękkim dywanie oparta o poduszkę na parapecie. Chodziło o niegroźne zmiany, ujmujące zawirowania, którym nie było końca, odsłaniającą brzuch koszulkę i delikatną opaleniznę pod koniec lata po wakacjach z rodzicami na Fuerteventurze. Bez żadnej luki w cv.

Po południu wypłynęłam z otchłani czarnego snu, który kładł się ciężarem na mojej piersi i dwa albo trzy razy szłam za nim w dół, mimo że tata ciągnął za róg pościeli. Przez sklezione powieki widziałam jego karcące spojrzenie. Chciałam wszystko wytłumaczyć, ale spadałam z powrotem w głębinę snu; szybko go zapomniałam, leżąc później z otwartymi oczami i patrząc tępo na białe światło za firankami. Kiedy rozległ się pierwszy grzmot, wyszłam na dwór, usiadałam na nasiąkniętej wodą nadrzeczej łące i czekałam, aż się rozpada. Wraz z deszczem po policzkach spływała mi czerwona farba do włosów, którą kupiłam w drogerii krótko po rozdaniu świadectw, żeby podkreślić coś, czego nie potrafiłam nazwać. Rzeka wezbrała i zalała ścieżki. Ruszyłam przed siebie na wskroś łąki, aż wiatr wzmógł się tak bardzo, że linie wysokiego napięcia zaczęły kołysać się ciężko pod szarym niebem. Nie bałam się, ale pomyślałam, że lepiej by było zawrócić do domu. Gdzieś pod warstwą obojętności czułam, że coś może mnie trafić, nie umiałam jednak zrzucić z siebie jej ciężaru. Zrobiło się już późno. W drodze powrotnej wichura złamała młode drzewko na skraju drogi, chwilę przed tym, gdy miałam pod nim przejść.



Dużo czasu spędzałam poza domem nie – tak jak bohaterki w filmach – z nudów, lecz dlatego, że czułam ciężar i ciągle mdłości, ustające dopiero wtedy, gdy tata woził mnie samochodem po okolicy. Pęknięcie w przedniej szybie znajdowało się dokładnie naprzeciwko siedzenia pasażera, którego mocno trzymałam się oburącz, niczym

w kolejce w wesołym miasteczku, a światła i znaki drogowe rozpadały się na kawałeczki.

Tata próbował poprawić mi humor, proponując objazd po wszystkich pchlich targach w okolicy. Raz po raz dostawałam zawrotów głowy; nic wówczas nie mówił, tylko cały czas przyglądał mi się z boku. Gdy zawroty przechodziły, proponował: „Chodź, pojedziemy jeszcze na ten pod marketem budowlanym”. Wyruszyliśmy lokalnymi górzystymi drogami, w górę i w dół, na każdy parking w okolicy, na którym ludzie ustawiali swoje stragany. W przejściach między deskami na koziołkach piętrzyło się to samo co w naszej piwnicy. Tata otwartą dłonią gładził wystawione na sprzedaż szklane figurki. Ciężkim krokiem wlokłam się od jednego stołu do drugiego, gdy nagle poczułam przeszywający ból. Przemieścił się po udzie kilka centymetrów w dół, aż zorientowałam się, że to muszą być ukąszenia, owad, który jakimś sposobem dostał się pod spodnie. Znałam ten ból, bo któregoś lata na basenie osa zabłąkała mi się w zgięciu łokcia; w miejscu ugryzienia mama przyłożyła mi wówczas przekrojoną cebulę. Teraz ruszyłam szybkim krokiem między stolami, mijając kartony pełne szydełkowych serwetek; zacisnęłam zęby i usiłowałam iść normalnie. Na skraju targowiska stały dwie błękitne przenośne toalety. Ustawiłam się w kolejce krótko ostrzyżonych starszych pań, które przytrzymały w dłoniach swoje torebki. W kabinie martwe stworzenie wreszcie wypadło mi z nogawki i zwinęte wylądowało na podłodze. Wytrząsałam spodnie raz, drugi, nim założyłam je z powrotem. Grube czerwone bąble układały się na moim udzie w ścieżkę, a ból powoli zamieniał się w drętwe mrowienie. W samochodzie na

siedzeniu przeniosłam ciężar ciała na prawą stronę, by obolałym miejscem nie dotykać fotela.

Gdy byłam w kabinie, tata zdążył zapuścić się między sprzedawców.

– Kosztował tylko euro – wytłumaczył, kładąc mi na dłoni naszyjnik z odłamków ametystu.

Następnie pojechaliśmy na halę targową. Na przemian pchaliśmy alejkami wózek, tata wkładał do niego podwójne ilości wszystkiego, mimo że i tak co tydzień wyrzucaliśmy zepsute jedzenie. Kiedy zatrzymał się przy lodówkach i dłuższą chwilę oglądał oświetlony jaskrawo nabiał, marzliśmy od podmuchów zimnego powietrza.

– Zobacz, jakie śmieszne – powiedział.

Wziął do ręki opakowanie z serem w plastrach i wskazał na przyklejony od góry magnes na lodówkę. „Jestem taki wyrafinowany”, głosił czerwony napis na tle zielonych ziół. Z trudem zmusiłam się do uśmiechu, tata włożył ser do wózka. W dziale z delikatesami sięgnął po stojącą na regale smukłą butelkę.

– Chodź, weźmy je.

Uniosłam butelkę i spojrzałam pod światło na wino ryżowe, które połyskiwało na różowo.

– Jesteś pewien? – zapytałam. – Wydaje mi się, że może być za słodkie.

– Dobra jest! – odparł. – A do tego w promocji.



Tak naprawdę to nie było wino, tylko raczej nalewka, słodki, różowy płyn. Napiałam się go wieczorem. Tata już dawno poszedł spać, zza ściany dochodziło jego chrapanie.

Ostatnia kropelka rozeszła się mi w buzi; jeszcze dwa razy uniosłam kieliszek do ust, bo zapomniałam, że jest pusty. W łazience fugi chwiały się między kafelkami, aż w pewnym momencie usiadłam przed muszlą klozetową, przedramiona opierając o deskę, a czoło o grzbiet dłoni. Za oknem powoli robiło się jasno. Słyszałam, jak tata wychodzi z salonu, włącza radio w kuchni, a potem ściąga z wieszaka kurtkę.

Siedziałam przy oknie i wpatrywałam się w białą latarnię, aż zgasła w pierwszym świetle dnia. Poranne godziny szczytu minęły i na ulicę powoli wracał spokój. Obudziłam się późnym popołudniem i wciąż nieprzytomna spoglądałam na swoje ciało od pasa w dół. Zobaczyłam na nodze ślady po ukąszeniu osy. Ponownie zapadłam w sen.

Ślady po ugryzieniach zostały do końca lata, najpierw czerwone, potem niebieskie, zielone, a na koniec żółte. Całymi dniami nie robiłam nic poza oglądaniem programów rozrywkowych o sędziach i paleniem papierosów taty. Popołudniami wracał z pracy z torbą w dłoni i na mnie patrzył. Ogarniała go bezsilność, wzruszał ramionami. Mówił: „Sama wiesz, co dla ciebie dobre”, choć wcale nie miałam gdzie się tego dowiedzieć. Przez nadmiar wolnego czasu na internetowych forach natknęłam się na ludzi, którzy odżywiali się wyłącznie owocami. Rzadko kiedy mieliśmy w domu wystarczająco dużo owoców, więc jadłam wyłącznie pieczywo tostowe prosto z opakowania. Ważyłam trzydzieści pięć kilogramów i co kilka tygodni dostawałam wysokiej gorączki.



Moja tożsamość nie tyle się nie ukształtowała, co raczej mnie jej pozbawiono; ukryto ją w szkolnej piwnicy, między aktami sięgającymi aż do lat sześćdziesiątych. Byłam jedyną osobą z rocznika, która nie uzyskała promocji do kolejnej szkoły i dlatego nie musiała nigdzie wysłać swoich papierów. Moje dokumenty leżały na zakurzonej szafce, w nocy oświetlane przez latarnie na szkolnym podwórku.

Podczas gdy Pikka z Sophią wybierali fakultety i chodzili po korytarzach nowej szkoły, ja przedpołudniami w różowym szlafroku przesiadywałam przed telewizorem. Plan dnia dostosowałam do programu telewizyjnego, pasmo przed- i popołudniowe oddzielało lecące na RTL *Punktualnie o 12*, zaraz po nim zaczynał się *Sędzia Alexander Hold*. Zawsze cieszyłam się na piątek nie tylko dlatego, że koło jedenastej szczotki maszyny czyszczącej z szumem zamiatają asfalt przed domem, ale również ze względu na podwójne odcinki i wydania weekendowe. Powoli nastąpiła jesień. Drzewo sąsiadów wyrosło ponad mur otaczający ich działkę; gałęzie sięgały teraz aż do okna w salonie. Gdy rano świeciło słońce, szyszki spowijała parująca rosa, a następnie mgła, potem zaś nadeszła zima i spadł lepki śnieg, który przemienił się w lód. Później nastąpiła gwałtowna zmiana pogody. Utrzymywał się suchy mróz, zamarzająca woda zamieniała się w parę i wszyscy cieszyli się, że nie będzie gołoledzi. W tych miesiącach Pikka z Sophią robili rozeznanie w swojej nowej szkole, poza starymi nauczycielami poznawali także nowych; wśród ciała pedagogicznego wszyscy się znali. Pikka pozostał przy łacinie. Francuskiego nigdy się nie uczył, bo sprzeciwiał się temu jego tata, a kierowała nim nieokreślona nienawiść do Francuzów, którą odziedziczył po dziadku,

obciążonym przeszłością na wojennej służbie wojskowej – nazywał ich pogardliwie „żabojadami” – przez co Pikka musiał przeczekać jeszcze rok, ćwicząc *accusativus cum infinito*, aż mógł zrezygnować z przedmiotu. Sophia wybrała zajęcia sportowe obejmujące taniec i gimnastykę artystyczną. „Nareszcie same dziewczyny”, mówiła i zimą zakładała na łydki blad różowe ocieplacze, a także opatulą się grubym szalikiem w kratkę. Pan Kaiser w jej historiach wydawał się kimś obcym, osobą z innej szkoły; opowiadała, jak w pośpiechu przemyka korytarzami z aktówką pod pachą. Może i w jej oczach całkowicie się zmienił tylko dlatego, że zaczął zwracać się do niej per „pani”. „Nie chciałabyś pójść do Roberta Bluma albo do Brentano, ach, nie, to przecież jest szkoła główna, a ty już taką skończyłaś”, śmiała się, jakby to wszystko nie było prawdą, a ja nie mogłabym przynależeć do społeczności uczniów Roberta Bluma, szkoły realnej oddalonej od naszego gimnazjum o jeden przystanek autobusem. Zawsze mówiłyśmy o niej tylko złe rzeczy, tak jak wszystkie klasy przed nami, z pogardą, której nikt nie podawał w wątpliwość, tylko przejmował jak tradycję. Nie chciałam iść do Roberta Bluma i odczuwałam mdłości na samą myśl o powrocie do świata edukacji. Znowu chodzić na wuef, znowu rano o wpół do ósmej wsiadać do tego samego autobusu. Nie byłam gotowa na ten krok. Miałam się na niego zdobyć dopiero półtora roku później, jednak wówczas wydawało mi się, że nastąpi to lada moment, że gdzieś skończę szkołę realną, a potem wyjadę i zacznę naukę zawodu, będę prowadziła autobus, pracować w ogrodzie, robić coś adekwatnego do swoich umiejętności.



Pewnej nocy, krótko przed testem z niemieckiego w szkole wieczorowej, do której ostatecznie złożyłam papiery, na kanale Kabel 1 leciał dokument, w którym mowa była o tej placówce. Jego bohaterowie – trzech młodzi mężczyźni z przedmieść – w tym właśnie miejscu chcieli „się ogarnąć”. „Poza lśniącymi fasadami wieżowców – mówił spiker – mamy tu także prawdziwe zepsucie”. Nastąpiło zbliżenie kamery na miasto i chodnik przed szkołą, gdzie owa trójka stała otoczona grupką uczniów i paliła papierosy. Operator tylko czekał na to, żeby uchwycić najbardziej rozpoznawalne klisze: łapczywe zaciąganie się dymem, czubki krzywo rozstawionych butów na chodniku, oczywiście nisko opuszczone spodnie, a później, na ich osiedlu, przepełnione pojemniki na śmieci, dzieci bawiące się między domami i ukradkiem wysuwające twarz zza węgła. Osiedla te widywałam tylko z daleka, idąc przez pole w stronę oczyszczalni ścieków. Domy przy autostradzie znacznie przewyższały ekran akustyczny i choć ich fasady wyraźnie poszarzały od pyłów, niektórzy przez wąziutkie okna wciąż wywieszali pranie. Dokument ukazywał mężczyzn w pokojach dziecięcych, w których wciąż mieszkali, matki przynoszące herbatę i uśmiechnięte od ucha do ucha, gdy synowie wyciągali statywy do mikrofonu oraz duże słuchawki i zaczęli rapować przed kamerą. Nie było słychać pytania, które im zadano, tylko odpowiedzi: „Byłem w pace za narkotyki”, powiedział jeden, „Dali mi prace społeczne za włamy do samochodów”, odezwał się inny. To, że właściwie chcieli coś nagrywać, zeszło na dalszy plan. Od kiedy jedna z uczennic szkoły wieczorowej dołączyła do zespołu No Angels, muzyką chciał się zajmować każdy.

Myślałam, że test z niemieckiego będzie sprawdzał znajomość czterech przypadków oraz części zdania i mowy. Zawczasu wyciągnęłam stare zeszyty, przekonana, że jak zwykle nic nie uda mi się zapamiętać i nie zdam. Przeczytałam wprawdzie, że „szczegółne przygotowanie nie jest konieczne”, ale nie mogło chodzić o mnie. Patrzyłam na litery napisane kiedyś atramentem, od czasu do czasu rozsmazane przez łzy zostawiane jako sygnał, że nie dają rady, w nadziei, iż ktoś zrozumie, ale skończyło się wówczas tylko adnotacją: „Pismo niestaranne”.

Przed szkołą wieczorową faktycznie było jak na tamtym filmie. Wszyscy bez wyjątku stali na chodniku i palili oparci o metalowe barierki, chroniące przed wypadnięciem niechcący na jezdnię, gdy lekkomyślnie popychali się o poranku. W ciągu dnia w budynku odbywały się lekcje ostatnich klas gimnazjum. Szkoła wieczorowa nie miała własnego lokalu; jej dyrektor otrzymał niewielkie biuro w pomieszczeniu gospodarczym na półpiętrze, a nasze zajęcia odbywały się w salach, których okna zdobyły wycinanki w kształcie dłoni.

Zajęłam miejsce wśród pozostałych. Na ukos ode mnie siedziała dziewczyna po trzydziestce ubrana tak, jakby była z dziesięć lat młodsza: w szerokie, błyszczące dzwony i buty na koturnach. Miała fryzurę na pazia i kosmyki opadające na czoło, a pod dolną wargą jaskrawozielony kolczyk. Siedziała rozkraczona, studiując materiały informacyjne, których treść monotonnym głosem odczytywała nauczycielka. Gdy doszła do punktu o obowiązku usprawiedliwiania nieobecności, drzwi po raz kolejny otworzyły się z impetem i do środka wpadła młoda kobieta.

– Nie miałam gdzie zaparkować, trochę to potrwało... Jestem Cansu, proszę dopisać mnie do listy, już jestem, Cansu Erkiner... – rzuciła praktycznie na jednym wdechu.

Nauczycielka odprowadziła ją zmęczonym wzrokiem. Cansu zajęła wolne miejsce w ławce obok i zaczęła grzebać w swojej torebce.

– Nie miałam gdzie zaparkować – powtórzyła i uśmiechnęła się do mnie.

Sprawdzian okazał się tekstem z lukami, który sprawdzał znajomość słownictwa, a także to, czy w ogóle znamy niemiecki. Jedno z pytań brzmiało: „Kim jest dla mnie siostra mojej matki?”. Zbita z tropu przerzucałam strony, ale nigdzie nie znalazłam gramatyki.

– Informacje o odwołaniu zajęć znajdują państwo w holu.

Tak brzmiało ostatnie zdanie nauczycielki przed końcem lekcji. Dorośli rzucili się do wyjścia, sprawiali wrażenie, że pamięć ruchowa podpowiada im, co robić: zarzucić plecak na ramię, oprzeć się o ciężkie szklane drzwi wejściowe i popchać je, nie obracając się za siebie. Przystanęłam przed tablicą ogłoszeń. Większość z nich dotyczyła ostatnich klas gimnazjum, była wzmianka o debacie młodzieży i próbie chóru, a także liczne informacje dotyczące zmian sal. Dla szkoły wieczorowej ostał się zaledwie dolny prawy róg, w którym na szybko ktoś napisał markerem: „Luzerzy”.

Niedaleko budynku szkoły znajdowała się dzielnica pełna barów. W jednym z nich poznali się moi rodzice. Po zajęciach zapuściłam się w uliczki, gdzie w świetle dnia panowała cisza, wszystkie rolety były opuszczone, a w zakamarkach można było dostrzec pozostałości po nocy: wygasłe fluorescencyjne bransoletki, niedopałki, wyplute gумы do żucia; czarny brud, który wspinał się

w górę po ścianach. Pokręciłam się po okolicy, obejrzałam historyczny dom z muru pruskiego, w którym działa się teraz zupełnie inne rzeczy niż w czasach jego powstania, i wyszłam z powrotem na główną ulicę. Minął mnie tramwaj. Zatrzymałam się na światłach, podczas gdy wiele osób przeszło na czerwonym.



Tydzień skończył się tam, gdzie się zaczął. Pierwszy raz od dawna nie studiowałam godzinami programu telewizyjnego i miałam poczucie, że w ciągu dnia spełniłam swój obowiązek, a w piątek czułam zbliżający się weekend i to nie za sprawą podwójnego odcinka plotkarskiego programu *Z życia gwiazd*, ale wyjścia z domu. Z Sophią i Pikką postanowiliśmy to uczcić. Wybraliśmy się więc do knajpianego zagłębia. O tej porze panowały tam tłumy, każdy róg okupowały grupki ludzi; niektórzy mieli na głowie światełka, faceci na wieczorach kawalerskich przebrani za zające sprzedawali przechodniom buteleczki z alkoholem, a dziewczynom w miniówkach z zimna drżały kolana. Weszliśmy do jednego z barów i usiedliśmy na lekko podwyższonych ławach przy oknie, machając nogami w powietrzu. Po raz pierwszy od dawna poczułam, że mam prawo wyluzować się i siedzieć pomiędzy znajomymi, opatulona szalikiem pić piwo i w trakcie rozmowy obracać w dłoni kufel.

Pikka z Sophią skakali po tematach, tak jak kiedyś, gdy naradzaliśmy się rano w autobusie. Opowiadali mi o zależnościach i rywalizacji w szkole, w której kiedyś mieliśmy się spotkać, jednak budynku łączonego gimnazjum miałam nigdy nie zobaczyć od środka; dla zasady

nie przekraczałam nawet progu znajdującej się w jego suterenie dzielnicowej biblioteki. Analizowali, kto co powiedział, jak skomentowano to następnego dnia, kto komu przejął piłkę podczas gry w nogę. Mówili o piekarzni nieopodał szkoły, w której wszyscy w czasie okienka kupowali kawę i pączki z dziurką i gdzie Sophia wysyłała czasem Pikkę po czekoladową bułeczkę. Nie chciała, by sprzedawca ją rozpoznał i uznał, że je za dużo słodczy. Sophia opowiedziała historię o tym, jak któregoś ranka na początku roku szkolnego – lato dobiegało końca, a chłodne, świeże powietrze niemalże pachniało zielenią – zauważyła, że w spodniach zaplątały jej się rajstopy. Ukryła się za słupem z ogłoszeniami, próbując je wyciągnąć, rajstopy jednak zahaczyły się o nogawkę. Wówczas jakiś uczeń z klasy wyżej zobaczył całą scenę i wyśmiał Sophię.

– A wszystko to przed ósmą rano! – spuentowała opowieść.

Wybuchnęliśmy śmiechem, zagłuszając rozmowy uczestniczek wieczoru panieńskiego przy barze.

Zadziwił mnie ten ich zamknięty świat, ta sama kolej rzeczy, te same ścieżki; świat, w którym nieprawidłowością była co najwyżej taka błahostka jak rajstopy zaplątane w spodniach. Sophii udało się w toalecie je ściągnąć i schować do plecaka, jednak tamten chłopak zdążył opowiedzieć już o zajściu dziewczynie, która była jednym z jej największych wrogów, ciemnowłosej Caroli – nie mylić z blondynką, z którą się przyjaźniła – i tamta sprzedała historię dalej, nie zauważyła jednak, że Sophia stoi obok, ukryta za drzwiczkami swojej szafki. W ich szkole każdemu przydzielono szafkę, a korytarze przypominały te z lecących po południu na Pro7 seriali o amerykańskich

college'ach. Sophia ciągnęła opowieść o tym, jak zatrzasnęła drzwiczki i ukryła się w szatni przy sali sportowej.

– I nie lubi mnie też pan od chemii – dodała na koniec.

Zrobiła nadąsaną minę, pogrążona w myślach o swoim nastoletnim problemie, którego pokrzepiająca siła wynikała z tego, że można było zaangażować się w niego całym sercem, tak naprawdę nie ponosząc żadnych strat. Pikka objął Sophię ramieniem.

– Ale ty nie jesteś taka jak oni – powiedziała po chwili Sophia.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiałam, że mówi o ludziach ze szkoły wieczorowej.

– Dlaczego, czym się od nich różnię? – zapytałam.

Sophia wysunęła podbródek i wskazała na mnie, obracając dłonie, jak gdyby było to oczywiste.

– Ty przecież nie jesteś głupia! – dodała pośpiesznie.

– Nie jestem głupia?

Sophia milczała.

– A oni są głupi?

Do baru weszła kolejna grupka dziewczyn z wieczoru panińskiego, wypełniając pomieszczenie krzykami. Musieliśmy podnieść głos. Na zmianę podchodziły do nas i tradycyjnie wyciągały buteleczki z nalewką śliwkową, nakłaniając do zakupu. Pikka chciał być uprzejmy i dał im euro, po czym postawił buteleczkę pośrodku stołu.

– Po łyku dla każdego.

Małą zakrętkę postawił sobie na nosie, rozśmieszając Sophię. Z wąskiej buteleczki po kolei upiliśmy odrobinę pięknego alkoholu.

Pod koniec wieczoru wyszliśmy na ciemną ulicę. Tłum się rozszedł, od czasu do czasu zza wypełnionych ciepłym światłem okien dochodziły stłumione pokrzykiwania.

Musieliśmy się pospieszyć, by zdążyć na ostatnią kolejkę jadącą do naszej miejscowości. Dopiero na zewnątrz stwierdziłam, że widzę już podwójnie. W mokrej kostce brukowej odbijały się knajpiane girlandy. Gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie przecznicy, zatrzymałam się i wskazałam przed siebie.

– Jeśli byśmy poszli prosto – powiedziałam – i skręcili za róg, doszlibyśmy do mojej szkoły. A tutaj...

Obróciłam się wokół własnej osi, fasady domów z muru pruskiego rozplywały się przed oczami.

– Gdzieś tutaj, w którymś z tych barów poznali się moi rodzice, nie pamiętam już, w którym, ale musiała tam być muzyka i scena, czy to nie szaleństwo? Akurat tutaj...

Obróciłam się w ich stronę, ale oni poszli już dalej, ramię w ramię kuśtykali po bruku w kierunku dworca i nie słyszeli moich słów.

Przynależność do grupy chciałam zademonstrować za pomocą torby, jaką zaczęłam nosić do szkoły. Był to gadżet reklamowy tygodnika „Die Zeit” dołączany do prenumeraty w promocyjnej cenie dla uczniów. W ten sposób zamierzałam uciąć wszystkie żarty, które rzucałam przy każdej okazji.

– Należę przecież do społecznego marginesu – mówiłam i wybuchałam śmiechem.

Siedzieliśmy wokół ogniska w ogrodzie Pikki, który poruszał pogrzebaczem żarzące się polana. Sophia wpatrywała się we wzlatującą iskrę. Chciałam ubiec Pikkę, Sophię i wszystkich innych; uprzedzić każdą uwagę, która mogła mnie ośmieszyć. Śmiałam się z siebie po to, żeby nie robili tego inni. Moja torba stanowiła jednak wyraz tego, że wciąż rozumiem ich świat i wciąż do niego należę, tylko chwilowo znalazłam się nieco dalej, na marginesie, i że pewnego dnia ponownie stanę się jego częścią. I że Sophia miała rację, „nie jestem taka jak oni”.

Późnym rankiem budziło mnie radio; od niedawna słuchałam programu kulturalnego. Jedyne w piątki zakłócały go maszyny sprzątające, miał być przedsmakiem stylu życia, do którego dążyłam. Próbowałam zerwać z przyzwyczajeniami taty: gdy nie było go w domu, bez przerwy wietrzyłam mieszkanie i zaczęłam pozbywać

się nadmiaru rzeczy. Musiałam przy tym wykazywać się sprytem i odwracać jego uwagę, w przeciwnym razie tata wyławiał przedmiot ze śmietnika i podnosił go, wstrzymując łyż. Któregoś razu w moim pokoju odkrył miskę pełną drobiazgów.

– To jest do wyrzucenia – powiedziałam.

Tata przykucnął przed nią jak mały chłopiec przed modelem kolejki i zaczął zachłannie przeczesywać jej zawartość; stare figurki z jajka niespodzianki, całą hałdę zużytego plastiku.

– Nie wyciągaj niczego z powrotem – poprosiłam.

Podniósł się ociężale.

– Dobra – odparł.

Wyszedł z pokoju, nie obracając się, być może w obawie, że zaraz straci nad sobą panowanie. Także i ja nie zawsze potrafiłam postawić na swoim. Moje starania mogły spalić na panewce; znajdowałam się sama na wyspie nieustannie obmywanej przez dym papierosowy, śmieci i smutek wybrzmiewający w milczeniu.



– Na to potrzeba całego tygodnia, jak nie dłużej! – powiedział tata z podziwem o „Die Zeit”, a tak naprawdę miał na myśli to, że nie dam rady przeczytać wydania do końca, zanim przyjdzie kolejne. W pewnym momencie i mnie udzieliło się jego zwątpienie i przez pięć tygodni faktycznie nie czytałam gazet, tylko odkładałam je jedna na drugą i nie byłam w stanie się ich pozbyć. Stosik pod moim biurkiem rósł ponaglająco niczym zadanie nie do wykonania. Gdy wynurzałam się ze snu, usiłowałam zapamiętać to, co w nim zobaczyłam. Wyobrażałam sobie

zapach świeżych bułek i drogich perfum, które widziałam kiedyś w jednej z reklam, i że pachnę nimi już w szlafroku, zawsze świeża i uczesana, a w domu rozbrzmiewa z adaptera muzyka fortepianowa; teraz jednak do mojego pokoju przedostawały się tylko wysokie tony, płynące ze słabej jakości głośników budzika z radiem. Pierwszy raz od dawna wzięłam do ręki nowe wydanie gazety zamiast starych, tłumiąc wyrzuty sumienia, że niczego nie nadrobiłam, że nie zaczęłam znów od antycznej Grecji. Na moim biurku leżały konturowe mapy, dostaliśmy je od nauczycielki. Mieliśmy z pamięci odtworzyć na nich rzeki, miasta, góry. Zajrzałam do swojego atlasu z siódmej klasy, ale znałam już krajobraz i wiedziałam, gdzie przepływa która rzeka, czego jest dopływem, do którego morza uchodzi.

Zadrukowany papier z recyklingu, który co czwartek łądował w mojej skrzynce na listy, traktowałam jak świętość. Przed południem co dziesięć minut schodziłam na półpiętro i wychylając się przez poręcz, zezwalałam w stronę skrzynki. Gdy tylko dostrzeżałam wystającą z niej gazetę, w podskokach zbiegałam na dół. Jeśli wydanie było zbyt grube, by wsunąć je do skrzynki, listonosz dzwonił, a ja podrywałam się z fotela i wahałam, czy podejść do drzwi, bo przecież nie otwieraliśmy nikomu, kto nie zapowiedział swojej wizyty.

– Nie zmieściła się – wyjaśniał przepraszająco, podając mi gazetę.

Kiwałam tylko głową i pospiesznie wbiegałam w skarpetkach na górę.



Wcisnęłam „Die Zeit” do torby i wyszłam na ulicę, na siąpiący lutowy deszcz. Około trzynastej stanęłam na zanurzonym we mgle peronie, o tej godzinie pomiędzy, gdy dla większości ludzi minęła już połowa dnia, w biurach pracownicy sięgali po swoje sałatki, niektórzy może wychodzili na spacer, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza; to nie była pora na to, by zaczynać, jako jedyna jechałam właśnie na pierwszą lekcję. Pociągi kursowały jeszcze rzadziej niż zwykle. Na peronie nie było nikogo poza mną i kobietą trzymającą dwie duże torby, która stała daleko, na drugim końcu. „Uwaga, nadjeżdża pociąg”, rozbrzmiało nagranie z głośnika. Zobaczyłam zbliżającą się lokomotywę pociągu towarowego i usłyszałam sygnał przypominający zamykanie automatycznych drzwi, a następnie szum rdzawoczerwonych kontenerów na torach, który po chwili ucichł w oddali.

Po schodach wszedł mężczyzna w szarych spodniach i kurtce, ubrania powiewały wokół jego ciała. Wyglądał na bardzo wychudzonego. Stałam w bezruchu, nie patrząc na niego zbyt długo, tak jak mi przykazano. Tyle zdążyłam się nauczyć w pierwszych tygodniach codzienności w wielkim mieście. Należało unikać kontaktu wzrokowego, jednak nie – jak w naszej miejscowości – ze strachu, lecz raczej wycucia taktu, z uwagi na konieczność nieustannego siedzenia w ścisku z obcymi ludźmi w gwarnych przedziałach kolejowych i restauracjach. Nie patrzyłam więc na niego, odgrywając przypisaną mi rolę, choć wciąż znajdowałam się w granicach naszej miejscowości. Mężczyzna naciskał na przyciski automatu z biletami.

– Przepraszam, pani jest stąd?

Przytaknęłam.

– Wie pani, jak to działa?

Zrobiłam krok w jego stronę. Wiedziałam, jak działa automat i byłam s t ą d, w tym momencie zdałam sobie z tego sprawę, choć było tak od zawsze; jednak dopiero teraz myśl ta wydała mi się znajoma, wręcz prawdziwa, co wzbudziło we mnie niepokój.

– Tak – odparłam i zapytałam, dokąd jedzie, żeby wybrać strefę taryfową. – Też tam wysiadam.

– Ach!

Mężczyzna spojrział na mnie rozpromieniony i zaskoczony, po czym wrócił do studiowania siatki połączeń. Nieco dalej jakiś chłopiec wspiął się przez siatkę otaczającą pobliskie ogródki działkowe i kilkomna susami pokonał torowisko, po czym z wprawą wskoczył na peron. Wówczas na horyzoncie pojawiła się czerwona lokomotywa kolejki podmiejskiej.

W milczeniu zajęliśmy miejsca na siedzeniach naprzeciwko siebie. Pociąg ruszył z elektrycznym szumem. Wyciągnęłam gazetę i przesunęłam dłonią po farbie drukarskiej pokrywającej reklamę drogich zegarków i torebek, brudząc sobie opuszki palców. Gdy przewracałam strony, płachta papieru opadała na kobietę siedzącą obok; na chwilę zajęłam przestrzeń, która do mnie nie należała. Między jednym a drugim akapitem spoglądałam za okno na kominy w parku przemysłowym.

– Majestatyczne – skomentował mężczyzna.

Wskazał na widok i uśmiechnął się do mnie. Musiałam wyglądać na zaskoczoną doborem jego słów, bo zaraz objaśnił:

– Pani tak tego nie widzi, bo pani jest stąd. Dla mnie jednak, jako osoby z zewnątrz, ma to w sobie pewną wzniosłość, choć tak się raczej mówi na przykład

o górach. Ale to robi wrażenie. Pomijając fakt, co tam się produkuje.

Roześmiał się.

– W sumie, jakby się zastanowić... – powiedziałam, mimo że nie dostrzegałam nic wzniosłego.

– Ano tak – skwitował mężczyzna.

Dalej jechaliśmy w milczeniu, mijając graffiti, od których na krótko przed dworcem robiło się coraz gęściej. Na ogniomurze zobaczyliśmy nasprejowane trzy postaci z komiksu, po czym wjechaliśmy do tunelu. W ciemności widać było zarys grubych przewodów elektrycznych przebiegających po ścianach. Zostawialiśmy za sobą kolejne stacje.

– Planuje tu pani zostać? – zapytał mężczyzna.

– Zostać... nie – odparłam.

Mojej uwadze nie uszedł fakt, że wybrzmiała w tym nuta zwątpienia. Jeszcze pół godziny temu potwierdziłam, że „jestem stąd”, a wyprowadzka zawsze była częścią tej wypowiedzi, jednak przed chwilą na peronie wydawało mi się, że wymazałam tę myśl z pamięci. Teraz sprawiała wrażenie urojenia, na którego wspomnienie Pikka, Sophia i mój tata potrząsali głową. „Wyprowadzić się? Po co?”, w głosie taty Pikki słyszałam lekkie rozbawienie. Dla niego i jego syna wyprowadzka była idiotycznym pomysłem. Jak można było chcieć się stąd wyprowadzić? „U nas też to masz”, mawiał mój dziadek, mając na myśli region wokół naszej miejscowości, w którym za sprawą parku przemysłowego rozwinęła się infrastruktura. Wszystko, czego potrzebowałam, znajdowało się w zasięgu ręki. Baseny, muzea, filie różnych sklepów, bank, miejsce pracy, mieszkanie. U nas też to miałam. Tylko ja zawsze musiałam

dokądś jechać, gdy miałam coś do załatwienia. Znaczków nie kupowałam w sklepie papierniczym koło przystanku, lecz w miejskiej filii poczty w drodze do szkoły. Zakupów spożywczych nie robiłam w pobliskim supermarkecie, tylko co najmniej w gminie obok. Także to podpatrzyłam u taty, który unikał wszystkiego, co znajdowało się w pobliżu, a mieszkańców miejscowości uważał za „dziwaków”, choć tak naprawdę po prostu bał się odrzucenia. „W naszej Edece nic nie ma”, powtarzał i po każdy drobiazg jechał samochodem do dużego centrum handlowego. W przeciwieństwie do niego czułam jednak tęsknotę za tym, co było gdzie indziej; tęsknotę za wielkomięskością, którą – co uświadomiło mi to pytanie tamtego mężczyzny – odkryłam teraz w pobliżu. Tu faktycznie miałam wszystko. Graffiti było ładne i znajome, podobnie jak tory kolejowe i sieć trakcyjna. Nawet park przemysłowy mógł wydawać się wzniosły, gdybym nauczyła się patrzeć na niego w inny sposób.

– Zostać... Nie na dłuższą metę – odparłam.

Ale na krótszą metę już tak. Na krótszą metę nie miałam wyboru. Co najmniej trzy i pół roku, jeśli nauczycielka miała rację i faktycznie będę mogła podejść do matury. Skoro w najbliższym czasie muszę tu zostać, nie mogę mieć do tego miejsca takiej awersji.

Dojechaliśmy do stacji końcowej. Za nami wysiedli pojedynczy pasażerowie, w milczeniu stawiając kroki na żółtych kafelkach; każdy szedł sam, wbijał wzrok w ziemię, wyławiał słuchawki z kieszeni kurtki, naciągał kaptur na czoło przed wyjściem na ziąb, w siąpiący deszcz. Pojedyncze siedzenia z plastiku, żółte jak posadzka i ściany, w niektórych miejscach miały chropowate zagłębienia

i przybrały nieco inny odcień żółci od zgaszonego na nich papierosa. Nikt na nich nie siedział i nie czekał. Postawiłam stopę na pierwszym stopniu schodów ruchomych, które zatrzymywały się, gdy stacja pustoszała. Schody ruszyły, a mężczyzna stanął za mną i rzucił mi spojrzenie pełne życzliwości, podczas gdy powoli zanurzaliśmy się w świetle dnia. Zimny wiatr owiewał nam twarze i szarpał roślinami, które pięły się wokół balustrady koło kolejnych schodów ruchomych; ich liście pokrywał pył. Na górze każdy miał pójść w swoją stronę.

– Idę tam.

Wskazałam na most kolejowy, przebiegający nad chodnikiem kilka metrów dalej. Mężczyzna wykonał gest w przeciwnym kierunku.

– Mogę wrócić na tym samym bilecie? – Z kieszeni spodni wyciągnął niebieski karteluszek. – Ile jest ważny? Godzinę, dwie?

– Nie, tylko w jedną stronę i bez przesiadek – odparłam.

– Jakie to niepraktyczne.

Przytaknęłam z uśmiechem.

– No dobrze – powiedział. – W takim razie dziękuję, do widzenia.

Jeszcze raz popatrzył na mnie uważnie. Jego wzrok padł na moją torbę i logo gazety wyszyte białą nicią na czarnej plandecie.

– Pani jest pewnie studentką? – zapytał.

– Uczennicą. Jeszcze chodzę do szkoły.

– Nie widać, zupełnie nie widać. Jak te dzieci wyglądają dziś dorosło.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową, machnął ręką i jeszcze raz uśmiechnął się, chyba chciał dodać mi otuchy, po czym obrócił się, a ja zniknęłam w ciemnościach

pod mostem. Na filarach gołębie uwiły gniazda, ziemię pokrywały plamy zaschniętych ptasich odchodów.



Przed szkołą zebrał się już tłum dwudziestoparolatków, którzy także i mnie wydawali się niesamowicie starzy. Stali na chodniku i palili, naznaczeni życiem, opanowani, niektórzy z pewną rezygnacją, opuszczonymi ramionami i puchówką naciągniętą na dres. Zawsze wbijali wzrok w ziemię, w dłonie z papierosem, w ławkę, gdy siedzieli w sali lekcyjnej. Zależało im na tym, żeby emanować obojętnością. Przypominali nadąsanych nastolatków, ale towarzyszyło im tłumione uczucie wrogości, jakie pojawiało się wraz z upływem lat; wiedzieli, że się od niego nie uwolnią, a już na pewno nie w tej sali. Przysłał ich tutaj pewnie urząd pracy. Urzędniczka naciskała tak długo, aż w pewnym momencie nie mieli wyboru – grunt, żeby zniknęli ze statystyk bezrobocia i dostali stypendium socjalne, które miało być cofnięte przy najbliższej okazji, bo ojciec zarabia o kilka euro za dużo, choć prawie wcale nie mają już ze sobą kontaktu. Wtedy pojawiało się oburzenie: „Jak ja za to zapłacę?” i przestawali chodzić do szkoły. Wstydzieli się tego, że do niej chodzą. Nigdy nie mieli przy sobie papieru ani długopisu. Pożyczyłam je jednemu chłopakowi w puchówce, gdy nagle się do mnie dosiadł; odchrząknął zawstydzony i nie podniósł wzroku. Wstyd mu było siedzieć w szkole w wieku dwudziestu czterech lat, a także później ją rzucić. Po paru tygodniach wraz z kilkoma pozostałymi bez komentarza został skreślony z listy.

Cansu odłączyła się od grupy. Już z odległości kilku metrów rozpoznała mnie i zawołała:

– Odwołali pierwszą lekcję!

Większość klasy wykorzystała okazję, by wrócić do domu i nie pojawić się na kolejnych zajęciach. Dlatego też po chwili poza nami została tylko imprezowiczka z zielonym kolczykiem.

– Chodźmy do samochodu – rzuciła Cansu.

We trzy ruszyliśmy drugą stroną ulicy do jej błękitnego twingo. Cansu podniosła przednie siedzenie, tak bym mogła wskoczyć do tyłu, a imprezowiczka zajęła miejsce na fotelu pasażera. Zatrzasnęły drzwi i zapadła cisza. Cansu z łobuzerskim uśmieszkiem z wąskiej torebki wyciągnęła skręta. Imprezowiczka klasnęła w dłonie:

– To najlepsze, co mogło nam się przytrafić!

Cansu zapaliła i zaciągnęła się jako pierwsza. Wypuściła dym, cały samochód wypełniła szara mgła.

W spojrzeniu Cansu tak jak u pozostałych widać było opanowanie, ale i iskrę, którą podsyciła, gdy zaciągnęła się jeszcze dwa razy i podała skręta imprezowiczce. W pewnym sensie pogodziła się z tym, jak potoczyło się jej życie. Nauczyciele dotychczas nie traktowali jej poważnie, jej prace domowe sprawdzali z lekceważeniem, nawet jeśli odpowiedzi były poprawne; dawno już przestała dzielić się z kimkolwiek swoimi przemyśleniami, bo wszystko, co padało z jej ust, nauczyciele z góry i bez namysłu uznawali za błąd. Pogodziła się z tym, że wysłano ją do szkoły głównej; ze wszystkiego miała dobre oceny, choć mogły być jeszcze lepsze, gdyby nauczycielka jej wysłuchała i nie czekała cały czas na błąd gramatyczny, który zdarzało się Cansu popełnić.

– „Światło” nie jest rodzaju męskiego.

Nauczycielka uśmiechała się z satysfakcją. Błędne rodzajniki były tylko potwierdzeniem jej tezy.

– Pewnie musisz dużo pomagać w domu – powiedziała łagodnym głosem. – Lepiej więc będzie, jeśli pójdziesz do szkoły głównej i nie będziesz marnować czasu na dojazdy.

Cansu zatkało. Choć nie skończyła nawet dziesięciu lat, zrozumiała, że już po wszystkim. W jej oczach widziałam, iż ma tego świadomość, a jednocześnie dziwnym sposobem udało jej się przejść nad tym do porządku dziennego. Nie bała się. Odzyskała głos i zaczęła mówić z porażającą siłą, głośno i wyraźnie, używając stwierdzeń tak kategorycznych, że nikt nie śmiał podać ich w wątpliwość.

Jej ulubione powiedzenie brzmiało: „Serio, wisi mi to”, a przez dosadność jej słów rzeczy, o których mówiła, stawały się naprawdę błahe. Traciły na powadze i nagle okazywało się, że to nic takiego: spóźnienie o kilka minut, niemiły tekst, nierobienie wszystkiego idealnie. Cansu wisiądo to, czy ją rozumiano; do tych, którzy jej nie rozumieli, obracała się plecami, nie omieszkując wcześniej parsknąć pod nosem, niczym świadek ich potknięcia. Dotarło do niej, że tylko traci czas, przekonując do siebie kogoś, kto nie wierzył w nią od samego początku.

Gdy Cansu opowiadała to wszystko, imprezowiczka cały czas kiwała głową ze zrozumieniem. Mimo że była po trzydziestce, miała dziecięcą twarz, co z jednej strony brało się z jej okrągłych policzków, a z drugiej – cienia smutku w jej spojrzeniu, który, choć ten sam co u innych, w jej przypadku nie przeradzał się w złość ani obojętność. Nosila za duże bluzy i naciągała na czoło kaptur. Rozpoczynała i przerywała naukę różnych zawodów. Gdy miała szesnaście lat, przerwała edukację na krótko przed uzyskaniem dyplomu szkoły realnej i rodzice wyrzucili

ją z domu. Opowiadała o tym bez emocji, tak jak inni mówili o swoim hobby z dzieciństwa: „Kiedy w środy chodziłem na basen” – „Gdy miałam szesnaście lat i rodzice wyrzucili mnie z domu”. W jej życiu był to punkt zwrotny, którego specjalnie nie podawała w wątpliwość. Okazywała wyrozumiałość dla swoich rodziców, którzy nie potrafili inaczej poradzić sobie w tej sytuacji. Stwierdziła, że „to właściwie dość mili ludzie”. Od tamtej chwili tułała się po znajomych; wynajmowała pokoje w różnych mieszkaniach, a raz miała własne, chwilę później je traciła, w zależności od aktualnego stosunku pracy, czy chwyciła się akurat jakiejś tymczasowej roboty, czy może była w drugim roku przygotowania do zawodu fryzjerki, florystki albo ekspedientki.

– Wszystko w pewnym momencie zarzucałam. Przeształam chodzić na zajęcia. Wszystko nagle wydawało mi się kompletnie bezsensowne – opowiadała. – Zobaczymy, jak długo wytrzymam tutaj.

Gdy skończyły opowiadać historie swojego życia, na chwilę zapadła cisza. Samochód wypełniał gęsty dym i mijający nas pojedynczy uczniowie, którzy schodzili się na kolejną lekcję, rozbawieni spoglądali na zamglone szyby. Ktoś otwartą dłonią uderzył w maskę, wołając: „Szacun!”, aż podskoczyliśmy na siedzeniach. Cansu spojrzała na mnie w lusterku wstecznym i zapytała, jakim cudem utknęłam tu, na tej, jak się wyraziła, najniższej półce, po czym wybuchnęła chrapliwym śmiechem. Wruszyłam ramionami. Później także i mnie wydało się to zagadką z uwagi na fakt, że wszystko, czego miałam nauczyć się w tej szkole, wiedziałam już wcześniej. Nie mogło więc chodzić po prostu o wiedzę ani przynajmniej umiejętność jej przyswojenia.

– Nie wiem – odparłam.

Imprezowiczka obróciła się do mnie i z pytającym uśmiechem wyciągnęła skręta w moim kierunku. Potrząsnęłam głową.

– Jeszcze jesteś młoda – stwierdziła Cansu, wyciągając go z dłoni koleżanki. – Wszystko jest w twoich rękach.



Pozostałe trzy godziny lekcyjne minęły bez trudu. Cansu pytała wszystkich dookoła, czy mają coś słodkiego. Nawet gdy mówiła szeptem, jej głos ciął powietrze; gdy za czwartym razem nauczycielka rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, ta parsknęła rozbijającą. Kiedy nauczycielka odwracała się, żeby zapisać coś na tablicy, razem z imprezowiczką rzucały mi konspiracyjne spojrzenia, jak gdyby godzina w samochodzie uczyniła z nas bohaterki *Klubu winowajców*.

Lekcja dobiegła końca i rozległo się szuranie krzesel. Postawiłam torbę na stole, żeby schować zeszyty, a nauczycielka spojrziała na białe logo gazety.

– Świetnie – powiedziała z miną znawczyni, chcąc dać mi do zrozumienia, że w rzeczywistości i ja, i ona nie pasujemy do tej sali, a naszym naturalnym środowiskiem są rubryki *Felieton*, *Szansa* i *Wiedza*. Stanęła przed moją ławką i skrzyżowała ręce za plecami.

– Wie pani, ja mówiłam całkiem serio – ciągnęła. – O maturze.

Zatrzymałam się z notatnikiem wsuniętym do torby do połowy.

– Jest pani pewna?

Przytaknęła.

– Nie trzeba do tego być określonym typem? – zapytałam.

Nauczycielka spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, i lekko potrząsnęła głową.

– O jaki ty p chodzi? – zapytała. – Co ma pani na myśli? Jeśli chodzi o kogoś, kto kojarzy fakty, to nie ulega wątpliwości, że jest pani tym typem.

– Naprawdę jest pani tego pewna? – dociekałam. Kiwnęła głową z przekonaniem. Z mojego notatnika wystawał sprawdzian z matematyki, który właśnie nam oddała. Nauczycielka lekko pstryknęła palcem w kawałek papieru.

– Oto dowód – powiedziała z uśmiechem.



Zapał zmrok, mżawka unosiła się wokół latarni niczym dym. Wracałam sama na dworzec. Gdy pod mostem kolejowym jak zawsze przestępowałam nad wyspami ptasich odchodów, poczułam nagły przypływ nadziei. Na stacji znów postawiłam stopę na metalu i schody ruszyły w dół. Gdy tylko pod dachem znalazłam schronienie od deszczu, wyciągnęłam sprawdzian. Nie zrobiłam ani jednego błędu, na marginesie ciągnął się rząd czerwonych ptaszków – i to był dowód? Kreski ułamków były narysowane drżącą ręką. Na peronie panowały pustki, szumiały tylko jarzeniówki. Usiadłam na plastikowym siedzeniu, które zaskrzypiało pod moim ciężarem, a trzymany między palcami papier zawilgotniał od potu we wnętrzu moich dłoni.



Tak mijały miesiące. Mądrość, którą poświadczyli u mnie nauczycielka i pozostali uczniowie, uznawano wyłącznie w szkole wieczorowej, po skończonych zajęciach nie zostawał po niej ani ślad. Ilekroć rozwiązywałam zadanie domowe za Pikkę, który nie lubił i nie znał angielskiego, i z kwestiami językowymi był zawsze na bakier, musiałam objaśniać mu wszystko trzykrotnie, bo jednak przedkładał swoje umiejętności nad moje. Nie miałam mu tego za złe; przywykłam do takich sytuacji tak bardzo, że nawet nie zwracałam na nie uwagi. Wyświadczałam mu przysługę, bo w ten sposób chciałam sobie coś udowodnić. Sam nie przeczytał ani jednej linijki z tego, co zapisałam na papierze.

– To bardzo proste – powiedziałam.

Pikka tylko wyciągnął mi z ręki kartkę.

– Dzięki – odparł.

Niespecjalnie rozumiał, z czego jestem tak dumna. Był skłonny przyjąć wszystko, byle tylko nie musieć odrabiać lekcji.

Gdy nauczyciel przystąpił do sprawdzania pracy domowej, tylko rzucił na nią okiem, nie zastanawiając się, dlaczego odpowiedzi napisano innym charakterem pisma niż zazwyczaj.

– Jego to nie obchodzi – stwierdził Pikka. – Równie dobrze mogłem napisać tam coś po chińsku.

Chłopaki z sąsiedztwa, których zaprosił także tego wieczoru, podśmiewały się ze mnie i z mojej pilności, zakrywając usta. Ja z kolei cieszyłam się tylko, że nie zapominałam angielskiego, od kiedy w szkole wieczorowej tworzyłam wyłącznie zdania pojedyncze. Wybrałam dodatkowy kurs z angielskiego biznesowego w nadziei, że czegoś się na nim nauczę, jednak zajęcia polegały

wyłącznie na odgrywaniu scenek. Udawaliśmy z sąsiadem z ławki, że prowadzimy rozmowę telefoniczną, na przemian powtarzając do słuchawki starego telefonu sznurowego zdanie: *The furniture is very modern.*

Ten etap również dobiegł końca. Zostało po nim świadectwo, które wręczono mi w sali lekcyjnej między czternastą a piętnastą, o tej martwej godzinie, których w tej szkole nie brakowało. Ze względu na niewielką liczbę absolwentów i prawdopodobnie brak zaufania ze strony dyrekcji gimnazjum nauczycielka nie dostała klucza do auli. Nigdy nie przekroczyliśmy nawet progu hali sportowej. Zanadto się tym nie przejęliśmy, rozdanie świadectw nastąpiło w tajemnicy, prawie nieoficjalnie, to była nasza specjalność; i tak nie było wiadomo, czy ten dyplom będzie cokolwiek wart poza murami szkoły, nawet jeśli papier był dobrej jakości. Mówiliśmy „poza murami szkoły”, jakbyśmy znajdowali się w przedsionku i nie obejmował nas okres ochronny. Przyszedł czas na pamiątkową fotografię. Ustawiliśmy się przed otwartą do połowy tablicą, Cansu stanęła obok mnie i objęła mnie ramieniem, a kłamra na jej pasku z podrobionym logo Dolce & Gabbana błyszczała w promieniach słońca.

Mówiliśmy „my”, choć tak naprawdę nic nas nie łączyło i wiadomo było, że gdy tylko wieczorem każdy z nas rozejdzie się w swoją stronę, nasza więź zamieni się w przypadkowe spotkanie. Byliśmy jedynie grupą ludzi, którzy w tym samym momencie skończyli szkołę i ubierali się zgodnie z modą obowiązującą w dwa tysiące siódmym roku: torby marki George Gina & Lucy, polary Bench, biodrówki, które jeszcze niedawno były dzwonomi; kto tak jak my nie miał pieniędzy, przerabiał je, samodzielnie zwężając nogawki. Śledziliśmy transport

Britney Spears do szpitala po tym, jak z jednym ze swoich synów zabarykadowała się w łazience, sfilmowaną przez helikoptery krążące nad jej posiadłością, świadomi tego, że nadchodzi nowa epoka. Nie łączyła nas wspólna przeszłość. Nie mówiono o nas jako o klasie, ale jako o roku, niczym o studentach na uniwersytecie. Nasze urodziny nie zbiegły się w czasie. Przekonaliśmy się, że nasz rocznik w pewnym momencie rozmył się, że zatrzymaliśmy się na różnych etapach, podczas gdy nasi rówieśnicy poszli dalej; widzieliśmy, jak kroczą przed siebie i dopiero gdy byli już daleko, dotarło do nas, co straciliśmy: grupę, z którą czuliśmy się związani, bezpieczną przestrzeń, w której mogliśmy znaleźć miejsce dla siebie. To doświadczenie, choć wspólne, każdy z nas przeżył inaczej. Poza tym, że słowo „luzerzy” na tablicy odnosiło się do nas wszystkich, nie łączyło nas nic. Nie mieliśmy utworzyć żadnej „wspólnoty”, żadnego „stowarzyszenia”, nikt z nas nie miał co kilka lat od nowa podejmować wysiłku organizacji spotkania klasowego. Trafiliśmy do tej szkoły, bo potrzebowaliśmy tylko jednego: świadectwa jej ukończenia.

Po tym jak Cansu zaczęła naukę zawodu kucharki w dużej sieci hoteli, na ostatnich lekcjach angielskiego biznesowego bombardowała nauczycielkę pytaniami.

– Jak jest „szczypiorek”? Jak jest „pietruszka”? – wołała przez salę, zamiast skupić się na formułkach w listach urzędowych: *When do you use the term «sincerely»?*

Wyobrażałam sobie Cansu w gorączkowej atmosferze w kuchni, jak swoim donośnym głosem domaga się ziół. Na przerwach również nie mówiła o niczym innym jak tylko o tym, że wkrótce zaczyna nową pracę. Rzuciła palenie trawy i w ostatnich tygodniach nie spóźniła się

ani razu, a inni, zamiast w żartach wołać do nauczycielki, że Cansu „nie ma gdzie zaparkować”, gdy się spóźniała, teraz przekomarzali się z nią, dopytując, czy wykupiła prywatne miejsce parkingowe, skoro zawsze przychodzi tak wcześnie. Cansu uśmiechała się szelmowsko, zadowolona ze swojej nowej roli.

Szkołę skończyło dziesięć z trzydziestu osób, z którymi pierwszego dnia siedziałam w sali. Wyszliśmy na korytarz, gdzie na papierowych obrusach stały butelki szampana i plastikowe kubeczki. Nalaliśmy sobie alkoholu i stanęliśmy w kręgu, popijając małymi łyżkami. Tylko nauczycielka piła zachłannie i pytała wszystkich, czy chcemy potem gdzieś iść.

– Tuż za rogiem jest przecież tyle knajp.

Wszyscy przytaknęli. Nie mogliśmy poprzestać na szampanie i ciście Dr. Oetkera, które wyciągnął ktoś z nas. Za oknem było jeszcze jasno. Schowaliśmy świadectwa do toreb i dwójkami ruszyliśmy w dół ulicą niczym uczniowie podstawówki na wycieczce klasowej. Knajpy dopiero się otwierały i w tej, którą wybraliśmy, nie było nikogo poza nami. Barman spojrzał na nas podejrzliwie; chwila spokoju przed nadejściem hordy pijanych gości dobiegła dla niego końca. Zajęliśmy miejsce w kącie, przy jednym z dużych okien wychodzących na ulicę. Wokół niskiego stołu na dywanie były rozłożone poduchy. Usiadłam plecami do okna i spojrzałam na barmana, który flegmatycznie wycierał kilka szklanek, przeciągając chwilę, gdy będzie musiał do nas podejść i przyjąć zamówienie. Szampan uderzył nam do głowy, mówiliśmy jeden przez drugiego, gwar przeplatał się ze śmiechem, a gdy barman przyniósł drinki, także z dzwonieniem szklanek, którymi wznieśliśmy toast.

– Za przyszłość! – zawołała Cansu i wybuchnęła re-
chotliwym śmiechem.

Na moją przyszłość miały składać się kolejne godzi-
ny lekcyjne. Znów miałam wychodzić z domu o poranku
zamiast w południe i uczestniczyć w lekcjach wuefu. Na
tę myśl przechodziły mnie ciarki, ale nie miałam wybo-
ru; taką musiałam zapłacić cenę. Plus dojazdy, bo jedyna
szkoła, do której miałam szansę się dostać, znajdowała się
jeszcze dalej niż szkoła wieczorowa. J e s z c z e d a l e j,
o ile punktem wyjścia była nasza miejscowość, a przez
jakiś czas się na to zanosilo. Świat na zewnątrz, o któ-
rym rozmawiałam z innymi w szkole wieczorowej, przed
którym musieliśmy się strategicznie bronić, znów stał się
dla mnie dostępny. Powróciłam do świata Pikki i Sophii,
a szkoła wieczorowa jawiła mi się teraz jako kuriozalne
intermezzo. Jeśli po maturze nie zrobię tak jak oni roku
przerwy, może nawet zdołam ich wyprzedzić. Z niedo-
wierzaniem powtarzałam w myślach: „Po maturze”. Ten
czas został wymazany z mojego życia po odejściu ze szko-
ły i znów się pojawił, wprawdzie jeszcze na horyzoncie, ale
już w formie czasu przyszłego dokonanego: „Będę miała
zdaną maturę”. Dziwnym sposobem moje życie skróciło
się i wydłużyło jednocześnie.

Za oknami powoli zapadał zmrok i zaczęło padać. Za-
mówiliśmy drugą kolejkę piwa, gwar wzmógł się, śmie-
chy przybrały na sile. Przypomniał mi się mężczyzna,
który zagadał do mnie na stacji. Miałam zostać, ale nie
tutaj.

– No i jak oceniacie ostatnie miesiące? – zapytała na-
uczycielka.

Jej małe oczy zwilgotniały, przez cały czas miała przy-
lepiony do twarzy krzywy uśmieszek.

– Nie było tak źle – stwierdziła imprezowiczka.

Reszta wybuchnęła śmiechem.

– Było to ciekawe doświadczenie – powiedziałam nagle zblazowana.

Ściągnęłam usta niczym obserwatorka, dla której od początku jasne było, że wróci „do świata na zewnątrz”, gdzie czekali już Sophia z Pikką i gdzie tak naprawdę czuła się sobą; nie w gronie pozostałych słuchaczy, nie w samochodzie Cansu, nie w tym czasie pomiędzy, w którym żyłam przez ostatnie miesiące, wreszcie nie w towarzystwie mojego taty. Powiedziałam to tak, jakby miniony rok i trzy miesiące spędzone w szkole były tylko eksperymentem, jakbym od początku siedziała w tych klasach dla zabawy, uprawiając dziennikarstwo wcieleniowe, a teraz wracała do prawdziwego świata, mojego świata, i stamtąd o wszystkim miała opowiedzieć.

– Takich ludzi nie spotyka się na co dzień nigdzie indziej – dodałam.

Cansu, trzymając w dłoni szklanke, spojrzała na mnie kątem oka i uniosła brew.



Biegłam mokrą ścieżką, żeby zdążyć na imprezę w ogródku Pikki. Było tak ciepło, że woda już wyparowała, tylko pod drzewami zostały głębokie kałuże. Skręciłam w ulicę, przy której mieszkał, panowała tutaj cisza, zatrzymałam się. Po chwili zza żywopłotu dobiegły głosy starszego i młodszego Pikki, niezrozumiała wymiana zdań, a potem śmiech. W powietrzu unosił się zapach kwitnącej lipy. Gdy wchodziłam przez bramę, poczułam, jak od szampana i drinków przy barze barze rozluźniły mi się ramiona.

Wszyscy już zjedli, grill zamienili z powrotem w palenisko i ustawili pośrodku ogrodu. Wokół siedzieli Pikka, Sophia, ich rodzice i kilku sąsiadów. Kiwnęłam głową do chłopaków z sąsiedztwa, a ci uśmiechnęli się do mnie pod nosem, chyba właśnie o mnie rozmawiali. Gdy tylko usiadłam na wolnym leżaku między Sophią a jej mamą, przysunęli do siebie głowy. Milczałam. Nie musiałam już z siebie żartować. Dla pozostałych był to normalny kwietniowy dzień, być może wyjątkowo ciepły, i poza tym, że zaskoczyło ich oberwanie chmury, nic się nie zmieniło: Pikka z Sophią chodzili do szkoły, rodzice do pracy. Tylko w kręgu oświetlonym blaskiem ognia zielenił się trawnik, dalej ogród przemieniał się w czarną powierzchnię. Na jednej z grządek kwitł wiesiołek. Mama Sophii nakryła kolana polarowym kocykiem i dołała sobie białego wina.

– Sophia wspominała, że dostałaś dziś świadectwo.

– Tak.

– Mogę zobaczyć?

Wyjęłam z torby skoroszyt, starannie przewracając kartki z grubego papieru. Mama Sophii omiotła je wzrokiem, z dostojnością obejmując palcami nóżkę kieliszka.

– Och – powiedziała.

Było to takie „och”, jakie wydaje się na widok brzydkiego dziecięcego rysunku.

Za pierwszym razem weszłam do budynku nowego gimnazjum nie tym wejściem, przez tylną bramę podwórka, mijając wyblakłe, jasnozielone boisko do koszykówki. Trwały jeszcze wakacje, więc szkoła, oddzielona od działki obok wysokim płotem, świeciła pustkami. Daszek na zachodnim skrzydle rzucał cień na część podwórka. W środku klatka schodowa była wyłożona ciemnobrązowymi kafelkami, ściany zdobiły niebiesko-czerwone ornamenty, a przy schodach prowadzących do auli znajdowała się nieczynna marmurowa fontanna. Ruszyłam w górę na parter, w stronę gabinetu dyrektora i sekretariatu, gdzie miałam się zgłosić.

– Jestem umówiona z dyrektorem na rozmowę kwalifikacyjną – powiedziałam do sekretarki siedzącej za wysoką ladą. Kobieta o małych oczkach ominęła mnie wzrokiem.

– Tak – odparła. – Proszę poczekać na korytarzu.

Chodziłam w tę i z powrotem, licząc kafelki. Grube mury budynku chroniły przed upałem i zatrzymywały nocny chłód aż do popołudnia. Wzdrygnęłam się z zimna. Z jednego z gabinetów wyszedł mężczyzna o białej brodzie.

– Pani A.? – zapytał, a ja skinęłam głową i podeszłam w jego stronę.

Zamknęłam za sobą drzwi do jego gabinetu. Dyrektor siedział już za biurkiem i wskazał na krzesło.

– Tak więc... – zaczął. – Dzień dobry, witamy serdecznie.

– Dzień dobry – odpowiedziałam i przysunęłam krzesło do biurka, a następnie usiadłam.

– A więc chce pani uczęszczać do naszej szkoły.

Kwinęłam głową.

– A więc... – powtórzył, układając przed sobą papiery, wśród których rozpoznałam swoje skromne cv, a także list polecający napisany ręcznie przez nauczycielkę ze szkoły wieczorowej.

– Jest pani nieco starsza, a my, to znaczy ja jako dyrektor, mam obowiązek osobiście ręczyć za każdego, kto trafia do nas po skończeniu osiemnastego roku życia. Istnieje pewne ryzyko, że za jakiś czas pani odejdzie i w ten sposób przypadnie miejsce dla kogoś młodszego i bardziej zmotywowanego. Dlatego też przyjmujemy starszych uczniów tylko wtedy, gdy zostaną nam wolne miejsca i mamy pewność, że traktują sprawę poważnie.

Zamilkł na chwilę. Nic nie powiedziałam, tylko jeszcze raz skinęłam głową. Dyrektor położył cv na liście polecającym i spoglądając przez okulary na czubku nosa, pobieżnie przejrzał listę szkół, do których chodziłam. Następnie przeniósł wzrok na mnie.

– Z czego to wynikało? – zapytał.

– Co takiego?

– Luki czy też przerwy w pani cv.

– Kiedyś... nie miałam zbyt dobrych ocen.

– Ale to nie może być wszystko. Nikt nie znika tak niespostrzeżenie bez powodu.

– Nie potrafię tak dokładnie tego wyjaśnić. Jedno wynikało z drugiego.

Dyrektor nie spuszczał ze mnie wzroku, czekając, czy może coś jeszcze dodam. Musiał istnieć powód, który należało przedstawić w klarowny sposób, jasno nazwać przyczynę i skutek. Złe oceny jako takie nie wystarczały, choć stanowiły jedyną namacalną rzecz. Musiało być coś jeszcze, przyczyna musiała tkwić we mnie.

– Któryś moment na pewno okazał się przełomowy – dociekał dyrektor.

Przeczesałam pamięć w poszukiwaniu owego momentu. Jakże często zadawałam sobie pytanie, kiedy to wszystko się zaczęło i posypało; jakże często zadawano mi je, rzucając badawcze, pełne oczekiwania spojrzenia, w których widać było, że rozmówca i tak nie uwierzy w moją odpowiedź. To niemożliwe, na pewno coś pani przeczyła, coś zrobiła pani nie tak, przecież istnieje coś takiego jak rada pedagogiczna. Jak dwadzieścioro nauczycieli mogło dopuścić do tego, że powinęła się pani noga? „To przecież niemożliwe”, stwierdził Pika, „Coś musiałaś przeoczyć, coś musiałaś zrobić nie tak”, takich słów użyła Sophia. W myślach cofnęłam się więc do czasów podstawówki, bo mniej więcej wtedy wszystko się zaczęło. Musiałam źle stanąć; to na pewno moja wina, że leżałam nieprzytomna na szkolnym podwórku, bo nie nauczyłam się na wuefie prawidłowo lądować. Jak na swój wiek potrafiłam doskonale czytać, tyle tylko, że nikt o tym nie wiedział, bo nigdy nie zgłaszałam się na ochotnika, a kiedy nauczyciel zaczynał do mnie mówić, zasłaniałam oczy i czekałam, aż wywoła do odpowiedzi kogoś innego. Początkowo potrafiłam też nieźle liczyć,

ale wkrótce nikt tego już nie zauważał, bo w trakcie zabawy w liczenie na cztery kąty nigdy nie wyszłam poza pierwszy z nich.

– Ma trudności w operowaniu liczbami – stwierdziła wówczas nauczycielka.

Uwierzyłam jej. Po południu wysłano mnie na zajęcia wyrównawcze z nauczycielem, który przyszedł na zastępstwo i niespecjalnie miał ochotę na naukę liczenia.

– Wolałbym poćwiczyć czytanie – powiedział.

Miał silny wschodnioeuropejski akcent i przenikliwy głos, nakazał mi: „Zamknij drzwi”, a ja je zamknęłam. Powiedział: „Czytaj”, a ja czytałam historię o Sophii, bohaterce z elementarza, która z rodzicami na kolację je ser, kielbasę, pije mleko. Polecił: „Czytaj głośniej”, a ja czytałam głośniej, jednak po pierwszych sylabach mój głos osłabł. „Potrafisz naprawdę niezłe czytać”, stwierdził zaskoczony. W tym więc nie mógł tkwić problem.



– W podstawówce jeszcze szło mi niezłe.

To było wszystko, co z siebie wydusiłam.

– W czym więc tkwił problem? – dopytywał dyrektor. – Co wydarzyło się później?



Zastanawiałam się, czy była to sprawka tego nauczyciela z zajęć wyrównawczych, czy może mój głos został później usłyszany. Poszłam przecież do gimnazjum, ktoś więc musiał dostrzec we mnie potencjał. Przypomniałam

sobie, jak mama mówi słowo „gimnazjum” z dumą, ale też dużym wysiłkiem, „g” wymawiając jak angielskie „dż”, a „i” jak „j”; „idziesz do *dżimnazjum*”.



– Poszłam do gimnazjum – powiedziałam.



Usłyszałam kiedyś, jak ktoś mówi o mnie, że mam się nie bać błyszczeć w towarzystwie. Nie wątpiłam w to, że winę ponoszę ja sama i moja przesadna skromność; implikacje rozumiałam już wcześniej. To one właśnie stanowiły sedno problemu. Jak jednak miałam wyjaśnić to dyrektorowi, który najprawdopodobniej nigdy nie padł ofiarą tego typu językowych manipulacji?

Nikt nie znalazł chwili, by ustalić przyczynę, dla której nigdy nie błyszczałam w towarzystwie; przyczyną było już samo to sformułowanie, a także popielniczki objające się w nocy o ścianę, polecenia: „Bądź cicho” i „Mów głós-
niej”, dwa żądania, które miałam spełniać jednocześnie. Paradoks sytuacji nie miał znaczenia, koniec końców winę ponosiłam ja sama, bo nie potrafiłam im sprostać. Byłam odpowiedzialna za to, że ukrywałam swój blask pod jednym ze starych kloszy dziadka. Brutalnie postawiono na głowie znaczenie tego powiedzenia. Gdy ktoś tak o mnie mówił, ze złości wbijałam paznokcie we wnętrze dłoni. Blask został stłumiony, ale nie dało się zdusić go całkowicie.



– Byłam bardzo nieśmiała, bałam się błyszczeć w towarzystwie – wyjaśniłam.

Dyrektor pokręcił głową. To zrozumiał.

– To nie jest żadne usprawiedliwianie – dodałam. – Ale teraz... Teraz skończyłam... – wymamrotałam, wskazując na dalsze dokumenty, które miał przed sobą.

Spojrzał na dyplom ukończenia szkoły realnej. Podwójną kartkę zdobił niezgrabny tytuł: „Wieczorowa Szkoła Główna i Wieczorowa Szkoła Realna” przed herbem miasta, placówce nie nadano niczyjego imienia. W malutkim okienku na dole ostatniej strony widniała moja średnia. Dyrektor się uśmiechnął.

– No, z tego może być pani dumna – stwierdził. – Ale wie pani, tutaj jest inaczej niż w szkole wieczorowej. Znam historie stamtąd. Pani pewnie nie wie, że moja żona jest dyrektorką gimnazjum, które ma lekcje w tym budynku w ciągu dnia. Kiedy jej uczniowie idą do domu, żona widzi, jakie przychodzą typy. Tam są narkotyki, przemoc, społeczna demoralizacja. Zgadzam się, że nie wygląda pani na typową uczennicę tej szkoły. Dlatego zaprosiłem panią, żeby się upewnić. Sprawia pani wrażenie rozsądnej, by nie powiedzieć inteligentnej. Dlatego też ta średnia by się zgadzała. Jeśli tylko wykazywała się tam pani tak nienaganną postawą jak teraz, nie było innej możliwości niż dać pani najwyższą ocenę. Tutaj jest inaczej. U nas wynik z egzaminu ustnego liczy się bardziej niż z pisemnego, stanowi sześćdziesiąt procent oceny.

– Mam tego świadomość – odparłam i po chwili znów zamilkłam w obawie, że wystarczy jeden niewłaściwy ruch, by zniszczyć wątle fundamenty jego przychylności.

– Dlaczego chce pani podejść do matury?

Również tutaj musiała więc istnieć jakaś przyczyna. Milczałam chwilę, po czym odparłam:

– Chcę pójść na studia.

Zabrzmiało to jak pytanie; nienaturalnie przeciągnęłam syczące „s”, jak gdybym użyła tego słowa pierwszy raz w życiu. Dyrektor spojrział na mnie badawczo, a ja miałam nadzieję, że moja odpowiedź jest przekonująca, że przyświeca mi konkretny cel: normatywne życie akademickie. Musiałam mieć w zanadrzu dwa wyjaśnienia, jedno dotyczące porażki, a drugie motywacji. Nie mogłam rzucić po prostu, że „się zobaczy” albo że „najpierw pojedę na rok do Australii”. Nie mogło chodzić o to, że po prostu mam prawo do wyższego wykształcenia.

– Chcę pójść na studia – powiedziałam jak dziecko, które stoi przed ogromnym diabelskim młynem migozczącym w różnych kolorach i wpatruje się w światełka, odchylając głowę do tyłu.

Dyrektor stłumił uśmiech.

– Rzeczywiście mówi pani bardzo cicho i waży słowa... – stwierdził, a ja odebrałam to jako ostatni kontrargument.

– Tak – odparłam wątpliwym, uległym głosem, nerwowo splatając dłonie na kolanach. – Ja naprawdę nie będę nikomu przeszkadzać.

– Proszę obiecać, że nie przerwie pani nauki.

Ponownie skinęłam głową.

– Proszę powiedzieć... które fakultety interesowałyby panią najbardziej? – zapytał i z przegródki na biurku wyciągnął notes.



Pożegnaliśmy się na korytarzu. Gdy znów ruszyłam w stronę podwórka, zawołał za mną:

– Tutaj też jest wyjście...

Wskazał dłonią w lewo, na hol. Podziękowałam i machnęłam ręką na pożegnanie.

Jak na tak piękny budynek główne wejście było niepozorne: wąskie przeszklone drzwi z białymi szprosami; otwierało się tylko lewe skrzydło, i to z trudem. Z całej siły pociągnęłam za klamkę i wyszłam na zewnątrz, zanurzając się w ciepłe sierpniowego dnia.

Tata stanął naprzeciwko siedzącego w fotelu dziadka. Było popołudnie, wrócił z pracy, chwiejąc się na nogach, bo w drodze powrotnej zaszedł jeszcze do baru. Dziadek tego nie dostrzegał. Wymieniali się stwierdzeniami na temat ostatniego meczu Bundesligi.

– Eintracht Frankfurt, słyszałeś?

– Tak, słyszałem.

Dziadek nie widział jego poplamionych spodni i starego, spranego swetra, który na karku pokrywała tłusta warstwa oblepiona łupieżem.

W nocy słyszałam, jak za ścianą tata przewraca się i z jękiem tarza po podłodze, usiłuje wstać, ale osuwa się na ziemię. Drzwi do salonu były zamknięte. Początkowo, gdy jeszcze brał prysznic i mył zęby, w południe okupował kuchnię z kolegami. W szalonym tempie polewał raki; mama trzymała ją na ostatniej półce wysokiej szafki i czasem po cichu pozwalała sobie na kieliszek w nagrodę, siedząc w piątkowe wieczory przy kuchennym stole, gdy wszystko było już zrobione. Tata dołał wody do przezroczystego płynu, który zabarwił się na białą, i śmiał się od ucha do ucha: „To czysta trucizna!”. Mimo noszenia rękawic ochronnych wszyscy mieli na dłoniach odciski i zgrubiały naskórek od zanurzania blachy w ługu. Mężczyźni naśladowali tatę, przystawiając szklanki do ust, ale

od czasu do czasu kątem oka rzucali mu niepewne spojrzenia, bo pijąc, wykonywał szybkie ruchy i coraz bardziej podnosił głos. Gdy weszłam do kuchni i powiedziałam, że jestem głodna, wybuchnęli śmiechem. Z wysokiej szafki wyciągnęłam opakowanie ryżu. Nad stołem unosił się dym, który wysuszał mi gardło.

– Mogę wziąć ten? – zapytałam, a tata z kolegami ponownie zaczęli się śmiać, jak gdybym opowiedziała dowcip.

Wieczorem, gdy wszyscy już poszli, tata przelał do garnka butelkę czerwonego wina.

– Zrobię sobie grzańca – powiedział.



Od kiedy grób jego matki został zrównany z ziemią, nie było już czerwono-brunatnego kamienia i metalowej daty 1976. Zabrakło także ciemierników, które zaczynały kwitnąć każdej zimy, okolone barwinkiem. Niby mimochodem tata sprawił sobie pamiątkę po zmarłej: za szkło wiszącego w korytarzu widoczku w ramce wsunął jej zdjęcie, wiedział bowiem, że dziadek go nie zauważy i z posępną miną nie da mu do zrozumienia, że fotografia ma zniknąć, bo o babci i o okolicznościach jej śmierci się nie mówiło. Jej imię wybrał na hasło do komputera; litery ukrywały się w wąskich polach za kruczoczarnymi kropkami.

– Nikt go nie zna – stwierdził.

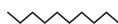
Zastanawiałam się, kogo ma na myśli, skoro nie rozmawiał z nikim poza mną i dziadkiem. W jego głosie znów słychać było strach przed zagrożeniem, za które uważał świat na zewnątrz. Wyobrażał sobie szemrane

postaci, które mogą włamać się przez podwórko, żeby ukraść komputer – jak gdyby przed naszym budynkiem aż się od nich roilo. Wychodząc z domu, zaczął zostawić włączone radio, by stworzyć złudzenie, że ktoś jest w mieszkaniu. Gdy otwierałam drzwi wejściowe, z głośników mikrofalówki dudniły dźwięki lokalnej rozgłośni. Imię jego matki, którego nikt nie wymówił od ponad trzydziestu lat, stało się bezpiecznym hasłem. Niewypowiedzenie go dołączyło do mojego systemu znaków, milczenie ciążyło nad nim niczym warstwa grubego styropianu. Tak samo milczenie ciążyło nad imieniem mojej mamy od momentu, gdy nas opuściła. Tata z dziadkiem żyli razem w ciszy zgodnie z własnymi przyzwyczajeniami i nie robili nic poza czekaniem. Mama przychodziła trzy razy w tygodniu, żeby pokroić dziadkowi ugotowanego kurczaka i nie patrząc na tatę, posprzątać jego butelki; robiła to sprawnymi ruchami, jak coś, co po prostu trzeba załatwić. Tata mówił: „Proszę”; nie rozumiałam, co ma na myśli. Zbierała z podłogi zużyte chusteczki i wstawiała do lodówki kartony świeżego mleka. Tata zachowywał się, jakby była to oczywistość. Siedział na kanapie zapadnięty w sobie i postarzały o lata, zazwyczaj z półprzymkniętymi oczami, roztaczając kwaśny zapach. Nowego mieszkania kilka ulic dalej, do którego przeniosła się mama, nie traktował poważnie. Znajdowało się na poddaszu, na ścianach powstały zacieki, bo nieszczelny dach nie chronił przed deszczem, wypełnione kartonem drzwi były bardzo lekkie i miały klamki z czerwonego plastiku, podobnie jak okna i gałki kuchenne. Na podłodze leżał brudny dywan, a na nim znajdował się materac i pudełko, w którym mama przechowywała dokumenty i kilka zdjęć. Wieczorami zapalała na nim małą świeczkę.

Tacie zdawało się, że teraz wszyscy dadzą mu spokój. Sądził, że rano, jeszcze w ciemności, będzie wychodził do pracy, a w niektóre dni naleje sobie kieliszek wódki do przepłukania ust; że będzie przekraczał bramę parku przemysłowego i wykonywał swoje obowiązki, nie martwiąc się o nic. Sądził, że każdego popołudnia będzie odwiedzał dziadka, na jego pytania odpowiadał „tak” i „nie”, po czym zaszyje się w swojej kryjówce, a przechodząc koło mojego pokoju, będzie miał nadzieję, że siedzę przy biurku i pilnie odrabiam lekcje. Sądził, że zawsze będę chodzić do szkoły. Żadnych nagrobków, dat ani grządek do przekopania, aż na granitowej płycie nie znajdzie znów jednej z tych neonowych karteczek z ponagleniem.



Gdy tata jak każdego popołudnia odwiedził dziadka, ten leżał w łóżku. Był to jeden z tych dni, w które mama nie przychodziła posprzątać, więc nie ona go znalazła. Musiał leżeć tak od wieczora, ciasno owinięty cuchnącą potem kołdrą. Tata wycofał się z pokoju. Nigdy wcześniej nie widział zwłok, nawet tych swojej matki. Zamiast po lekarza najpierw zadzwonił po mamę; załatwienie czegokolwiek samemu nie wchodziło w grę. Pobiegł do niej niczym chłopiec potrzebujący pomocy. Mama skinęła głową, chwyciła za telefon i zaczęła działać. Gdy weszła do mieszkania na parterze i stanęła przy łóżku dziadka, tatę ogarnął strach, a kiedy pochyliła się, by pocałować czoło zmarłego, przez jego twarz przemknął grymas.



Wróciła i ponownie stopiła się z dawnym otoczeniem; nie z własnej woli ani o własnych siłach, niczym strumień płynący w dół. Znow zaczęła korzystać ze swoich rzeczy, wymieniła żyletki w maszynce leżącej na brzegu wanny, a wchodząc do domu, w korytarzu wieszała kurtkę na jednym z wieszaków, które głucho stukały o siebie. Wszystkie te ruchy miała wyćwiczone. Pojedyncze popołudnia, w które przychodziła posprzątać, przerodziły się w wieczory, a potem w noce; obok wygniezionej poduszki pojawiła się druga, przysunięta tuż obok.



Mama żyła w przekonaniu, że „nikt nic do niej nie ma”, ignorując fakt, że już samo to stwierdzenie zawiera sugestię, jakoby jakiś element jej osobowości był narażony na odrzucenie. Dziadek tylko nigdy tego nie okazał. Dla taty tym czymś były jej ciemne włosy i oliwkowa cera, które uwielbiał. Mawiał: „Popatrz tylko na taką Claudię Fischer, ona praktycznie nie ma w ogóle rzęs!”. Mama uśmiechała się, nie myśląc o całej reszcie. O ulicy w pobliskim miasteczku, gdzie pootwieraly się herbaciarnie i warzywniaki, o której tata Pikki mawiał, że s c h o d z i n a p s y. O ujęciach z telewizji: starsze kobiety we wzorzystych chustach na głowach z ciężkimi siatkami z Aldiego, zawsze pokazywane od tyłu. O kamerach sunących nad twarzami mężczyzn, które zatrzymywały się i łapały ostrość na wysokości ich oczu z sugestią, że kryje się w nich coś obcego; o sytuacji z nowymi sąsiadami, którym zaniósła ciasteczka, a ci z gorzkim uśmiechem zabrali talerz i zamknęli jej drzwi przed

nosem. O doniesieniach pojawiających się w tamtym czasie w wiadomościach. O tym, że w Mühlheim ładunek wybuchowy z gwoździami rozsadził sklep, na ulice wyszli ludzie z pochylonymi głowami, niosąc transparenty i znów pokazano zbliżenia wzorzystych chust. Mężczyźni w garniturach szytych na miarę pytali do mikrofonów, inni przez megafon: „Czy to jest mój dom?”. Prezenterka wiadomości przerzucała kartki. W głowie mojej mamy były to tylko krótkie impulsy, chwile strachu, które szybko mijały, gdy jedynie przypominała sobie, że nikt nie ma nic do niej, a już na pewno nie do jej córki. Wyłączając telewizor, powiedziała do mnie:

– To nic takiego.



Pod kanapą w salonie, gdzie rodzice przechowywali albumy fotograficzne, a mama trzymała karton ze zdjęciami z poprzedniego życia, leżała teraz także koperta z fotografiami jej jedyne­go własnego mieszkania. Potrzebo­wała ich do zwrotu kaucji, i choć już dawno dostała pieniądze, nie potrafiła rozstać się z ujęciami brązowych plam na ścianach i śladami wosku na szarym dywanie. Dowód osobisty powędrował z powrotem do szuflady w stoliku nocnym, a drzwi znów zostawały uchylone na szerokość dłoni. Spadł śnieg, więc owijała głowę grubym szalikiem i o świcie wychodziła odsnieżać przed domem. Kiedy jej rzeczy znalazły się na swoim miejscu, stwierdziła, że ode­tknęły jej się uszy; otworzyłam szafkę w łazience i na tej samej półce co dziesięć lat temu zobaczyłam dezodorant jej ulubionej marki, a ręczniki znów były poskładane jak

dawniej i nie pachniały już gęstym płynem do płukania. Któregoś razu usłyszała stukanie w wewnętrznej części ucha. Zatrzymała się, opierając na biodrze kosz z praniem, ale to tylko fałszywy alarm, wyrównanie ciśnienia.

W pierwszym roku w nowej szkole dostaliśmy zadanie otwarte. Wychowawczyni, kobieta o miłym spojrzeniu, rozdała kartki, na których widniało napisane grubym markerem słowo *identity*. Pod spodem mieliśmy zapisać swoje skojarzenia, „tożsamość” była częścią programu nauczania w jedenastej klasie. Poprzez wielokrotne kserowanie papier pokrywały szare i czarne punkciki. Wiedziałam, że to materiał dydaktyczny; miałam zastanowić się nad tym, co składa się na moją tożsamość i napisać: „kobieta”, „Niemka”, datę urodzenia, następnie może i imię, i zrozumieć, że w tym kontekście wydaje się ono puste niczym łupina; nieważne, które napiszę, to tajemne czy oficjalne – można je zastąpić jakimkolwiek innym. Może powinnam była poszukać przymiotników, tak jak zrobiła to moja sąsiadka z ławki, która zapisała *helpful*, i zastanowić się, czy tożsamość mogą określać same przymiotniki.



Już w pierwszym tygodniu na monitorze w holu, na którym pojawiały się informacje o odwołanych lekcjach, wyświetliło się moje nazwisko, fioletowe litery na czarnym tle, jak teletekst. Miałam zgłosić się do sekretariatu.

– Nie mamy pani akt. Do której chodziła pani szkoły? – zapytała sekretarka, gdy do niej przyszedłam, i dalej kartkowała dokumenty.

Przedstawiając się, nie poprawiałam nauczycieli, gdy zrozumieli, że zamiast do „wieczorówki” chodziłam do pobliskiej „podstawówki”. Splatałam dłonie na stole i wpatrywałam się w czubki palców w nadziei, że nie zorientują się, ile mam lat. Podnosiłam wzrok, gdy na tablicy pojawiała się przerażająca tabelka ze stopniami wszystkich uczniów, moje miejsce zawsze było w ostatniej linijce. Kiedyś, jeśli widniała w niej tylko jedna ocena niedostateczna, miałam pewność, że chodzi o mnie, a pozostali obracali się w moją stronę. Nie przywykłam do wspinania się w górę tabelki, w strefę wyników oznaczających „dobry” czy nawet „bardzo dobry”. Teraz czternaście punktów okazało się najlepszym wynikiem i wszyscy znów obrócili się w moją stronę, tylko że zobaczyłam inne twarze. Spuściłam wzrok na czubki palców i nie odezwałam się ani słowem, żeby się nie ujawnić.



Piętnaście minut później wciąż siedziałam nad pustą kartką. Nauczycielka podeszła do mnie i oparła się o ławkę. Spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami i zapytała, czy wszystko w porządku. Odparłam, że nic nie przychodzi mi do głowy.

– Napisz po prostu to, co jako pierwsze nasuwa ci się na myśl – zasugerowała.



Moje dokumenty leżały w piwnicy za oknem z mlecznego szkła. Przemykały po nich cienie dzieci grających w nogę na przerwie na podwórku. W nocy w rozproszonym świetle panował spokój, a na powierzchni teczek zbierała się warstwa kurzu. W szafkach poniżej zalegały, zgodnie z przepisami, dokumenty sprzed trzydziestu czy czterdziestu lat. Połowę z nich można było już przepuścić przez niszczarkę, ale nikt nie uznał tego za konieczne ani nie miał na to czasu. Kiedy dokumenty uczniów ostatniej klasy przesłano dalej, do tego słynnego gimnazjum zbiorczego i szkół zawodowych, moje zostały na swoim miejscu. Ktoś wziął je do ręki i trzy, cztery razy przejrzał listę absolwentów, nie znajdując na niej mojego nazwiska. Ktoś zszedł schodami do piwnicy, żeby je tu odłożyć.

Któregoś razu jakieś dziecko musiało na przerwie trafić piłką w okno albo zamachnąć się zbyt blisko jednego z okalających podwórko piwnicznych świetlików i uderzyć piętą o szkło. Ponieważ pomieszczenie z tyłu służyło wyłącznie za archiwum, rozbitą szybę zabezpieczono wówczas tylko płytą wiórową. Razem z Sophią i Pikką z ciekawości zajrzeliśmy do środka i zobaczyliśmy w szczelinach pojedyncze odłamki szkła. Spuszczając się w dół przez ciemny otwór, tłumiliśmy śmiech, z niedowierzaniem, że w wieczór, gdy z braku lepszego zajęcia w ciemności siedzieliśmy na murku obok naszej dawnej szkoły, tak jak wtedy, gdy z Sophią chodziłyśmy wciąż do tej samej klasy i akurat była długa przerwa – że akurat w taki wieczór, gdy tęskno nam było do przygód, nadarzyła się okazja, by wślizgnąć się do środka. Pikka ruszył w dół za nami, jeden z odłamków wypadł z ramy okna i z trzaskiem spadł na ziemię. Na chwilę

zamarliśmy w bezruchu, upewniając się, że nikt nas nie usłyszał, ale nic się nie poruszyło. Z szuflad wyciągnęliśmy pojedyncze segregatory – na najstarszych tomach było napisane: „Gimnazjum dla dziewcząt” – i przekręciliśmy gałkę w drzwiach na klatkę schodową, ale były zamknięte na klucz.

Już mieliśmy wspinać się z powrotem na zewnątrz, gdy mój wzrok padł na pojedynczy dokument na jednej z szafek. Pociągnęłam za wystający róg kartki. Światło latarni wpadało przez okno, ukazując litery na pierwszej stronie: widniało na niej moje nazwisko.

– To tak, jakby nigdy cię tu nie było – stwierdziła Sophia, kiedy wracaliśmy na przystanek. Pod kurtką przyciskałam dokument do piersi.



– Na przykład: skąd pochodzi twoja rodzina? – zapytała nauczycielka. – Jesteś Niemką, prawda? – dodała, upewniając się, jakby chciała powiedzieć: „Wydajesz mi się normalna”. Wciąż wpatrywała się we mnie okrągłymi oczami. Chciała mi pomóc.

– Moja mama pochodzi z Turcji – odparłam.

– Ach tak, no i popatrz, już coś masz! Ale czujesz, że dobrze się zintegrowałaś, prawda?



Musiałam dostarczyć brakujące świadectwa, każde z osobna. Te, na których było napisane: „W przypadku niezmiennych wyników w nauce nie uzyska promocji do kolejnej klasy; z uwagi na uzyskane wyniki konieczna

zmiana typu szkoły”, jak również to, na którym pan Kaiser w dziewiątej klasie na zakończeniu roku szkolnego odręcznie dopisał dwie nieobecności, bo nie wierzył, że były usprawiedliwione. Wysyłane do rodziców upomnienia, których ksero załączono do moich akt, ukrywałam na najgłębszej półce w szafie z ubraniami. Teraz jednak ponownie usłyszałam zdania widniejące na świadectwach. Musiałam podać wszystkie dokumenty, jeden za drugim, starannie włożone do foliowych koszulek; sekretarka ostrożnie wysuwała je, a następnie kładła na szklanej powierzchni kserokopiarki.

– Założymy nowe akta – powiedziała, zadowolona ze znajdującego rozwiązania.



Na pytanie nauczycielki odpowiedziałam twierdząco, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. W pierwszym roku w szkole cały czas dociekała, skąd tak dobrze znam angielski.

– Jak to możliwe? – zapytała po raz pierwszy w jednej z tych chwil rozluźnienia po dzwonku, kiedy znikła niewidzialna ściana między rzędami krzeseł a biurkiem nauczyciela; stała w progu, podczas gdy ja zarzucałam plecak przez ramię.

– Jak to jest możliwe? – zagadała znowu, oddając mi później jeden ze sprawdzianów, na którego końcu fioletowym atramentem zapisała mój wynik (bo czerwonego nie używała): czternaście punktów.

– Muszę zapytać jeszcze raz: gdzie się tego nauczyłaś? – spytała ponownie w chwili spokoju, gdy pozostali byli pochłonięci rozwiązywaniem zadań. Podeszła do

mojej ławki i przykucnęła obok. Musiało istnieć wyjaśnienie, na które nie miałam wpływu.

– W młodości oglądałam dużo MTV – odparłam wreszcie, wsuwając dłonie między uda.

Nic innego nie przyszło mi do głowy.



Nieustannie miałam poczucie, że muszę czegoś bronić, udowadniać coś, co wykracza poza tabelkę z ocenami, by znów nie powinęła mi się noga. Skrupulatnie spisywałam wszystkie zadania i zgodnie z własnym systemem odhaczałam ich wykonanie, w ciągu dnia wielokrotnie sprawdzałam kalendarz pod kątem nadchodzących sprawdzianów, ferii i czasu spędzonego na nauce. Już pod koniec lata, tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, chcąc o piątej trzydzięci budzić się wypoczęta, starałam się codziennie chodzić spać o dziewiątej wieczorem, jednak o tej porze było jeszcze jasno. Nie mogłam zasnąć i leżałam spocona pod prześcieradłem przy oknie, za którym ptaki nastrojały się do wieczornych treli. Rano, zamiast jechać autobusem, szłam kilometr na dworzec, bo myślałam, że w ten sposób dam wyraz swoim wysiłkom, na dowód tego, że traktuję sprawę poważnie.

Gdy nadchodziła zima, spryskiwałam się ciężkimi perfumami z próbek z drogerii i przy każdym ruchu czułam pod szalikiem ich zapach. Czasem w nocy tworzyła się gołoledź, a ja obserwowałam ludzi ślizgających się po chodnikach. Mężczyznę w przykrótkich spodniach od garnituru, który w pośpiechu przechodził przez plac w centrum naszej miejscowości, jak gdyby nie zwracał uwagi na lód, i co kilka kroków upadał na rękę, w porę

unikając uderzenia głową o asfalt. Kobiętę w czarnym kaszkiecie, która zawsze o tej samej porze, niezależnie od pogody, pojawiała się na przystanku. Krótkie białe włosy miała związane na karku w kitkę i gasiła papierosy w podręcznej popielniczce, którą wyciągała z kieszeni kurtki i co wtorek prezentowała pracownikom zamiatającym przystanek na dowód tego, że nie wyrzuca niedopałków na ziemię. Ci spoglądali na czarne pudełeczko we wnętrzu jej dłoni i kiwali głowami.

Chodziłam szybkim krokiem, uginając ramiona, i zaciskałam zęby. Przychodziłam na dworzec wcześniej niż było to konieczne. Stawałam sztywno na stacji, daleko przed linią bezpieczeństwa, pod zegarem; wskazówka sekundnika na chwilę zatrzymywała się, zanim dobiła do pełnej godziny. Jedna z szyb zygzakowatej wiaty poczekalni zawsze była rozbita. Po łące za peronem kicały zające, niektóre z nich miały białą sierść. Wiewiórki podgryzały porzucone w krzakach kanapki. Któregoś razu zagadał do mnie młody mężczyzna. Wracał z nocnej zmiany w fabryce i był to jedyny moment, gdy mógł porozmawiać z ludźmi. Myślał, że jestem starsza. Sygnały świetlne zapowiedziały przejazd pociągu towarowego; światło żółte, białe, zielone – i nadjechał, przecinając powietrze, którego fala buchnęła na boki, aż rozwiała włosy pasażerów na peronie, pisk rozpędzonych żelaznych kół przybrał na sile, po czym pociąg zniknął w oddali i znów zapadła cisza, jakby nic się nie wydarzyło. Już minuta opóźnienia wystarczała, by ogarnął mnie niepokój.

Przez szyby pociągu patrzyłam na park przemysłowy za murem, na duży budynek z pomalowanymi na turkusowo stalowymi podporami i na białe lampy, które wisiały na każdej z belek, na poplątane rury z tyłu i szyld

na szczycie z niewyraźną nazwą firmy; wyżej na komin, z którego powoli parowała woda, a w tle na przybywający księżyc otoczony aureolą. Widziałam peron towarowy w pomarańczowym świetle rytmicznie pulsujących latarni, niczym pas startowy, jednak nie nadjeżdżał ani jeden pociąg. W kolejce zawsze trzymałam się uchwyty, zawsze oburącz, zawsze po prawej stronie tuż obok drzwi, i przyciskiem otwierałam je współpasażerom; za plecami miałam tłum, który na przystanku ruszał za mną szybkim krokiem do pracy. Tunele metra były wyłożone żółtymi panelami, a na stacji, gdzie wysiadałam, wystawiono duże fotografie ruchu studenckiego z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Minęłam je, wsuwając dłonie w kieszenie prążkowanego, nieco przykrótkiego płaszcza, a w plecaku, wśród zeszytów i książek obłożonych w przezroczytą folię, niosłam termos i obiad.

Mój sukces zależał od najmniejszych odchyień i pojedynczych wydarzeń, od tego, jak trzymam długopis i czy wystarczająco szeroko otwieram oczy; od tego, czy jeszcze przed wejściem na teren szkoły moja postawa jest właściwa, czy ściągam barki i idę z podniesioną głową.

Późnym popołudniem, gdy zapadł już zmrok, usiadłam przy oknie. Grube płatki śniegu przemysłowego kładły się na gałęziach, które ugiwały się pod jego ciężarem i słychać było, jak sąsiedzi otwierają drzwi domów i suną łopatami po drogach. Chrobot cichł w miarę usypywania się zasp. Wychyliłam się przez okno i zobaczyłam ludzi opatulonych szalikami, chodzących w tę i z powrotem, zawsze równiutko wzdłuż granicy swojej posiadłości.

Nieco wcześniej do domu wrócił tata. Postawił skórzaną torbę koło drzwi i przetarł oczy, zrobił kawę, a następnie przez dwie godziny kartkował program telewizyjny i palił, po czym przeniósł się do salonu. Wymasował sobie ramiona, spięte od wykonywania nieustannie tych samych ruchów.



W korytarzu na ścianie paliła się lampa. Abażur po-
zółkł od nikotyny, kabel wisiał luźno w powietrzu; tata
nigdy nie doprowadził sprawy do końca. Tak samo było
z komodą, która od kilku lat stała w szopie i czekała na
oszlifowanie, a także ze zdjęciami, zaczął porządkować
je w albumach według wydarzeń, a następnie powkładał
do skrzynek, jako rozwiązanie tymczasowe. Skrzynki

piętrzyły się na kanapie i początkowo jeszcze przesuwali je na bok, w zależności od tego, po której stronie chciał usiąść, wkrótce jednak na stałe zajęły miejsce na poduszce po prawej, a tata siadał po lewej stronie.

– Wrócisz jeszcze dzisiaj? – zapytał przy pożegnaniu.

– Tak, jutro przecież mam lekcje, ale zaczynam później.



Czubkami butów przesunęłam gęsty, lepki śnieg. Przez zamieć przebijałam się powoli, a gdy skręciłam w boczną ulicę, chwyciłam się słupów z nazwami ulic, żeby się nie poślizgnąć. Widziałam już niebieskawe światło w oknie piwnicy, więc zapukałam w szybę, żeby nie dzwonić i nie przeszkadzać rodzicom Pikki. Okno otworzyło się i zobaczyłam rozpromienioną twarz Pikki.

– Już otwieram.

Przeszłam powoli przez bramę w ogrodzie w stronę drzwi wejściowych, zdjęłam ośnieżone kozaki i postawiłam je na rozłożonej w korytarzu gazecie.

Pikka już nastawił płytę Black Sabbath i gdy weszłam do piwnicy, dobiegł mnie przyciszony, zgrzytliwy głos Ozzy’ego Osbourne’a, który śpiewał: *I am Iron Man*. Objęłam na powitanie siedzącą na kanapie Sophie, Pikka zajął miejsce obok niej.

– To taki żart, wiesz, jak za starych, dobrych czasów – wyjaśnił, wskazując z uśmiechem w stronę odtwarzacza CD.

Po pierwszej kolejce ginu z tonikiem album jednak zaczął się od początku, jak gdyby w ostatnich latach nie zmieniło się zupełnie nic. Tonik mienił się w ultrafiolecie, członkowie Rammsteina patrzyli z ram plakatu na kanapę i fotel, na którym usiadłam. Z podłokietników

sztuczna skóra powoli zaczynała się łuszczyć, dłonie miałam całe w czarnych drobinkach.

Pikka zgodnie z planem wprowadził się do mieszkania na strychu. Na drinki zapraszał nas jednak do piwnicy, żebyśmy, jak mawiał, nie nanieśli mu brudu. Rozpoczął studia dualne: co sześć tygodni miał przerwę w wykładach i pracował w koncernie chemicznym należącym do parku przemysłowego. Tego samego dnia rano byłam na kampusie uniwersytetu, gdzie od roku studiowali z Sophią, bo moja klasa wybrała się na dzień otwarty. Za bramą wjazdową rozciągał się duży kamienny gmach. Z każdym krokiem miałam wrażenie, że jego nieco wklęsła elewacja odsuwa się ode mnie. Do tego droga nieznacznie skręcała, więc budynek wyglądał, jakby lekko osuwał się w lewo. Zakręciło mi się w głowie i szybko opuściłam wzrok.

Gdy minęliśmy kamienny gmach i sadzawki w parku porośniętym starymi wierzbami, naszym oczom ukazał się nowy budynek. Przez szklane drzwi weszliśmy do holu z fioletowym linoleum, gdzie studenci z kawą na wynos próbowali utorować sobie drogę między grupkami uczniów.

Wlepiłam wzrok w szklane gabloty pełne reklam kursów językowych i pobyków zagranicznych, wśród których wisiały ulotki z ofertami pożyczek studenckich. Patrzyłam, jak wraz z początkiem przerwy tłum wylewa się z sal na stołówkę i studenci kładą swoje karty na prostokątnych czytnikach z plastiku, których piknięcie oznacza, że transakcja się powiodła. W jednym z zawiłych korytarzy niektórzy mieli swoją szafkę, niejasne było dla mnie jednak, skąd brali do niej klucz. W hali wejściowej jeden z kątów okupowali bezdomni; wiedzieli, że

jeśli będą cicho, władze uczelni zostawią ich w spokoju. Drzemali na płachcie z bezpłatnych gazetek, które rozkładali sobie na kolanach, żeby sprawiać wrażenie zajętych czymkolwiek, a także się zamaskować, obłożeni foliowymi siatkami pełnymi butelek i łańców. Dwóch odłączyło się od grupy: wysoki dryblas o małych oczkach, jakby przez uderzenie cofniętych w głąb czaszki, i drugi, krępy, drepzczący za nim niczym pilny asystent. Podeszli do jednej z sal wykładowych, spojrzeli na tablicę informującą o odbywających się w środku zajęciach i z ciekawości uchylili drzwi. Trwał właśnie wykład dla studentów prawa, dało się tylko usłyszeć urywki wypowiedzi płynącej z mikrofonu i dostrzec obraz z rzutnika z paragrafami. Wysoki mężczyzna zamknął z powrotem drzwi.

– No i ja się pytam, po co komu matura, skoro koniec końców i tak tylko siedzisz i słuchasz – rzucił do kolegi.

Przez otwarte skrzydło drewnianych drzwi weszliśmy do największej auli i zajęliśmy miejsca. Pojawiła się kobieta, która położyła na projektorze kartkę i na ścianie za jej plecami ukazał się obraz, a także przez chwilę powiększony zarys jej dłoni. Objasniła harmonogram studiów i system punktów zaliczeniowych, pokazała mapę różnych wydziałów i bibliotek. Prezentację zakończyła zdjęciami akademików. Pokoje wyglądały jak jednoosobowe sypialnie na wycieczce szkolnej, w których zawsze nocowali nauczyciele.

– Czy są jakieś pytania?

Ktoś podniósł rękę.

– Czy nie liczą się również wypowiedzi ustne?

– Już wystarczy, nagadali się państwo w szkole – odparła kobieta.

Uczniowie wybuchnęli śmiechem. Gdy znów nastała cisza, kobieta kliknęła w kolejny slajd i skierowała laserowy wskaźnik na tabelę.

– Plan obejmuje trzy moduły na semestr.

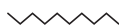
– Trzy moduły – szepnęłam, pilnie robiąc notatki, i poczułam, że słowa te unieruchamiają mi żuchwę, jak przy szczękościsku.



Nalałam do szklanki toniku, zatrzeszczały kostki lodu. Sophia poradziła mi, żebym poważnie zastanowiła się, czy uniwersytet to rzeczywiście miejsce dla mnie. Mówiła, że nauka przebiega tam zupełnie inaczej niż w gimnazjum, a dotychczasowe oceny nie mają aż takiego znaczenia.

– Twoja obecna szkoła to bardziej takie lata wyrównawcze dla uczniów szkoły realnej. Nie chcę umniejszać twoich osiągnięć, ale miej to na uwadze. Poziom jest u was niższy, żeby inni też dali radę. Dla wielu osób językiem ojczystym nie jest niemiecki. Wiesz, co mam na myśli? Tylko chcę cię ostrzec. Później będzie inaczej.

Płyta Black Sabbath leciała już po raz trzeci. Sophia oparła głowę o ramię Pikki.



Pikka zsunął szklanki i wetknął do buzi ostatnie słone paluszki. Puste butelki, które nie mieściły się już na tacy, razem z Sophią wnieśliśmy po schodach do jego mieszkania. Było to otwarte pomieszczenie ze skośnym dachem opartym na belkach pomalowanych na biało, pośrodku

zaś stała ciemna zamszowa kanapa w starym stylu, którą pewnie dostał od rodziców. Telewizor wystarczyło obrócić tylko o kilka stopni w zależności od tego, czy leżało się na kanapie czy w łóżku, przysuniętym do ściany pod sam skos. Pod oknem znajdował się mały aneks kuchenny, gdzie Pikka kilkoma sprawnymi ruchami umył szklanki; jasna podłoga z PCV pokrywała tylko tę część kuchni, reszta była wyłożona beżowym dywanem o szorstkim, krótkim włosiu. Nie miał żadnych książek poza podręcznikami na wąskim biurku tuż obok drzwi wejściowych. Na ścianie, za którą była łazienka, powiesił zdjęcia; starannie oprawione w ramki z tworzywa sztucznego przedstawiały naszą trójkę jako nastolatków, mijających pola i beztrąsko wyrzucających ramiona w powietrze. Opieraliśmy się na nich o poręcz mostu Fabrycznego, sfotografowani z fleszem, więc nasze prawie zupełnie białe twarze odcinały się od ciemnej wody w tle.

Sophia opadła na łóżko, a ja się pożegnałam.

Niezliczoną ilość razy mama Pikki upominała nas, że trzask zamka wybudza ją ze snu, więc cicho domknęłam za sobą niską bramę ogrodową.

Mama najpierw zaczęła chudnąć. Myśleliśmy, że to przez rozpuszczane w wodzie witaminowe tabletki, którymi zastępowała niektóre posiłki.

– Schudłaś? – pogratulowała jej mama Sophii, położyła dłoń na jej ramieniu i zmierzyła ją wzrokiem od dołu do góry. Mama uśmiechnęła się, jeszcze nie wystawały jej kości policzkowe.

– Nowa dieta – odparła, wskazując na stary program telewizyjny z tematem numeru *Dieta kiwi*. Z okładki uśmiechała się Heike Makatsch.

Siedziały przy kuchennym stole. Mama zaparzyła kawę, która parowała teraz z filiżanek. Specjalnie wyciągnęła z kredensu porcelanę. Mama Sophii oddychała bardzo głośno przez nos, jak to miała w zwyczaju. Rozejrzała się po kuchni, wodząc spojrzeniem po blatach, gdzie piętrzyły się brudne naczynia, bo zmywarka była pełna, oraz po garnku z ziemniakami z obiadu.

– Ostatnio jestem taka zmęczona – wyznała mama przepraszająco.

Od kilku tygodni w południe kładła się w chłodnej sypialni i zaciągała białe zasłony, które zamiast zatrzymać światło, sprawiały tylko, że pokój wydawał się jeszcze bardziej bezbarwny niż był w rzeczywistości. W misach pod ścianą piętrzyły się rupiecie taty. Od śmierci dziadka

mama przestała nadążać z porządkowaniem rzeczy, które nieustannie znosił z mieszkania na dole. Chciał je zlikwidować, ale nie godził się, by zatrudnić firmę przeprowadzkową.

– Przecież damy radę sami – powtarzał.

Odtąd każdy wieczór spędzał na dole, wyciągając z meblościanki jeden segregator za drugim. W środku znalazł wszystkie dowody wypłaty dziadka od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Te lepiej zachować – stwierdzał, argumentując, że „one mają też wartość historyczną”.

Przedmioty układał na podłodze w dwóch stosach według kategorii: „przyda się” i „do wyrzucenia”, jednak na koniec niemalże wszystko lądowało na trzecim: „zastanowić się”. Przekładał każdą kartkę i każdy przedmiot z prawej strony na lewą, choć nie było w tym sensu. Czasami przychodziła z pomocą mama. Ścierała kurz z szafek, ale co chwila musiała schodzić z drabiny i siadać na kanapie, bo opadała z sił.

– To pewnie przez niski cukier – tłumaczyła.

Mama Sophii uśmiechała się uprzejmie, ale ręce trzymała przy sobie, żeby przypadkiem czegoś nie dotknąć. Moja mama oplotła palcami filiżankę z kawą. Przez miedziane rury bojlera słychać było, jak tata na dole otwiera szafki i wyciąga z regałów segregatory. Na górze, gdzie mieszkała starsza pani, coś spadło z głuchym łoskotem na podłogę. Mama zadrżała.

– Co jest? – zapytała mama Sophii.

– Wiesz, tej sąsiadce z góry lat nie ubywa. Zdarza jej się upaść. Wydaje mi się, że już nikogo nie ma, a przynajmniej nikt jej nie odwiedza.

Rzadko słyhać już było szuranie jej skóry po poręczy, czasem nie pokazywała się przez wiele dni. Mama nabrała podejrzeń i któregoś razu zadzwoniła do drzwi. W środku rozległo się wołanie: „Już idę! Już idę!”, jednak drzwi pozostały zamknięte. Mama niechętnie poprosiła dozorcę o klucze, żeby do niej zajrzeć, i znalazła sąsiadkę na podłodze, w kałuży ekskrementów. Kobieta rzuciła mamie spojrzenie pełne niezrozumienia.

– Może powinniście gdzieś z tym pójść? Do pomocy społecznej? – zapytała mama Sophii.

– Tak, pewnie masz rację – przytaknęła mama, ziewając.

Mama Sophii wyjęła jedwabny szalik z torebki, którą odstawiła na krzesło przy stosie starych lokalnych gazet, i owinęła się nim, sprawnymi ruchami zawiązując luźny supeł, po czym zasunęła zamek torebki i powiedziała:

– Będę się zbierać.

Mama przytaknęła z niewyraźnym uśmiechem. Przy drzwiach objęła ją krótko i niezgrabnie. Kierowana zwyczajem sprzed lat bez zastanowienia chciała pocałować ją dwa razy w policzek, zapomniała jednak, że mamę Sophii to irytuje. Zamknęła drzwi i wróciła do kuchni. Stała obok zlewu, przy desce do krojenia. Gdy wyrzucała do śmieci ziemniaczane obierki z obiadu, ze zmęczenia kleiły jej się oczy.



W domu pojawili się mężczyźni w białych T-shirtach. Przyjechali po starszą panią, która składała się już prawie tylko ze skóry i kości; na wierzchu jej dłoni odznaczały

się grube, niebieskie żyły. Gdy położyli kobietę na noszach i przypięli pasem, by znieść ją po schodach, spojrzęła na nich błędnym wzrokiem. Wyprostowała się, a jej grube okulary zsunęły się na czubek nosa.

– Panowie są pewni? – powtarzała bez ustanku.

– Tak, jak najbardziej, wszystko w porządku – zapewniał jeden z nich, choć nie padło wcześniej żadne stwierdzenie, do którego odnosiłoby się jej pytanie. Kobieta z ulgą położyła się z powrotem, okulary wróciły na swoje miejsce.

Gdy wynosili ją stopami do przodu przez drzwi mieszkania, z góry nadszedł sąsiad z dwoma pieskami pod pachą. Zatrzymał się na przedostatnim stopniu, łapiąc oddech. Mężczyźni w bieli skinęli głową.

– Dziękujemy, już wychodzimy – powiedział jeden z nich.

Mężczyzna kiwnął głową. Przez chwilę nic się nie działo i jeden z psów zaczął wic się mu pod ramieniem. Oba wyraźnie się postarzały, posiwiła im sierść wokół oczu i zwłaszcza ten, który przed laty mnie ugryzł, miał problemy z chodzeniem. Nie potrafiły same zejść po schodach. Sąsiad trzy razy dziennie stawiał je na chodniku przed domem, gdzie natychmiast zaczynały sikać i zostawiały za sobą mokre ślady. Gdy pielęgniarze z kobietą zniknęli za rogiem, mężczyzna uwolnił z objęć wyrwywającego się psa i stanął na półpiętrze obok mnie i mamy. Pies podniósł na niego wzrok, robiąc krok w przód i w tył. Usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi karetki i warkot uruchamianego silnika.



– Jem i jem – stwierdziła mama kilka tygodni później. – W nocy się pocę. Śnią mi się piaszczyste drogi. Coś się w nich zmieniło, coś jest nie tak. Światło nie razi i nie jest tak jasne jak kiedyś, tylko szare i prawie zielone; na niebie nie ma jednak ani jednej chmury, więc to nie zapowiedź załamania pogody. Nie mam pojęcia, dlaczego jestem na ulicy i dokąd idę. Rozglądam się wokół, ale nie ma nikogo, kto mógłby mi to powiedzieć. Miasteczko w ciszy ściele się u moich stóp, nie ma wiatru, na ulicy i plaży żywego ducha, wszystkie okna są pozamykane. Wtedy się budzę. Obracam się, a koszula nocna chrzęści na przemoczo-
nym prześcieradle. Za oknem na niebie widzę czerwone chmury, na ich tle odznaczają się ciemne gałęzie drzewa. Dlaczego tu zawsze jest tak jasno? Dlaczego przez całą noc muszą palić się wszystkie te światła w mieście, parku, na lotnisku? Jestem spragniona, głodna? Jem i jem.

Nigdy nie zastępowała posiłku witaminami. Zawsze brała je dodatkowo, bo sądziła, że jej złe samopoczucie wynika z jakiegoś niedoboru. Dostała gorączki, pot zaczął pojawiać się na jej czole także w ciągu dnia. Gdy wolnymi ruchami zamiatła podłogę, spuszczała w dół szklisty wzrok, jej spojrzenie jakby się rozjaśniało.

– To pewnie jakaś infekcja. Musisz się położyć – mówił tata.

Smarował jej klatkę piersiową maścią tygrysią.

– Na zakupach specjalnie dotykałam tylko tego, co konieczne, a mimo to się rozchorowałam – stwierdziła mama.

Zamknęła oczy na trzy, cztery gorączkowe majaki.



Mężczyzna z psami odzywał się tylko wtedy, gdy pierwsza mówiłam „dzień dobry”; w przeciwnym razie omijał mnie wzrokiem. Dwa tygodnie po tym, jak obserwowaliśmy transport sąsiadki, wypowiedział swoją umowę najmu.

– Chodzi o psy – wyjaśnił. – I też o mnie.

Zapadła cisza, ale mimo to czasami wydawało mi się, że wciąż słyszę drapanie o drzwi, mój mózg chyba odtwarzał znajome dźwięki. Poza tym panował spokój.

Mama spała na górze w białej pościeli, wypełniając pokój oddechem, podczas gdy tata ostrożnie stawiał kroki na dywanie parterowego mieszkania. Coraz wolniej wyciągał z szafek segregatory i skrzynki, traktował je jak przedmioty liturgiczne, które należało ustawić na ołtarzu. Wokół starego bukietu na stole w salonie krążyły muszki owocówki. Na blacie piętrzył się stos naczyń, śniadaniowe talerze i kuchenne deski, a pomiędzy nimi kubki z imionami wszystkich członków rodziny, w tym zmarłych przed laty babć i dziadków ciotecznych; brakowało tylko mojego i mojej mamy.



– Dość tego – oburzył się tata. – Jedziemy do lekarza.

Jeszcze nigdy nie mówił tonem tak bardzo nieznośnym sprzeciwu. Mama spojrzała na niego z uznaniem, przynajmniej na tyle, na ile była w stanie okazać emocje, bo i na to powoli brakowało jej sił.

– Muszę tylko pić bulion, jeszcze przez dzień, dwa, to na pewno postawi mnie na nogi – mówiła ochryplym głosem. – To nic takiego.

Tata przytaknął i ostrożnie podciągnął ją w górę za ramię.

Do lekarza pojechaliśmy samochodem, choć gabinet znajdował się dwie ulice dalej. Mamę znów oblał pot. Opatuliła się grubym szalikiem, zza którego wystawały jej tylko oczy i fragment grzbietu nosa. Wstrząsnęła nią fala mdłości, zgięła się w pół.

– Gwałtownie schudła pani bez powodu? Miewa pani nocne poty? – pytał lekarz.

Mama przytaknęła.

– Pobierzemy pani krew... – wymamrotał lekarz i na chwilę opuścił gabinet.

Po chwili wrócił i stwierdził:

– Zastanowiłem się i jednak lepiej będzie, gdy skieruję panią do szpitala, proszę jechać tam najlepiej od razu, zadzwonię i uprzedzę personel.

Mama siedziała na kozetce. Dłonie wciąż trzymała między kolanami, bo cały czas trzęsła się z zimna. Tata stał w kącie. Gdy lekarz ponownie wyszedł z gabinetu, rodzice spojrzeli na siebie. Jej wytrzeszczone oczy były otoczone wyraźnymi cieniami.

– Wszystkiego najlepszego. Ile skończyła pani lat?

Nauczyciel stał przy swoim biurku i przyjaźnie kiwnął do mnie głową po tym, jak ktoś z tyłu sali zawołał, że mam dziś urodziny. Następnie spokojnym krokiem ruszył w stronę mojej ławki, z rękoma skrzyżowanymi na plecach, niczym starszy pan na spacerze.

– Dwadzieścia dwa. – Liczba padła głucho z moich ust.

– Och – zdumiał się.

Sam był może z pięć lat starszy. Speszony obrócił się i rozpoczął lekcję.

Od tej chwili patrzył na mnie jak na oszustkę, która chyłkiem wślizgnęła się do klasy. Przy wystawianiu ocen chciał porozmawiać ze mną na osobności, choć stopnie wszystkich pozostałych wyczytał na forum. Podeszłam do jego biurka.

– Pani jest starsza, stąd trochę gorsza ocena, niż pani na nią zasłużyła – powiedział.

Wydobyłam z siebie tylko: „Co?”. Na bardziej stanowczy sprzeciw zabrakło mi sił.

– W tym wieku powinna pani potrafić więcej. Ma pani przewagę nad innymi, dlatego muszę przyznać mniej punktów.

„Co?” zamiast: „Zadaje mi pan te same zadania, daje te same teksty, pokazuje mi pan te same filmiki i dostaję

ćwiczenia, w których luki są tak samo duże jak u pozostałych. Jak mam więc wyprzedzić innych i się wykazać?”.

„Co?” zamiast: „Skąd miałyby brać się moja przewaga?”. Na szczęście z natury jestem niska, drobna i okrągła na buzi, więc jeśli pomaluję na kolorowo paznokcie i włożę w buty różne sznurowadła, nie wyróżniam się spośród siedemnastolatków. To kamuflaż, dzięki któremu dopasuję się do otoczenia niczym ośmiornica na tle morza. Jak niby miałam się postarzyć, jeśli cały czas doświadczam tego samego, w potrzasku między brzegiem stołu a oparciem krzesła: rwetesu na przerwie, prac domowych, zgłaszania się do odpowiedzi. Torebki marki Longchamp, jakie niektóre dziewczyny nosiły teraz zamiast plecaków, w oczach nauczyciela nie czyniły ich właścicielką ani trochę bardziej dorosłymi.

„Co?” zamiast: „Skąd miałyby brać się moja przewaga? Z tego, że trafiłam do wieczorówki? Z przerywania szkoły?”. Spojrzał na mnie, jak gdybym w rzeczywistości zarabiała kupę pieniędzy w jednym z okolicznych wieżowców, a szkoła była po prostu niezdrowym hobby, które miało dodać mi pewności siebie, bo wiedziałam więcej od kolegów z klasy.

– Ma już pani swoje lata – zaczął powtarzać po moich urodzinach przy różnych okazjach, jednak nigdy w obecności osób trzecich.

Co sugerował? Kiedy to się wydarzyło? Gdzie przebiegała granica między zarzutami: „nieco słabowita”, „za cicho”, „źle”, „co poniekórym tutaj nie chce się samodzielnie myśleć” a „ma pani swoje lata”? Jak mogłam przejść z jednej strony na drugą i tego nie zauważyć, stojąc tak przy jego biurku, z papierami w spoconych dłoniach?

Jakim cudem jego zdaniem wśród uczniów znalazł się ktoś młodszy od niego o pięć lat? O to nie zapytał. Miałam wręcz wrażenie, że się mnie boi. Bardzo możliwe przecież, że kiedyś chorowałam, postawiono mi diagnozę, leżałam pod kroplówką, powypadały mi włosy, a pod oczami pojawiły się czarne cienie. Że tych kilka lat spędziłam w szpitalach. Albo że miałam problemy rodzinne, ale tata zabronił mi o tym mówić, bo to nic takiego.

– Czy mam ci napisać usprawiedliwienie? – zapytał mnie kiedyś zaniepokojony lekarz. Stałam już w drzwiach, tata wyszedł na zewnątrz, bo nie mógł znieść zapachu środków dezynfekujących. W milczeniu pokręciłam głową; byłam pewna, że nie wypada.

Szkoda, że nie miałam niczego, co mogłabym pokazać nauczycielowi. Czegoś, co wyjęłabym z kieszeni płaszcza, jak czarny śluz zawekowany w słoiku. Powiedziałabym: „Widzi pan, to miałam w gardle...”, a on wszystko by zrozumiał.

Nauczyciel spojrział na mnie ogromnymi niebieskimi oczami, które sprawiały, że reszta dziewczyn z mojej klasy dostawała małego rozumu. „Pan Schiller, ach, pan Schiller”, śpiewały na korytarzach, gdy nikt ich nie słyszał, i nie mogły zrozumieć, dlaczego go nie znoszę. W jego oczach dostrzegałam tylko schemat, w który nie wpasowałam się ani wcześniej, ani teraz. Widać było, że jest mu w nim dobrze. Wyobraziłam sobie, jak w wieku dziesięciu lat siedzi z rodzicami przy kolacji, jedząc szynkę; jak decyduje się na karierę nauczyciela, kierowany potrzebą wniesienia czegoś do społeczeństwa. Ile to razy siedział przy ognisku i rozwodził się nad swoimi ideałami! „Zmienię od środka system oświaty”, na pewno używał tego stwierdzenia i nie dostrzegał w swoim toku myślenia

żadnej luki, bo jego plan był logiczny i spójny; oby tylko nie wykroczyć poza granice schematu, tam, gdzie znajdowałam się ja. Należeliśmy do tego samego pokolenia, kiedyś o tej samej porze siedzieliśmy przed telewizorem i oglądaliśmy odcinek *Zamku Einstein*, jednak tylko on utożsamiał się z piosenką tytułową. W końcu, jak głosił jej tekst, „wszystko jest względne”.

Zgodnie z jego logiką od tamtego czasu musiałam gdzieś popełnić fatalny błąd. Inaczej nie mogłam zasługiwać na trzynaście punktów. Chciał być sprawiedliwy wobec innych, więc stwierdził:

– Dam pani dziesięć punktów.

– Dobrze, dziesięć – odparłam.

Podziękowałam mu i jako ostatnia opuściłam salę. Na korytarzu otoczył mnie gwar uczniów.

Rzędy krzeseł w auli zapełniły się, niektórzy ustawili się także na galerii: ojcowie w koszulach, matki w bluzkach i eleganckich sandałkach, z włosami napuszczonymi wokół głowy niczym wata cukrowa, niektóre z dyskretną biżuterią na szyi. Gdy się obróciłam, dostrzegłam przy balustradzie tatę, w jego jedynej nowej koszuli, który spoglądał na mnie z niedowierzaniem; niepewnie uśmiechnął się i uniośł rękę, a ja mu odmachalam. Pomieszczenie wypełniały zgiełk i zapach cytrusowych perfum. Teraz powinnam coś poczuć, cokolwiek. Rejestrowałam wszystko kątem oka. To tutaj zaledwie przed kilkoma tygodniami w dresowych spodniach zapisywałam w pośpiechu stronę za stroną, bo myślałam, że na egzamin maturalny każdy – tak jak Pikka z Sophią kilka lat temu – ubiera się, jak mu wygodnie. Teraz przed oczami pojawiła mi się mgła, zdrętwiały mi palce i gdy któryś z uczniów się do mnie odezwał, jedynie powoli unosiłam kącik ust. Ostatnia osoba usiadła na swoim miejscu i zamknięto dwuskrzydłowe drzwi. Nastąpiła seria rozmaitych przemówień: dyrektora, pedagoga, przedstawiciela samorządu uczniowskiego. Z małych głośników popłynęły wysokie tony gitarowych riffów grane przez szkolną kapelę, basista ani na chwilę nie spuszczał wzroku z czarnej frotowej opaski na nadgarstku.

– Najpierw wywołały uczennice i uczniów, którzy uzyskali najlepszą ocenę końcową i najlepszą średnią – powiedział do mikrofonu dyrektor biurokratycznym i suchym tonem.

Widziałam tylko jego białą koszulę i szarą marynarkę. Jako pierwsze wypowiedział moje nazwisko, co zabrzmiało jak słaby żart. Zapadła cisza, po czym koledzy położyli mi ręce na ramieniu na znak, że mam wstać. Spojrzałam na scenę, gdzie najpierw nie miałam odwagi wejść – zatrzymałam się na schodach, aż ktoś zachęcił mnie gestem, żebym weszła na górę – i znalazłam się jako pierwsza na jej deskach, czując pod stopami miękkie drewno. Z tyłu czarne stopy maskowały kable od oświetlenia. Patrzyłam na zgromadzony tłum, a pole mojego widzenia wyznaczały zasłony w dużych oknach, przez które wpadało białe światło. Nadeszła chwila na oklaski. Ich odgłos dobiegł mnie stłumiony, jak gdybym znajdowała się pod powierzchnią wody. Skrzyżowałam ramiona na piersi.

Mama nie zmarła, lecz odeszła. Pamiętam, że przedmioty w dziwny sposób zaczęły obracać się w moją stronę. Stawałam pośrodku pokoju i okno nagle wydawało się bardzo odległe, jednak „nagle” to niewłaściwe słowo, bo jednocześnie miałam wrażenie, że tak było od zawsze albo przynajmniej oddaliło się bardzo powoli, gdy nie patrzyłam. To tak jak ze szkłem, które – zdaniem niektórych – w rzeczywistości jest cieczą, ale przez wysoką lepkość płynie bardzo wolno, tak wolno, że wygląda jak ciało stałe. Patrzyłam przez falujące szyby w zamkniętym oknie i mimo włączonego światła nie widziałam swojego odbicia, a może nie rejestrowałam go wzrokiem. W tle, za brązowymi fasadami i dachami, dostrzegłam światła, czerwone i białe kropki, stalową konstrukcję słupa wysokiego napięcia i pomarańczową lunę na niebie; tego wieczoru wisiało nisko, gęste niczym wata, którą dentysta wkłada pacjentom do buzi, gdy krwawia.

W korytarzu zadzwonił telefon. Rzadko go używaliśmy, a kiedy rozlegał się jego dźwięk, po drugiej stronie zazwyczaj był ktoś, kto mówił po turecku i nie przestawał nawet wtedy, gdy zaznaczałam, że nic nie rozumiem. Głosy nieznanomych stawały się coraz bardziej natręczyste, a ja nie potrafiłam nawet stwierdzić, czy powtarzają te same obce słowa co na początku, więc po prostu zaczęłam

ignorować sygnał telefonu. Gdy jednak ktoś wydzwaniał bez ustanku – wysokie, wibrujące brzęczenie, którego nie dało się zignorować – zaczęłam odbierać i natychmiast znów się rozłączać. W korytarzu zadzwonił więc telefon i usłyszałam, jak tata podnosi ciężką słuchawkę; był to jeden z pierwszych bezprzewodowych telefonów z masywną anteną i tak dużą baterią, że ledwo co mieścił mi się w dłoni. Tata powiedział „słucham”, mimo że zazwyczaj podawał nazwisko, b o t a k w y p a d a.

Zapomniałam, co właśnie zamierzałam zrobić, dlatego zdjęłam kurtkę pośrodku pokoju zamiast przy wieszaku, dlatego stoję tu taka zakłopotana, dlatego zamarłam w ciszy przed burzą. Wróciliśmy z przejażdżki. Wiedziałam, że tata podchodzi już do telewizora i zaraz go włączy; że w salonie pali się jedna z lamp, bo zostawił ją włączoną, zanim wyszliśmy z domu. Że rośliny prostują liście w półmroku, a w toalecie wciąż szumi spłuczka.



W holu, gdzie byliśmy wcześniej, znajdowała się szkaradna fontanna ze sztucznym strumieniem. Wodospad spływał po pionowej szybie do podłużnego zagłębienia, wyłożonego – podobnie jak reszta podłogi – płytami z czarnego granitu, a następnie po pochyłej tafli do odpływu. Stamtąd woda biegła pod ziemią z powrotem do góry. Powyżej na przewodach kołysały się jarzeniówki. W skórzanym fotelu siedział mężczyzna z opatrunkiem na głowie. Obok przechodzili ludzie w białych fartuchach, o kulach, przejeżdżały osoby na wózkach; windą jechał pacjent ze stojakiem z kroplówką. Dźwig zatrzymał się i szarpnął tak mocno, że żołądek podskoczył mi

do gardła, wnętrzości gwałtownie uniosły się, po czym opadły. Czekaliśmy chwilę, aż masywne drzwi otworzą się, i ruszyliśmy jednym korytarzem, a potem kolejnym, wzdłuż przymocowanych do ścian poręczy.

– To nic takiego, wkrótce wróci do domu – uspokajał tata. – Znów ma chwilowy zanik słuchu. Zanik słuchu... – rzucił zdawkowo, wciskając dłonie w kieszenie, gotów, by w każdej chwili zrobić krok w tył.



Moje wspomnienie samego szpitala jest jak mrugnięcie oczami. Nie ma w sobie nic z dłużącej się drogi tam i z powrotem; przypomina raczej zdjęcie zrobione z lampą błyskową w ciemnym pokoju. Widać na nim mamę siedzącą niemrawo na łóżku z podniesionym oparciem. Nad jej głową kołysze się plastikowy trójkąt o niejasnym przeznaczeniu. Mama podciąga na piersi kołdrę, jej ciało pod spodem jest zupełnie płaskie, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Obraca głowę w moją stronę. Posyła mi zmęczony uśmiech, zęby wydają się strasznie duże. Już ma unieść oklejoną białymi plastrami rękę, gdy zamyka się przysłona, zamykają się oczy.



Mama odeszła. Widzę, jak idzie w dół po schodach, ciągnąc za sobą szary welon. Zostawiła włączone światło, choć wiedziała, że samo nie zgaśnie. Była to logiczna konsekwencja, ostatni raz, gdy poddała się sile przyciągania, za sprawą której nieustannie powracała i przynosiła kartony po mleku, zbierała puste butelki, rozpuszczała

witaminy dla siebie i taty, siadała na skraju brązowej sofy w okopach ojca i ocierała mu czoło niczym pielęgniarka na froncie. Zakładała szybko sandały i odbierała za niego nieprzytomne dziecko ze szkolnego podwórka. Nie tłumaczyła haseł zapisanych na ścianie przez wandalę, przychodziła po dziecko po lekcjach niemieckiego w szkolnej piwnicy. Jej linia obrony powoli zaczynała drżeć w posadach. Przeczytałam gdzieś okropne stwierdzenie, że choroba dostaje się do ciała przez otwór w duszy; gdyby się zastanowić, to tym samym winę przypisuje się zawsze choremu. Mama jednak nie umarła, tylko odeszła, a jeśli powodem był taki otwór, to nie wydrążyła go na własne życzenie.



Stałam pośrodku pokoju i patrzyłam za okno. Tak kiedyś wyobrażałam sobie dorosłość: że patrzę gdzieś i rozumiem, jak działa świat, wiem, że „takie rzeczy się zdarzają”. Tamtego wieczoru wiedziałam, co dzieje się za moimi plecami, na korytarzu, gdzie tata rozmawiał przez telefon, gdy po nietypowym „słucham” zamilkł i obniżył głos. Nie rozumiałam ani słowa, mówił cicho, pytającym tonem. Patrzyłam na stal ze światłami dla samolotów i poczułam, jak dotkliwa staje się rzeczywistość. „Moja mama odeszła”, pomyślałam. „Takie rzeczy się zdarzają.”

Tata zamknął drzwi do salonu nie tak jak zazwyczaj na kilka dni, lecz na tygodnie i miesiące. Powiększyła mu się łysina na czubku głowy i urosła broda, która zasłoniła szyję, a włosy, ciemne od potu i tłuszczu, zaczęły się kręcić. Na policzkach popękały mu żyłki, popsuły mu się zęby, nie było ich jednak widać przez brodę, a także dlatego, że otwierał usta tylko przy jedzeniu. W każdą niedzielę na obiad był pasztet z mięsa mielonego z tłuczonymi ziemniakami.

Ziemniaki rozgniatał tylko konkretnym tłuczkiem. Posiłki gotował wyłącznie w konkretnym garnku, a mimo to nie chciał wyrzucać pozostałych; miały stać w szafkach, niczym stałe wyposażenie. „W tym kiedyś gotowałem jajka”, powiedział, gdy podniosłam jeden z nich (o osmolonym dnie i poobijanych bokach) i zapytałam, czy mogę się go pozbyć. Zawsze opowiadał, do czego służył dany przedmiot, kiedy zaś chodziło o plastikowe siatki i puste albumy fotograficzne, zaznaczał, że nie chce ich wyrzucać. W każdej jego reakcji słychać było chwilę zawahania, która uparcie trwała, porządkując rzeczywistość. Po „chciałbym jeszcze” następowało „trzeba najpierw” – posprzątać naczynia, zmienić obrus, podlać kwiaty, zamieść podwórze, umyć klatkę schodową, porządnie wyczyścić dzbanek do kawy; należało najpierw

posortować zdjęcia, i to starannie, zgodnie ze zmysłnym systemem, by móc zabrać się za coś innego. Tata zderzał się z ogromną stertą przedmiotów, które należało uporządkować r a z a d o b r z e, przy pierwszym podejściu. Nigdy tego jednak nie robił, bo nie mógł tak zwyczajnie zacząć bez ustalenia planu; a ponieważ każde zadanie zdawało się go przerastać, po prostu nie ruszał się z kanapy.

Stałam przed drzwiami salonu z wiadrzem wypełnionym ciepłymi mydlinami. Tata w powyciąganych dresach oparł się o futrynę, jego małe oczka zwilgotniały.

– Nie teraz – powiedział.

W ten sposób próbowałam, podobnie jak mama, pomóc mu uwolnić się od przedmiotów, z którymi wiązały się wyłącznie bolesne wspomnienia. Rzeczy mamy w szafce w łazience przestały spełniać swoją funkcję; nikt nie golił się jej maszynką, nie smarował łydek jej balsamem, a mimo to tata nie umiał się ich pozbyć. Obracał butelkę w dłoni i odstawiał ją z powrotem, jako dowód na to, że mama była kiedyś częścią jego życia. Chociaż uczestniczył w pogrzebie, nie potrafił się z nią pożegnać; patrzył jak na zrywany z ramienia plaster. Tylko od czasu do czasu obracał się w moją stronę, na jego twarzy malował się strach. Nie wiedziałam, jak zareagować. Jego konsternacja osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy przez drzwi za amboną weszli tragarze z urną, mężczyźni jak z filmu; mieli na sobie czarne, nieco za duże uniformy, kaszkiety niezgrabnie naciągnięte na głowę, twarze zapadnięte, kanciaste, po nich można było rozpoznać, że dzień w dzień towarzyszą zmarłym w odchodzeniu w zaświaty. Tata spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami. Wzruszyłam ramionami. Czego oczekiwał? Lekko skinęłam głową w kierunku mężczyzn na znak tego, że ma

patrzeć w ich stronę, ale nie zrozumiał. Chciałam usłyszeć, jak pastor cytuje Psalm 23, mimo że mama nie była wcale religijna; jak opowiada historię jej życia, którą wyciągnął z taty na spotkaniu przed pogrzebem. Chciałam usłyszeć dzwony bijące w drodze do miejsca pochówku, poczuć błoto pod stopami i deszcz. Zamiast ziemi tata wybrał płatki róż, które mieliśmy rzucić na urnę na ostatnie pożegnanie, a także stroik z wiosennych kwiatów.

– Tylko nie te wiecznie zielone liście, tylko nie ta jedlina – rzekł z pogardą, ruchem ręki odrzucając propozycje florystki. Kobieta próbowała objaśnić mu symbolikę roślin:

– Wie pan, życie wieczne.

Pokręcił głową.

– Niech pani zrobi coś wiosennego!

„Ziemia ziemi – popioły popiołom”. Tego nie chciał zaakceptować.

Sugerując, żeby pozbył się kilku garnków, tak naprawdę próbowałam nauczyć tatę odpuszczać, a przynajmniej pokazać, że ma taką możliwość, i tym samym choć trochę mu ulżyć. Teraz rozumiałam, dlaczego i mama próbowała wciąż od nowa. Był nieznośny, gdy rozglądał się swoimi małymi oczkami, ale on tego nie rozumiał. Brakowało mu narzędzi do pożegnania.



Alkohol dodawał tacie animuszu. Chodził wówczas na wydarzenia do domu parafialnego. Stawał w ostatnim rzędzie, z rękoma w kieszeniach, i patrzył, jak towarzystwo miłośników historii przedstawia grupce mieszkańców nową kronikę. Mężczyzna w brudnych okularach

o rogowych oprawkach kartkował księgę; w pierwszym rzędzie siedziały żony członków zarządu, które pochylone z zaciekawieniem studiowały każdą stronę. Tata patrzył szeroko otwartymi oczami, chcąc sprawić wrażenie uważnego, tak jak i ja robiłam to kiedyś na spotkaniach klubu jeździeckiego, gdzie zabierała mnie Sophia. Jego twarz przybrała dziecięcy wyraz. Od razu kupił dwa egzemplarze.

– Jednego nie będę ruszał, tylko postawię na regale, aż któregoś dnia stanie się bardzo cenny.



– Widziałem twojego tatę na zebraniu.

Pikka rzucił mi z boku wymowne spojrzenie, trochę z kpina, a trochę ze zdziwieniem. Nie odpowiedziałam. W milczeniu chodziliśmy ścieżkami brzegiem rzeki, nie zbaczając na trawę, aż dotarliśmy na skraj łąki.

– Twój tata był na zebraniu – powtórzył Pikka.

– No i?

– No i nic.

Doszliśmy do miejsca nad rzeką, gdzie bezdomny w ciągu dnia zostawiał swoje rzeczy; w gałęziach nad wodą rozwiesił kilka poszarzałych T-shirtów. Brzeg był tutaj piaszczysty jak nad morzem, nie pasowały tylko wyrzucone przez fale plastikowe śmieci i widok hałd węgla.

– Pewnie zrobił w rzece pranie – powiedziałam, wskazując na ubrania.

– Kiedyś nie można było zamoczyć w wodzie nawet palca u nogi bez ryzyka wysypki czy jakiegoś oparzenia chemicznego – stwierdził Pikka. – Po prostu wszystko wylewali do rzeki.

Skinął głową w stronę parku przemysłowego.

– Czy twój tata będzie teraz przychodzić częściej?

– Pewnie nie. Interesowała go przede wszystkim kronika.

– Moi rodzice też dorzucili do niej kilka zdjęć. Na jednym z nich dziadek ścisnął dłoń jakimś funkcjonariuszom. Był przecież przewodniczącym zarządu jednego z przedsiębiorstw należących do parku. To naprawdę ładna historyczna fotografia.

Odwrociłam wzrok, nagle czując zakłopotanie, jak gdybym ukradkiem zajrzała do czyjejs sypialni. Pika ruszył za mną połą drogą, dobiegło nas buczenie oczyszczalni ścieków. Zatrzymaliśmy się przed Srebrną Farmą. Nieco wykrzywiona bramka skrzypiała w zawiasach, niebieski zbiornik na deszczówkę pełen śmieci leżał przewrócony za drewnianymi słupkami płotu, który pokrył mech. Czerwona naklejka na skrzynce na listy zapowiadała wizytę inspektora. Zastanawiałam się, czy w małym pomieszczeniu wciąż piętrzą się stopy gazet i unosi się kwaśny zapach, a w drugim pokoju leżą niedopałki.

– Serio zobaczyłeś wtedy ducha?

Skinęłam głową w stronę szyldu.

– To raczej była tylko mysz. Ale wtedy naprawdę tak mi się wydawało.



Kronika towarzystwa miłośników historii wzbudziła w tacie tęsknotę za przeszłością, za czasami żywności bogatej w skrobie i sporadycznej pieczeni w niedzielę, gdy nie było samochodów, a kobiety nosiły fartuchy i ściągały

brwi od pracy w pocie czoła; czasami, których nie mógł pamiętać i którym przyświecał porządek, w jakim pozornie wszystko miało swoje miejsce. Mawiał: „Proste z nas człeki”. Wtedy jeszcze wszystko było jasne: role, hierarchie, obyczaje; nie musiał mierzyć się ze śmiercią matki, bo działo się to na długo przed jej narodzinami.

– W przyrodzie nic nie ginie – stwierdził, przesuwając w szufladzie recepturki po pęczkach szczypioru. Pochylił się i zajrzał głęboko do szafki w poszukiwaniu tego konkretnego spośród wielu tłuczków do ziemniaków.

Gdy mieszkałam jeszcze w naszej miejscowości, nie zwracałam uwagi na jej wyjątkowość; na rury, kable i gumowe węże, brązowozieloną wodę, klub kajakowy, w którym liczba członków powiększa się tylko wtedy, gdy ktoś przyprowadzi córkę lub syna. W aktualnym wydaniu lokalnej gazety, rozłożonym przede mną na stole, ukazał się długi artykuł o spływie dwunastu kajakarzy. W ten sposób chcieli ożywić dawną tradycję z czasów sprzed uregulowania rzeki i wyznaczenia szlaku dla statków, gdy woda była tak płytka, że można było przejść ją w bród. Teraz obok kajakarzy musiała płynąć łódź ochotniczej straży pożarnej. Pływacy trzymali piankowy makaron i dmuchane gumowe zwierzęta, które do zdjęcia wyciągnęli w powietrze. Mokra włosy oblepiały im czoła, w tle rozciągał się opustoszały most i widać było hałdy węgla oraz służę dla statków towarowych. Nikt nie zwracał już uwagi na te znajome elementy krajobrazu, jak na żywo płót z bukszpanu na odkrytej pływalni.



Znam minę taty na samym początku, kiedy chce jeszcze zachować tajemnicę; jego ściągnięte brwi, które zamiast przypływu uczuć wyrażają nieustanne napięcie, jak gdyby

przyglądanie się czemukolwiek wymagało ogromnego skupienia. Spojrzenie to jest oznaką rauszu, jak w młodości na imprezie, gdy po pierwszym piwie kolory wydają się ładniejsze, a kanty przedmiotów bardziej łagodne. Wtedy jeszcze pije, by przynależeć do świata, a nie zostać na uboczu, i wydaje mu się, że nikt dookoła tego nie widzi; potem jednak poddaje się i ukrywa za zamkniętymi drzwiami salonu, gdzie rzeczy zamiast się rozmyć, stają się kanciaste, a treść żołądka podchodzi mu do przełyku; bez wstydu zaczyna wpadać na ściany i butelki na podłodze, przestaje się myć, a ziemniaki w garnku zastępuje czerwonym winem. Zaczyna się od tego spojrzenia. Wcześniej nauczyłam się je rozpoznawać, włączyłam je do swojego systemu znaków, dostosowałam się do niego, zmieniałam krok, częściej przepraszałam i stapałam tak cicho, że stałam się bezszelestna.

– Zawsze pojawiaasz się tak znienacka – powiedziała Sophia.

Uśmiechnęłam się, bo wtedy moja bezgłośność okazywała się ujmującą cechą zamiast wyrazem wyuczonej strategii przeżycia.



– Wiesz co, mogłem domyślić się tego wcześniej. Mogłem się domyślić już na pierwszej wywiadówce.

Tata podnosi wzrok z obrusu. Ma ściągnięte brwi i gładkie policzki, przekrzywia głowę, dłonie zaciska w małe pięści; postarzają go cienie pod oczami, upstrzone białymi punkcikami, typowe dla nałogowych palaczy. Jest ubrany w to, co zawsze, ale materiał się wytarł, spłowiał, w prawym rękawie na wysokości łokcia pojawiła się

dziura, bo nieustannie przesuwa po tym miejscu kciukiem. Zaokrągliły mu się plecy, ledwo jest w stanie się wyprostować.

– Wchodzę do sali i widzę, że oczywiście wszyscy muszą porozmawiać z wychowawcą. Nikt z tych wzorowych rodziców nie może przegapić takiej okazji, tych dobrze sytuowanych ludzi w różowych koszulach... Lista na drzwiach jest już zapełniona, każdy ma piętnaście minut. Wchodzę więc do sali, a tam uszkodzone zasłony, na regałach sfatygowane atlasy, które w żadnym razie nie mogą być aktualne, raczej jeszcze z czasów zimnej wojny, pobazgrane blaty, w szufladach pod spodem śmieci. A przecież zawsze była mowa o tym, że jesteście elitą... Za biurkiem siedzi mężczyzna w zatłuszczonej marynarce, zaczytany w notatkach. Pukam w otwarte drzwi, a on gwałtownie podrywa głowę i nasuwa z powrotem okulary, te dziwne okulary o brązowych szklach, mimo że w gabinecie jest ciemno, i wyniosłym gestem wskazuje na wolne krzesło przed sobą, jak sprzedawca w salonie samochodowym, który zaraz wciśnie mi najdroższy wóz. „A więc jak się pan nazywa?”, pyta. Już mam odpowiedzieć, gdy w notatniku znajduje nazwisko i tym samym wchodzi mi w słowo, i mówi dalej, jakby chodziło o czystą formalność i tak naprawdę było mu obojętne, z kim ma do czynienia. Zaczął od jakichś przepisów na naleśniki, które ponoć tworzyliście na francuskim. Mielście usmażyć je na dzień otwarty, w ten sposób nauka języka jest podobno bardziej *n a m a c a l n a*, służy rozwojowi *z d o l n o ś c i i u m i e j ę t n o ś c i*, to podkreślił szczególnie wyraźnie i zdrowym okiem spojrzał mi w twarz, sprawdzając, czy wiem, co to oznacza; „Moim obowiązkiem jest kształtowanie *z d o l n o ś c i o r a z u m i e j ę t n o ś c i*”

państwa dzieci”. Powiedział „państwa dzieci”, jakbym reprezentował wszystkich rodziców. Ale gdy tak mówił, zaczynałem powoli rozumieć, że prawdopodobnie nie jest pewny, czym jestem rodzicem, i zmienił temat. Opowiadał o więziach w klasie, o grupkach, kto jak zaangażował się w poszukiwanie tematów do tygodnia projektowego, po czym zeszło na Sophię, na jej temat rozwodził się przez ostatnie dziesięć minut, gdy jeszcze siedziałem naprzeciwko. Sophia bardzo, ale to b a r d z o angażuje się w sprawy klasy; to ona wymyśliła zadanie z przepisami na naleśniki, a także dobrowolnie zgłosiła się na przewodniczącą, i choć piąta i szósta klasa jeszcze nie mają tego w zwyczaju, to pozostałym dzieciom pomysł się spodobał i zagłosowały jednomyślnie, a Sophia od razu przeszła do działania i zamówiła piankowe piłki do gry na przerwie. Sophia to wyjątkowy przykład młodego człowieka, który bez trudu łączy bycie dzieckiem z odpowiedzialnością, bo nigdy nie przekracza swoich kompetencji, lecz raczej ustanawia nowe standardy – czy jakoś tak. Będą z niej ludzie, ciągnął pan Kaiser, szkoda, że nie widział pan, jak głowi się nad sprawdzianem ze słownictwa, tego jej małego, napiętego czółka i staranny liter, a gdy nie zrobi żadnego błędu, jak z radości wyciąga ramiona w powietrze niczym zawodniczka na mecie; oto postawa, jakiej życzyłby sobie każdy nauczyciel. Z kolei dzieci obcokrajowców sprawiają wiele problemów, trzeba to powiedzieć wyraźnie. Następnie jego wzrok padł na zegar wiszący nad drzwiami, na który podczas swojego wywodu zerkał co kilka minut. „Nasz czas minął!”, zawołał, jakby zaskoczony. Wyszedłem z sali nie mając pojęcia, co to właściwie było. Później cały czas, a ostatnio zaledwie kilka tygodni temu, zastanawiałem

się: dlaczego nie zaprotestowałem? Dlaczego siedziałem i wysłuchiwałem tego wszystkiego? Dlaczego nie wstałem i nie powiedziałem: „Czy pan w ogóle wie, k i m jest moja córka?”. Dla nich byłaś przezroczysta. Zrozumiałem to już na tej pierwszej wywiadówce. Mogłem się domyślić, do czego to zmierza.

Przez sekundę patrzy na mnie przepraszająco, po czym nie wytrzymuje i spuszcza wzrok na obrus, a następnie znów ściąga brwi. Otwiera okno, żeby wypuścić papierosowy dym, i do kuchni wpada mroźne zimowe powietrze.



Do mieszkań w oficynie powraca życie. Robotnicy pracowali do południa, gdzieś w promieniu kilku kilometrów, pewnie na lotnisku, bo wszystkie budowy są wstrzymywane na zimowe miesiące. Cały czas pada śnieg; gdyby podnieść wzrok, białe niebo przypomina zapętlony film. Jeden z monterów wychodzi na balkon i obejmuje wyższą od siebie kobietę. Mimo mrozu oboje mają na sobie podkoszulki, wyglądają na wyraźnie pijanych. Z mieszkania dociera przytłumiona muzyka, kobieta chybottliwie chwyta mężczyznę za ramiona i przytula go, co wygląda jak powolny taniec, i powtarza: „Musimy się stąd wynieść”, jego imię, którego nie dosłyszałam, „musimy się stąd wynieść”.

Nie wyjaśnia dlaczego, czy to kwestia mieszkania czy okoliczności. Jednak jestem pewna, że chodzi o miejscowość; o oficynę, balkon, z którego zwisa kilka luźnych kabli, o śnieg na ulicach. Mężczyzna milczy i tylko cały czas obraca lekko głowę przed powiewami zimnego powietrza.

Nie widzi albo nie chce widzieć okolicy i jej znaczenia, jej wpływu na człowieka; nieustannego kursowania między parkiem przemysłowym a halą targową, kabli wysokiego napięcia i tuneli szybkiej kolejki, a w weekendy pchlich targów, na których bieda przyjmuje postać kobiety o popękanych piętach, w za ciasnych butach, z wózkiem przy stoisku z orzechami, gdzie sprzedają na kilogramy pestki słonecznika z importu; kobieta pochyla się do handlarki i coś jej opowiada, pewnie to samo co tydzień. Przyjmuje także postać ojca z synem sprzedających pod plandeką lampy z plastikowych kryształków, zasilane przez agregat prądu. Wśród używanych butów siedzi mężczyzna z przymkniętymi oczami i z drwiącym uśmiechem woła: „Tak, czarny sprzedawca powrócił”; uśmiecha się jeszcze bardziej drwiąco, zadowolony ze swojego żartu, a ludzie wokół odwzajemniają uśmiech, po czym dodaje: „Adidas, Versace, do wyboru, do koloru”. Tutaj dorastałam i nigdy nie zwracałam na to uwagi. Tutaj tata wcisnął mi w dłoń naszyjnik z ametystów. W tle przebiega ulica z przystankiem autobusowym i kładka nad torami kolejowymi, z której widać park przemysłowy, a w miasteczku obok siłownia sąsiaduje z placem rozładunkowym dla ciężarówek; należy przywyknąć do wytartego asfaltu oraz spalin autobusów i luksusowych samochodów, jakie niektórzy wypożyczają na weekendy. Wypolerowany pomarańcz, czerwień i błękit wspinają się wśród brudu po fasadach sklepów przy ulicy handlowej. Mój wzrok pada na podniszczone rynsztoki przed warzywniakami i kolejki przed wejściem. Gdyby stanąć niefortunnie na żwirze między mocno wydeptanym piaszczystym podłożem a krawężnikiem, można skrócić sobie kostkę.

Choć robotnik odwraca głowę, kobieta wciąż wisi mu na ramieniu i bełkocze: „Musimy się stąd wynieść”. Mężczyzna niemalże siłą wrywa się z jej objąć.

– Nie teraz – mówi. – Jeszcze nie teraz.



– A co z mamą? – pytam.

– Ale że co? – dziwi się tata.

Na jego twarzy pojawia się grymas, jak przy wyciągnięciu czegoś zepsutego z najgłębszego zakątka lodówki. O mamę nigdy nie wolno było pytać wprost. Zostało nam to po dziadku, który nie wspominał słowem o babci. Tak odczytywałam wysyłane przez nich sygnały. Gdy tylko przekraczałam próg mieszkania, rezygnowałam z mówienia o czymkolwiek otwarcie.

– Ale że co ma niby z nią być?

– To jednak miało znaczenie – mówię.

Tata ściąga uniesione brwi, w jego oczach pojawiają się łzy. Układa usta w dzióbek i gwałtownie potrząsa głową, głośno przełyka ślinę, unosi ramiona, aż atak – bo tak by go nazwał – mija, a treść żołądka opada z powrotem na swoje miejsce. Robi wydech, jak gdyby długo wstrzymywał powietrze, podchodzi do okna, żeby je zamknąć. Muzyka z mieszkania robotniczego ucicha.

– Ma wiać ze wschodu – mówi.

– Idę się przebrać – rzucam i wychodzę z kuchni.



Do zapachu można przywyknąć, można się z nim oswoić. Tak samo jak do huku samolotów nieustannie przelatujących nad miejscowością. Gdy pewnego razu stoję w swoim dawnym pokoju dziecięcym i patrzę w niebo, brzuch maszyny rozbłyskuje w słońcu. Tutaj dorastałam. Gdzie jeszcze są przewody wysokiego napięcia? W ziemi, niewidoczne, wrastają w domy od spodu.

– Przecież możesz też zostać tutaj i studiować na naszym uniwerku, a na początku jeszcze pomieszkać w domu. Nie musisz od razu się wyprowadzać – stwierdził Pikka.

Jego głos z każdym słowem stawał się coraz bardziej dźwięczny. Liczyłam kroki między pasami ruchu. Uśmiechnął się do mnie zachęcająco, ręce trzymał w kieszeniach kurtki.

– Przejdziemy się jeszcze? – zapytałam.

Skręciliśmy w stronę studni. Wyszła w niej woda, a gdy Pikka spróbował uruchomić zakrzywioną dźwignię pompy, z kranu nie popłynęła ani kropla.

– Naprawdę myślę, że i tutaj byłabyś szczęśliwa. Zawsze widzisz wszystko w czarnych barwach – dodał.

Szklane budynki w mieście, ciąg domów między stacją metra a uczelnią, który – jeśli przywykło się do naszych ulic – wydawał się nieskończenie długi, bo wszystko było trzy razy szersze, samochody na czteropasmowej jezdni, poczerniałe krawężniki – wszystko to Pikka mijał niewzruszony, ponieważ wiedział, że wieczorem wróci do miejscowości i jej kwaśnego, tak dobrze znanego mu powietrza. Ja z kolei czułam dziwne poruszenie. Wszystko dookoła – ruchliwe ulice, stary park należący do uniwersytetu – interesowało mnie i jednocześnie przerastało do

tego stopnia, że aż spychało na bok. Gdy wyciągałam ręce, zamiast kamienia i trawy czułam pod palcami gładką powierzchnię, na którą nie miałam wstępu. Mogłam tylko rękawem przecierać zaparowaną szybę, tak jak robiłam to kiedyś w autobusie w deszczowe dni.

Wyobraziłam sobie, jak na uczelni Pikki i Sophii w metalowej szafce wieszam lusterko i zdjęcie, na którym zamiast piosenkarki widnieje filozofka; jak zostawiam tam książki, by nie musieć codziennie nosić ich ze sobą do domu, i trzymam zapas mieszanki studenckiej oraz pomadek do ust o smaku arbuza i być może także kieszonkowych ogrzewaczy do rąk na wypadek, gdybym miała zmarznąć na długich korytarzach, i jak zabieram je wieczorem do domu, po czym sumiennie wygotowuję we wrzątku.

Na dniu otwartym zobaczyłam na kampusie grupki młodych ludzi, którzy wyglądali jak wycięci z broszury i naklejeni na stoliki na stołówce. Puste kubki z sieciowej piekarni i zgniecione papierowe torebki piętrzyły się wokół ich notatników, palcami poplamionymi atramentem wskazywali na książki, za każdym razem unosząc przy tym głowę, obracali dłonie i mówili coś, czego nie rozumiałam. Wyobraziłam sobie, że noszę dokładnie taki sam koński ogon co jedna z dziewczyn przy stoliku – moją uwagę przykuł tył jej głowy, wydawała się tak mądra i pewna siebie – i że wszyscy żartujemy z profesorki, wymyślamy dla niej pseudonim, opuszczamy zwyczajową formę „pani profesor” i nazywamy ją „ta” w połączeniu z nazwiskiem, i przez to czuję się jedną z nich; swoją pewnością siebie robię wrażenie na jednej z uczennic, która być może siedzi przy stoliku obok i wpatruje się w tył mojej głowy. W mojej fantazji obrazy

łączyły się ze mną, nie wydawały się już tak nierealne czy nieosiągalne: ja i szafka, ja i kubek kawy, ja i książki z biblioteki – były jednością, przestały się wzajemnie wykluczać. Wciąż mijałam kolejką dworzec towarowy, ale wysiadałam przystanek wcześniej. Mój plan zajęć cały czas przewidywał wstawanie o świcie i powroty późnym popołudniem, okienka spędzałam zaś w jednej z bibliotek, bo nie opłacało się wracać do domu. W dalszym ciągu w szkolnym plecaku nosiłam wszystko, co niezbędne na co dzień, być może kupiłam większy termos, mniejszy piórnik, chusteczki do dezynfekcji innej marki i podpisałam umowę na studencki abonament na telefon; pozostał jednak ten sam plecak, to samo połączenie kolejowe i to samo powietrze wczesnym rankiem.



Wyszliśmy z kręgu światła rzucanego na polną drogę przez ostatnią uliczną latarnię. Im bardziej oddalaliśmy się od domów, tym robiło się ciemniej. W oddali słychać było szum autostrady, po której o tej porze jechały kolumny ciężarówek.



Wyobrażałam sobie, że noszę ażurowe pierścionki ze srebra, jakie można kupić na świątecznych jarmarkach, i miękkie granatowe bluzki z długim rękawem; że jestem podobna do mamy Sophii i od lat pracuję w tym samym miejscu, w kuchni na parterze robię rano śniadanie, zwracam uwagę na białko i węglowodany (jajka, pełnoziarnisty tost) i w jeden ustalony dzień jeżdżę po zakupy do

Aldiego pod platanami, rowerem z siodełkiem w futrzanym pokrowcu, zawsze z listą, na której zapisuję produkty w kolejności ustawienia regałów w sklepie, zgodnie z planem posiłków na najbliższe dwa tygodnie. Oczami wyobraźni widziałam siebie jako kobietę, która interesuje się szkołami w okolicy, czystością chodników, która chodzi do kościoła i śpiewa z koleżankami w chórze, angażuje się w organizację loterii na letnim festynie i w inicjatywę obywatelską przeciw kolejnej spalarni śmieci; która co kilka tygodni u fryzjera na ulicy Kolejowej podcina włosy, zostawiając krótszy tył i dłuższy przód, sumiennie zużywa po kolei wszystkie szminki, ustawia lakiery do paznokci według kolorów letnich i zimowych, co drugi sezon kupuje nowe kozaki i na regale trzyma segregator pełen przepisów, poukładanych według gatunków mięsa. Narodzona z piany zraszaczka zamiast na muszli stoję na kamieniu ozdobnym, który oddziela drogę do domu od trawnika, za plecami mając markizę, z boku krzew tui; drogę wyściela mi czerwona kora ogrodowa, a ja zasłaniam swoją nagość długimi blond włosami.

Wyobrażałam sobie, że granice miejscowości uznaję za swoje własne i mój świat kończy się na skraju ciemnego pola. Że przestałam czuć presję, jestem zadowolona, jestem szczęśliwa; jestem kobietą, która w przydomowym ogródku uprawia hortensje i z mężem mieszka w domu jego rodziców, bardzo podobnym do tego, który właśnie mijaliśmy z Pikką; że każdego poranka schodzę po schodach i mam na uwadze zdrowie męża, gdy wkładam jajka do gorącej wody i wsuwam kromki do tosterka.

Pikka i ja przez chwilę odbijaliśmy się w drzwiach tarasowych. Widziałam jego postać, którą znałam tak dobrze, sprężystość jego kroku, lekko zgięte ramiona, ale nie

rozpoznałam osoby obok. Czy zawsze byłam taka niska? Zawsze miałam pod oczami zmarszczki jak staruszka? Czy mój wzrok ma spocząć na kominach na sto lat...?

Wróciliśmy na główną ulicę. Zostawiliśmy za sobą Aldiego i weszliśmy do dzielnicy mieszkalnej, w której stał dom Pikki. Ulica zwężała się coraz bardziej. Pikka ciągnął opowieść o tym, jak bardzo podoba mu się na uczelni, jak dobrze można zjeść na stołówce i że biblioteka otrzymała ostatnio wyróżnienie.

– Cieszę się, że się nie przeprowadziłem, brakowałoby mi tej przestrzeni. Tych pól, tego powietrza. A na dojazd kolejką do miasta potrzebuję tyle samo czasu, co inni samochodem w godzinach szczytu.

Pikka nie podawał niczego w wątpliwość. Jego przekonanie sugerowało, że i w moim przypadku to kwestia nastawienia.

– Przesadzasz z tym pesymizmem. Za bardzo się nakręcasz – stwierdził.

Na wieży kościelnej dzwony donośnie wybiły pełną godzinę. Twarz kobiety, która kiedyś, czternaście lat temu, wysadziła się w powietrze, pojawiła się przed moimi oczami niczym światło reflektora. Podniosłam wzrok na tarczę zegara, po czym opuściłam go z powrotem na ziemię, obok kurtka Pikki szeleściła z każdym krokiem. Zatrzymaliśmy się przed furką prowadzącą do jego ogrodu.

– Przemysł to jeszcze – poradził.

– Może masz rację – odparłam.

Objęliśmy się na pożegnanie. Pikka zniknął za bramką, a ja ruszyłam w drogę powrotną. Na niebie było widać Wielki Wóz.



Nie narodziłam się z piany, tylko z kurzu, rdzy i soli kuchennej unoszącej się w powietrzu i opadającej na dachy samochodów. Narodziłam się z kwaśnego smrodu spalarni odpadów, z łąk nad rzeką i drzew pomiędzy słupami wysokiego napięcia, z ciemnej wody, która uderzała o głązy, z warstwy azotu i azotanu.

Po cmentarzach nie wolno jeździć rowerem ani biegać. Przypominam sobie o tym za każdym razem, gdy mijam omszałe mury i wchodzę przez bramę do środka.

– Pójdziemy odwiedzić mamę? – zapytał tata w poczuciu obowiązku i z niedowierzaniem szeroko otworzył oczy, gdy odparłam, że już tam byłam (skłamałam, bo wołałam chodzić na jej grób sama).

Wybranie się tam z własnej woli nie wchodziło dla niego w grę; unikał wszystkiego, co zaczynało się za dębem obok przystanku, choć do cmentarza, ukrytego za rzędem szeregowców przy głównej ulicy, było stamtąd pięćset metrów. „Odwiedzić mamę” brzmiało tak, jak gdyby wciąż jeszcze żyła i tylko przebywała na kwarantannie lub mieszkała w parku pod kilkoma brzoźami. Słowa taty wzbudzały we mnie przerażenie; wyobrażałam sobie, że pogrzebano ją żywcem i musiała tam spędzać noc. Często używał tego stwierdzenia, jak gdyby rozpaczliwie próbował uczynić ze śmierci dziecięcą zabawę. Mama, podobnie jak i tata, nie wierzyła w żadnego Boga, dlatego to, czy zostanie pochowana w urnie i poświęconej po chrześcijańsku ziemi, nie miało znaczenia.

– Do meczetu chodziłam tylko dlatego, że było tam chłodno i inaczej ludzie by gadali – opowiadała zawsze. – Szybko zauważyłam, że nie kryje się za tym nic.

Zastanawiałam się, po co rezygnować z wieprzowiny, przecież pół świata je świnie! Raz jej spróbowałam, gdy miałam dziesięć czy jedenaście lat, i nic się nie stało. Nie opętał mnie szatan, a Bogu moje zachowanie jest przecież obojętne.

W jej zachowaniu pozostało jednak coś z bigoterii niezwiązanej z konkretnym krajem ani kulturą. Uciekając przed tym zjawiskiem jako młoda kobieta, natrafiła na nie także i tutaj. Pogodziła się z tym, nawet jeśli sama – gdybym dziś jej to wytknęła – pewnie by zaprzeczyła.

– Przynajmniej nie jest taki jak oni – stwierdziła, gdy na przystanku autobusowym w naszej miejscowości minęliśmy pijaka. – Ma też swoje dobre strony.

„P r z y n a j m n i e j”, powiedziała, stojąc przed rozbitym szkłem. Przynajmniej rzucał się tylko na meble. Uważała siebie za szczęściarę. Nie można zakładać, że na świecie jest coś lepszego, nie można tak po prostu czegoś żądać. Tego mnie nauczyła. Ze spokojem spoglądała wstecz na swoje życie z tatą, gdy chroniła samą siebie i zostawiała uchylone drzwi. Przez jej zachowanie wobec niego przemawiała siła decydująca o przewadze nad innymi kobietami, które zalewały się łzami, przeklinały mężów.

Któregoś razu zadzwoniła mama Sophii.

– Mam przyjść? – rzuciła mama do słuchawki.

Stałam w drzwiach i zdumiona patrzyłam, jak wkłada buty. Mama Sophii dotychczas nigdy nie prosiła, żeby do niej przyjść; od zawsze miała opory nawet w stosunku do mnie, w końcu jednak pogodziła się z myślą, że jej córka chce się ze mną przyjaźnić.

– Chodź ze mną, uspokoisz trochę Sophię – powiedziała mama.

Wyszliśmy z domu i za apteką skręciliśmy w ulicę, gdzie w przydomowych ogródkach kwitły magnolie i stał, jak gdyby nigdy nic, dom Sophii. Ani na zewnątrz, ani w środku nie było żadnego śladu spustoszeń.

Mama Sophii siedziała na kanapie. Pochyliła się i drżącą dłonią nalała herbaty. Skórzana tapicerka zaskrzypiała jej pod spódnicą.

– Rozbił szklanę – powiedziała.

Z przerażenia miała zapadnięte policzki.

– Ot, roztrzaskał szklanę – odparła mama, ściągając ramiona. – No i co z tego? To przecież drobnostka!

Mama doskonale wiedziała, jak radzić sobie w takich sytuacjach. Sophia pociągnęła mnie za rękaw w górę schodów. Przycupnęliśmy na jednym z wyłożonych dywanem stopni niczym dzieci, choć pewnie miałyśmy wtedy szesnaście czy siedemnaście lat. Stamtąd podsłuchiwałyśmy dalej rozmowę, nic z niej jednak nie wynikało.

– Szklanę, porządną szklanę – powtarzała mama Sophii.

Na co moja odpowiadała:

– No, szklanę, i co z tego?

Sophia milczała. Jej splecione w warkocz włosy odsłaniały przygarbione plecy. Nigdy nie widziałam jej w takim napięciu ani przedtem, ani potem; emanowała smutkiem od samej nasady włosów, od miejsca, gdzie mięśnie szyi tworzą zagłębienie. Sophia jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś takiego. Mrugała dwa razy rzadziej niż zwykle. Przez chwilę przysłuchiwałyśmy się mamom, które ściszonymi głosami naradzały się, co zrobić.

– Chodź – powiedziała w końcu Sophia. – Pójdziemy do mojego pokoju.

Mama nie liczyła się z regułami ze świętych ksiąg. Nieważne, czy chodziło o wieprzowinę, czy o coś większego – zawsze podkreślała, że posiada zdolność samodzielnego myślenia. Jednak tata, podobnie jak wszyscy mężczyźni, stanowił siłę natury, której ulegała bez zbędnych pytań. U l e g a ć, wciąż słyszę, jak oburzało ją to stwierdzenie:

– Przecież nie będę nikomu ulegać!

Dodawala, że nikt nigdy tak o niej nie pomyślał. Od zawsze wpajano nam, że podejmowanie decyzji i samodzielne myślenie kończy się wraz z pojawieniem się mężczyzny, i nikt nie podawał tego w wątpliwość ani nawet nie zwracał na to uwagi; uległość mamy przejawiała się zaś w gestach, które pozornie stanowiły wyraz jej siły i niewzruszenia; w powtarzaniu mamie Sophii: „I co z tego?” – wzniosła tymi słowami wokół siebie mur obronny – oraz w gwałtownych ruchach, jakimi sprzątała mieszkanie. Bardziej denerwowała się, gdy w Aldim zabrakło mięsa niż gdy jej mąż z pięściami rzucał się na meble. Na tym polegała siła kobiet: na przekierowywaniu uwagi na to, co w danym momencie należało zrobić, na szafki, palniki kuchenki. Za drzwiami łazienki zamiatła kłaczki. Chciałam ją chronić, ciągle zastanawiałam się, czy mogę coś zrobić. Czy miałam się mu postawić? Przecież byłam dzieckiem, nie na tym polegała moja rola. Gdy choć raz zdarzyło mi się zbyt szybko przejść korytarzem w czasie, kiedy drzwi do salonu były zamknięte, natychmiast do mnie podchodził i otwierał napiętą dłoń tuż przed moją twarzą.

– Nie uderzę cię, nie jestem taki – mówił.

– Chociaż coś – stwierdzała mama.

Wieczorami bezszelestnie wślizgiwała się do mojego pokoju, by go nie obudzić, gdy wreszcie zasnął w niebieskim świetle telewizora. Przez chwilę patrzyłam jeszcze na sufit i białe cienie świateł samochodów, po czym szybko zamykałam oczy i udawałam, że śpię. Mama przytulała się do mojej twarzy policzkami mokrymi od łez. Powtarzała szeptem: „Wkrótce wszystko się ułoży” (kogo chciała pocieszyć, mnie czy siebie samą?). Dopiero po jej wyjściu wycierałam sól z czoła.

Spakowała tylko swoje rzeczy, moje zostały na miejscu. Chodziło o tatę, chciała zatrzymać go przy sobie. Nigdy nie zależało jej na tym, by mnie chronić czy dać wyraz swojej niezależności, którą w wieku dziesięciu czy jedenastu lat dało jej potajemne spróbowanie wieprzowiny.

Zapytałam ją o to jeden jedyny raz:

– Dlaczego więc się nie rozstaliście?

Użyłam liczby mnogiej, bo „rozstałaś się z nim” nie przeszło mi przez gardło.

– To nie był odpowiedni moment – odparła. – On też nie miał w życiu lekko. Trzeba być wyrozumiałym.



„Gdy raz do nas trafisz, zostaniesz już na dobre!”, głosi plakat w gablocie przy wejściu na cmentarz. Wyblakł od promieni padającego na niego w południe słońca, jeden z rogów się odkleił. Pod napisem widnieje zdjęcie przedstawiające centrum naszego miasteczka, zrobione w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych. Rozpoznaję automat z papierosami, który wisiał wówczas obok apteki: brązową blaszaną skrzynkę bez czytnika dowodu osobistego. Hasło ma dodać otuchy, zapewnić, że

ludzie nie wpadną w żadną nieznaną otchłań, a jeśli nie wierzą w Królestwo Niebieskie, to przynajmniej zostaną w miejscu, które znają najlepiej: w domu.

Ruszam ścieżką przecinającą cmentarz i kręcę się po nowej części, gdzie łąka jest wciąż prawie pusta, z wyjątkiem dwóch ściśniętych obok siebie grobów, które dopiero co obsadzono kwiatami. Na drzewie koło nagrobka po prawej ktoś powiesił na sznurku niczym świąteczne ozdoby stare płyty CD-R, a na ich lustrzanej stronie flamastrem narysował czaszki. Z daleka wydaje mi się, że pod spodem napisał: „Uwaga, truposze”, za chwilę udaje mi się przeczytać hasło: „Uwaga, trujące”. Chodzi o środek ochrony roślin, którym spryskano krzew.

Gdy w dzieciństwie odwiedzaliśmy nieznaną mi babcię, skakałam w białych rajstopkach po piaszczystych ścieżkach, z drzew spadały bukowe orzeszki, a dziadek wołał: „Nie biegaj!”, zdławionym głosem, bo nie wypadało krzyczeć. Zwalniałam, dostosowując krok do tempa dziadka i taty. Szli za mną, trzymając się pod rękę jak uczennice na długiej przerwie, dzięki czemu dziadek nie zbaczał z drogi. Powoli stawiali drobne kroki, na ich twarzach malowało się napięcie.

Grób mamy znajduje się kilka metrów od miejsca, które wówczas odwiedzaliśmy, a dziś jest zrównane z ziemią, tuż przy murze na granicy starej i nowej części cmentarza. Warstwa świeżego puchu pokrywa także kute elementy żelaznego płotu, spod niej wyrastają przebiśniegi. Gdy zmarła, tata polecił skremować jej ciało; „skremować”, zaraz po „zrównać z ziemią”, było drugim stwierdzeniem, które najmocniej utkwilo mi w pamięci.



Po Bożym Narodzeniu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku tata już nigdy nie zaproponował, by pójść do kościoła. Gdy usłyszał w wiadomościach o eksplozji, zamilkł i ściągnął usta, odwracając wzrok, jak gdyby ktoś mu coś zabrał. Najwyraźniej tylko utwierdził się w przekonaniu, że nie warto wychodzić z domu. „Czy zlekceważyła siłę wybuchu?”, brzmiał nazajutrz nagłówek w gazecie. Na początku zakładano, że doszło do eksplozji gazu, potem jednak lekarze medycyny sądowej dokonali rekonstrukcji zajścia. Cytowano wypowiedź policji: „Wszędzie jeszcze leżą fragmenty ciała, mięso poprzyklejało się do ścian”. W chwili, gdy tamtego wieczoru wierni zaintonowali pieśń *Cudowna różdżka wzrosła*, rozległ się huk w trzecim rzędzie od końca, gdzie kobieta usiadła obok dwóch sióstr, które, jak ujął to autor artykułu, „zabrała ze sobą na drugą stronę”. Pisał, że była owinięta chustą, a pod spodem miała owiązane wokół brzucha granaty „typu wschodnioeuropejskiego”. Nie wiadomo, skąd je wzięła; „Dostęp do broni palnej jest stosunkowo łatwy, ale w przypadku granatów ręcznych sprawa się komplikuje”. Autor artykułu relacjonował, że twarz kobiety trzeba było zrekonstruować, bo eksplozja rozerwała jej ciało na strzępy. W kościele zwróciła na siebie uwagę wiernych jako „nieznajoma”; dopiero gdy w gazecie opublikowano jej portret pamięciowy, zaczęli zgłaszać się ludzie, którzy ją znali.

Pochodziła z naszej miejscowości, rok przed zdarzeniem wyprowadziła się od męża i córki. Wiadomo było, że od dłuższego czasu miała problemy z psychiką, należało więc wykluczyć motywy polityczne. Prawdopodobnie chciała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, choć nie planowała zabić nikogo z wyjątkiem siebie samej. Czy

popchnęła ją do tego scena z filmu? Kilka dni wcześniej w telewizji leciał program o mężczyźnie, który uczynił dokładnie to samo. Jednak z uwagi na jej „niepodlegający dyskusji niezwykle stan psychiczny” było to czyste przypuszczenie.

Mieszkańcy dyskutowali jeszcze przez jakiś czas o szkodliwości pokazywania scen przemocy w filmie i telewizji – pożądanym temacie zastępczym; potem znów zeszło na historię jej życia, o którym nie wiadomo zbyt wiele. Mieszkała z mężem i dzieckiem przy ulicy niedaleko dworca. Jedna z sąsiadek stwierdziła, że zawsze była bardzo sympatyczna, „jednak później się zmieniła” – później, to znaczy krótko przed tym, jak rozstała się z mężem. Przestała mówić „dzień dobry”, omijała wszystkich wzrokiem, uparcie wpatrując się w ulicę. „Obcięła piękne blond włosy”, zauważyła sąsiadka, jakby to czegoś dowodziło. „Coś musiało się wydarzyć między nią a mężem”. Po rozstaniu przeprowadziła się do miejscowości obok i rozpoczęła terapię u psychologa; w swoim mieszkaniu nigdy nie otwierała okiennic i rzadko kiedy wyściubiała nos za drzwi. Opiekowała się sąsiadem, mężczyzną w podeszłym wieku, i wychodziła z domu tylko po to, by zrobić zakupy dla niego i dla siebie. Po jego śmierci wprowadziła się z powrotem do męża, może chciała dać mu jeszcze szansę, jednak coś zmieniło się nieodwracalnie – jej powrót sprawił, że brama w ogrodzie i ziemia, na której stał dom, wydawały się jakby inne. „Teraz możemy zastanawiać się w nieskończoność – stwierdziła sąsiadka – ale miała w sobie coś wzbudzającego grozę”.



Ostatni wierny zajął miejsce i pastor rozpoczął kazanie.

– W te święta Narodzenia Pańskiego – powiedział – chcemy zastanowić się zwłaszcza nad tym, co możemy zrobić tutaj dla swojej społeczności. Boże Narodzenie to czas radości, przyszedł na świat nasz Zbawiciel. Tą radością musimy się dzielić, musimy wypełnić naszą miejscowość. Zaśpiewajmy wspólnie pieśń. Otwórzmy śpiewnik na pieśni numer trzydzieści.

Wierni w ławkach zaczęli przerzucać strony, po czym chór zaintonował:

– *Cudowna róż...*



– „Tak jak to jest we wszystkich zgromadzeniach świętych, kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć; nie dozwala się im bowiem mówić, lecz mają być poddane, jak to Prawo nakazuje”.

Sąsiadka na spotkaniu grupy domowej cytowała fragment Biblii. Kobieta miała w nim uczestniczyć, siedząc na końcu stołu. Tak jak pozostałe zgromadzone pochylała się nad swoim wydaniem Pisma Świętego.

– Jak waszym zdaniem należy rozumieć ten fragment? Jak w dzisiejszych czasach żyć według tych słów? – zapytała sąsiadka.

Zapadła cisza.

– Być może... – odezwała się ponownie, przerywając milczenie. Na chwilę się zawahała. – Być może... to, co tu robimy, jest najwłaściwsze. Powinnyśmy zajmować się Pismem, ale nie szkodzić jego doktrynie. Dalej jest też napisane, że kiedy naprawdę czegoś nie wiemy, należy

zwrócić się do mężczyzn. I, no cóż, tu właśnie chciałabym zaznaczyć, że już nie musimy tego robić – przecież mamy siebie!

Wszystkie wybuchnęły śmiechem, a po twarzy kobiety, która kilka miesięcy później miała uciszyć śpiew w środku ogłaszania dobrej nowiny, przemknął ironiczny uśmieszek.

– Zgadza się – przyznała. – Właściwie to nie możemy narzekać.



Mama zainicjowała poważną rozmowę tylko raz, gdy przyszedł do nas ze szkoły już drugi niebieski list.

– Musimy porozmawiać – stwierdziła i przysiadła się do mnie na łóżku.

Nigdy jeszcze nie mówiła o żadnym problemie w sposób tak bezpośredni. Spojrzała mi krótko w oczy, po czym ciągnęła dalej.

– Czy jesteś pewna, że chcesz zostać w tym gimnazjum?

– Mam zmienić szkołę? – zdziwiłam się.

– Nie idzie ci przecież zbyt dobrze. Może to nie miejsce dla ciebie – powiedziała cicho.

Opadłam na łóżko, mama zrobiła to samo. Obie wpatrywałyśmy się w sufit.

– Mogłabyś pójść do szkoły zbiorczej – dodała.

Nigdy sama o tym nie myślałam. Widziałam, jak ludzie odchodzą z naszego gimnazjum: jedni dobrowolnie zgadzali się na przeniesienie do niższej w hierarchii szkoły realnej, drudzy szli do innych gimnazjów, bo ich

rodzice nie byli zadowoleni z pracy działających tutaj stowarzyszeń albo z tego, że często odwoływano lekcje. Pomyślałam o panu Kaiserze i jego słowach o „odsiewie”. „Zostanę w tej szkole. Nie będę powtarzać klasy”, postanowienie to stało się moją mantrą – choć nie wiedziałam, jak zabrać się do jego realizacji – i nabrało ostatnio charakteru modlitwy odmawianej w obliczu niebezpieczeństwa. Nigdy nie przyszło mi do głowy zmieniać szkołę. Leżąc tak z łopatkami w zagłębieniach materaca, który przez lata dopasował się do mojego ciała, wyobraziłam sobie, jak idę przez nowe korytarze, stoję przed obcymi dziećmi, obok nauczyciela z taką samą lwią zmarszczką, jaką miał pan Kaiser, a on wskazuje na mnie palcem, przedstawia jako nową uczennicę, jako kogoś, kto nie poradził sobie gdzie indziej. Byłam przekonana, że należy zostać w tym samym miejscu. Tak było bezpieczniej.

– Nie – odparłam wreszcie. – Dam radę.



– Wcale tego nie chciałaś – stwierdziła później mama. Rozmawialiśmy o tym, że miałam wtedy możliwość zmiany szkoły.

– Oczywiście, że nie chciałam, przecież nie znałam innego scenariusza – odparłam.

Mama zamilkła. Spojrzała na drzewa za oknem i wzruszyła ramionami.



Niezależnie od tego, w jaki sposób się odchodzi, w naszej miejscowości zawsze panuje cisza. W nagich gałęziach

szumi wiatr. Przed murami cmentarza samochody skręcają w stronę autostrady, a w tle falują góry. Kiedyś wydawało mi się, że istnieją dwie możliwości: wysadzić się w powietrze albo odejść zupełnie po cichu, nie gasząc za sobą światła.

Na krótko przed wyprowadzką moje ciało wypełnił bliżej nieokreślony ból. Nie potrafiłam stwierdzić, czy jego źródło tkwi głęboko we mnie, czy może pada na mnie z zewnątrz, z góry, niczym światło ultrafioletowe, niefiltrowane przez warstwę ozonową. Próbowałam odwrócić od niego uwagę, robiąc zdjęcia wszystkiemu dookoła i za każdym razem przy naciskaniu spustu migawki liczyłam na to, że miejscowość się zmieni. Mój aparat nie był jednak magicznym plástiskopem; nie wystarczyło jedno kliknięcie, by coś zniknęło. Coraz bardziej zapadały mi w pamięć nieruchome obrazy z ostatnich dni:

Centrum miejscowości latem o tej porze, gdy błękitna godzina faktycznie trwa kilkadziesiąt minut. W Rewe pałą się światła, na przejściu włączyło się zielone. Ulica wiję się w moim kierunku, stoję na zakręcie. Mężczyzna w jasnej koszuli zbliża się do wejścia z siatką wypełnioną butelkami zwrotnymi.

Jeden z ostatnich automatów z gumą do żucia, zawieszony na ścianie budynku. W środku przeterminowane, wyblakłe od słońca słodycze. Okiennice w domu są zamknięte.

Światła zbliżającego się autobusu, rzucające z daleka słaby blask. Odbijają się w asfalcie jak na mokrej

powierzchni, mimo że nie padało. Kierowca otwiera drzwi, ale nie wsiadam.

Wyłączony z ruchu most.

Ulica prowadząca do domu, na jej końcu wzgórze, a dalej rzeka, której nie widać.

Dom uchwycony z boku, wystający okap dachu. Zasadzone obok wątłe drzewka, które przekwitły i wypuściły pojedyncze ciemnozielone liście. Kilka metrów dalej fale na rzece uderzające o głązy.

Rowerzysta skręca, jedzie środkiem ulicy i widzi, jak w wykroku stoję na skrzyżowaniu z aparatem przy twarzy. Podnosi z kierownicy lewą rękę i śmiejąc się, energicznie do mnie macha; naciskam spust migawki. Jego ramię zastyga jako rozmazany cień. Odsuwam aparat od oczu i odmachuję, unosząc kciuk do góry i dając w ten sposób znać, że zdjęcie się udało.

Ulica Sophii. W domu jest ciemno, biel fasady blade lśni w mroku, czerwień ościeżnic okiennych wygląda na lekko poszarzałą.



Koło mnie zatrzymał się samochód i pasażer opuścił szybę. W środku zobaczyłam twarze chłopaków z sąsiedztwa, które w ciemności kabiny świeciły niczym księżyce.

– Podwieźć cię? Na grilla do Pikki?

Potrząsnęłam głową, powiedziałam „cześć”, odpowiedziałam „nie, dzięki”, zapytana po raz kolejny jeszcze raz potrząsnęłam głową i machnęłam ręką na znak, że nie wybieram się tam.

– Idę tylko na dworzec.

Dźwięki przycichły niczym popsuta kasetka, jak wtedy, gdy siedziałam na podłodze i słuchałam nagranych słówek, naciskając klawisz tylko do połowy. Z głośnika rozlegał się wówczas przytłumiony głos, który brzmiał jak spod wody.

– Podwieźć cię? Do Pikki...

– Nie, idę...

Wzruszyli ramionami, wciąż nie rozumiejąc, jak mogę się tam nie wybierać. Nawet nie wiedziałam, że Pikka robi imprezę.

– Okej, to do zobaczenia za chwilę, na razie! – zawołali, a na ich księżycowych ustach pojawił się szeroki uśmiech.

Pasażer zakręcił korbką i zamknął okno. Kątem oka widziałam, jak kierowca uruchamia silnik i dodaje gazu. Z rury wydechowej wydobył się stukot i pojazd nie ruszył z miejsca.

W moim nowym domu pachniało tanim płynem do prania. Już na schodach było czuć zapach tej fioletowej mazi, która zdawała się spływać po poręczy za każdym razem, gdy tylko przekraczałam próg budynku. Każdego ranka znajdowałam przyczepioną do framugi drzwi nową karteczkę; zaskoczył mnie ten sposób komunikacji. Nikt nie usuwał chwastów ze szczelin między szerokimi płytami chodnikowymi. Na niebie widać było inne gwiazdozbiory. Wielki Wóz wypatrzyłam gdzie indziej, obrócony o czterdzieści pięć stopni. Ulic nie pokrywały warstwy soli kuchennej, nikt w pobliżu nie palił odpadów i spokoju nie zakłócał żaden dźwięk, z wyjątkiem pojedynczych karetek mijających mój dom, a także pisku i trzasków przetaczających się tramwajów, które zjeżdżały do pobliskiej zajezdni. Kilka kilometrów poza strefą budynków mieszkalnych w oddali widać było dwa kominy elektrowni węglowej, to wszystko. Przez miasto nie przepływała jedna duża rzeka, tylko kilka mniejszych, zarośniętych strumieni, które latem prawie całkowicie wysychały.

Mimo że wszędzie miałam blisko, wciąż doliczałam godzinę na dojazd i nawet najkrótsze odległości pokonywałam tramwajem. Następnie przez czterdzieści pięć minut, które zostały do rozpoczęcia wykładu, chodziłam w kółko po kampusie, przesuwając wzrokiem po

wykończeniu jedyne go znajdującego się na nim wieżowca; tu i ówdzie poodpadały płytki, które odłoniły piankowy klej, i rozbite leżały na placu, gdzie studenci codziennie przyjeżdżali na rowerach.

Wszyscy dookoła zdawali się brać za oczywiste, że uczelnia pochłoneła ich bez reszty, a z dzieciaków piszących maturę stali się młodymi dorosłymi w zaledwie kilka letnich miesięcy. Chyba że tacy byli już od zawsze i nigdy nie wymieniali się pisakami, nie musieli wyrzucać piórników z myszką Diddl, usuwać z plecaka przypinek z postaciami z mangi albo gotyckimi motywami, bo nie przeszli żadnego z tych etapów i od zawsze nosili dobierańce, a w uszach perły, podkreślając całość pastelowymi kolorami. Dziewczyny skocznym krokiem schodziły w dół auli, przytrzymując poły rozpiętych sweterków rozwianych w powietrzu, które zdawało się przed nimi otwierać. Połowa studentów planowała karierę nauczyciela. Odłożyłam długopis w zagłębieniu na czarnym składanym stoliku, jak to sobie wymarzyłam, ale coś było nie tak. Asystent profesora włączał monitor na pulpicie i ustawiał ostrość obrazu. Kładł zadrukowaną kartkę na szklanej płycie nad aparatem, po czym obracał się i podnosił wzrok: rzucany na ścianę obraz był ostry, ale zanim zdążyłam cokolwiek przeczytać, ściągnął kartkę z powrotem i usiadł w pierwszym rzędzie. Na ekranie było teraz widać zarys otworów różnej wielkości na białym suficie auli.

Za profesorem, który spóźniony nieco ponad akademicki kwadrans, w pośpiechu schodził po niskich stopniach w stronę pulpitu, w auli pojawił się jeszcze jeden student. Rozpoznałam go, bo kilka zajęć mieliśmy razem. Łapał powietrze i wycierał pot z czoła. Większość miejsc była zajęta, ale koło mnie jedno zostało wolne; usiadłam

blisko przejścia na wypadek, gdybym w ciągu najbliższych dziewięćdziesięciu minut musiała opuścić aulę. Ludzie obchodzili mój rząd szerokim łukiem i siadali tak, by nie musieli przeciskać się do wyjścia. Profesor rozpoczął wykład.

– Tak jak mówiliśmy już na ostatnich zajęciach...

Zaczął majstrować przy mikrofonie, z głośników popłynęły ciche trzaski. Lukas podszedł do mnie, wskazał pytająco na wolne miejsce. Przytaknęłam i wstałam, by mógł przejść.

Źle akcentowałam słowo „dydaktyka”; nie mogłam zapamiętać poprawnej wymowy i nie wiedziałam nawet, co znaczy to słowo, po prostu powtarzałam je za innymi. Każdego, kto prowadził zajęcia, nazywałam „profesorem” i przestałam dopiero wtedy, gdy usłyszałam, jak asystent mówi do jednego z nich „panie doktorze”.

W ostatnim tygodniu szkoły moja sąsiadka z ławki stwierdziła:

– Z takim wynikiem z matury powinnaś przecież iść na prawo albo jakiś inny równie oblegany kierunek. Inaczej wszystko pójdzie na marne!

– To nie dla mnie – odparłam wówczas.

Potrząsnęła głową, nie rozumiała mojej decyzji. Nareszcie uzyskałam ów wymarzony bilet wstępu i chciałam z niego skorzystać, ale nie wpadłam na pomysł, by s t a ć s i ę k i m ś. Złożyłam papiery na studia przede wszystkim dlatego, że obiecałam to dyrektorowi szkoły. Wydawało mi się to konsekwentnym posunięciem, kontynuacja nauki była wpisana w moją naturę. Gdybym miała zachorować na demencję i w wieku osiemdziesięciu lat o świecie błądzić po ulicach, taki właśnie byłby mój cel: „Muszę iść do szkoły”.

– Wiesz, o co zapytała mnie młodsza siostra?

Moja sąsiadka z ławki wybuchnęła śmiechem.

– Zapytała, kiedy odbędzie się uroczysta imadrakulacja. Moja imad r a k u l a cja! Czy to nie urocze?

Kiwnęłam głową i roześmiałam się razem z nią, choć nie zrozumiałam żartu.



Mój tydzień różnił się od tego z czasów szkolnych. Po między zajęciami miałam długie okienka, a środy wolne. Kontury moich dni rozmyły się, zlały się ze sobą; myślałam, że od teraz muszę wszystko robić inaczej. Moje dotychczasowe strategie przestały być skuteczne, mimo że zaprowadziły mnie na sale wykładowe. Przestałam spisywać listy zadań i notować w kalendarzu. Nie doczytywałam żadnego z tekstów do końca, najpóźniej po dwóch stronach wyglądałam za okno, gdzie nie dostrzegałam nieba i linii wysokiego napięcia, tylko przydomowe ogródki obcych ludzi. Niczego nie podkreślałam. Byłam głodna, ale nie czułam głodu, byłam spragniona, ale nie czułam pragnienia. Co jeszcze kilka miesięcy temu piłam każdego ranka, kawę czy herbatę? Myłam twarz na początku czy na samym końcu? Czy faktycznie każdego dnia wstawałam o piątej trzydzieści? Gdzie stało moje łóżko, przy której ścianie, w którą stronę świata zwrócone, na którym boku najchętniej leżałam? Teraz w moim pokoju nieustannie słychać było stukot drzwi wejściowych, z grubego drewna, które otwierały się z trudem i same zamykały. Mieszkałam w dużym, wielopiętrowym domu z trzema mieszkaniem na każdym piętrze; połowę z nich wynajmowali studenci i tam też impreza

goniła imprezę, więc przez całą noc ktoś wchodził i wychodził. „Teraz jesteś tutaj”, powtarzałam sobie w duchu, gdy chodziłam po kampusie i próbowałam skupić się na oddechu, ustalając, jakie jest tu powietrze i czym różni się od tego, do którego przywykłam; starałam się obserwować pozostałych i się do nich dostosować. Poza studentami kierunków nauczycielskich nikt nie nosił plecaków, więc pozbyłam się swojego z czasów szkolnych. Umieściłam ofertę na tablicy ogłoszeń i sprzedawałam go młodej matce. Wszystko było niezobowiązujące, na luzie, zniknął rygor instytucji oświatowych, studenci siadali po turecku na podłodze i skręcali papierosy, nie pisali już piórem – choć w gimnazjum kładziono na to nacisk: „Porządnie, piórem!”, powtarzali nauczyciele – lecz sami używali reklamowych długopisów, które przy wejściu rozdawali zmarznęci ekoaktywiści w zielonych kurtkach. Nosili materiałowe torby z pobliskiego supermarketu i w łazience napełniali wodą butelki po lemoniadzie. Byli to synowie i córki z dobrych domów, dzieci przywódców ruchów studenckich z sześćdziesiątego ósmego roku; po rodzicach odziedziczyli stare naszywki z napisem „Energia atomowa? Nie, dziękuję”, a wraz z nimi akademicką ogładę. Przyjaźnili się z Radą Studencką i udzielali się w niej, co – doskonale zdawali sobie z tego sprawę – zapewniało im od razu wpis do cv. Naśladowałam ich swobodny sposób bycia, nie biorąc niczego na poważnie i wyrzucając kserówki z tekstami, gdy tylko skończyły się zajęcia, zamiast – jak w czasach maturalnych – wpiąć je do starannie opisanych teczek. Notatki przechowywałam w papierowych segregatorach na dokumenty; w przeciwieństwie do foliowych skoroszytów wydawały mi się przejawem nonszalancji i jednocześnie dorosłości,

okazały się jednak zbyt szerokie na materiałową torbę i rozpadły się już po kilku tygodniach. Nie oddawałam prac, nie wygłaszałam referatów, o ile nie musiałam, ignorowałam zalecenia lektur i ponownie przywykłam do nierobienia niczego poza tym, co naprawdę konieczne.

W rozmowie przez telefon wyznałam tacie, że specjalnie się nie wysiłam i dałam mu do zrozumienia, że trochę mnie to niepokoi.

– To co takiego jeszcze robisz poza tym? – zapytał.

Starałam się odpowiedzieć poprawnie także i na to pytanie, ale sama nie byłam pewna, na czym mijają mi dni. Poza studiowaniem głównie spałam, przesiadywałam beczynnie w pokoju, zgodnie z myślą, że „lepiej oddać się nicnierobieniu”. Nie interesowały mnie żadne praktyki ani wyjazd na semestr za granicę, bo nikt tego nie wymagał, nawet obecność nie była obowiązkowa, więc nie chodziłam na połowę zajęć. Inni mówili o „zdobywaniu doświadczenia”, odnosząc się do stojącego za tym metafizycznego systemu, który był dla mnie niezrozumiały. Moje próby przyswojenia go sobie wypadały komicznie, jak brodzenie w za dużych butach w ich pojęciowym sosie.

Któregoś razu podczas przygotowywania prezentacji Lukas nagle zaczął mówić o „pracodawcy”, konkretnie i z poważną miną; zdążył już poznać jego wymagania.

– Doświadczenie zdobyte za granicą nie może być przypadkowe. Jeśli każdego lata pracujesz w Australii przy winobraniu, a studiujesz komunikację społeczną, to jednak zapyta, co to ma być, no ale taka jednorazowa akcja jest dopuszczalna, wówczas pracodawca widzi, że masz szerokie zainteresowania, nie boisz się pracować fizycznie i potrafisz wczuć w sytuację innych. To też wzbogaca, możesz się wtedy przekonać, co jest w życiu

ważne, to już samo w sobie jest doświadczeniem: stać na zboczu, w ziemi, w pierwszych promieniach słońca, pracować rękoma – rękoma...

Dla podkreślenia swojej wypowiedzi zacisnął lekko pięści. Następnie mówił o lecie w zeszłym roku. Wszyscy po kolei zaczęli opowiadać o swoich podróżach pociągami po Europie; a ja milczałam, mając w pamięci zdjęcie rowerzysty, który mi pomachał, i wychudzonego mężczyzny przed dworcem, który, gdy widziałam go ostatnim razem, solidarnie postukał się w pierś, choć nie wiem, co chciał przez to wyrazić.

Wspominałam o tym tacie, chcąc zamanifestować luz, tak naprawdę jednak kierował mną strach. Obranie takiej strategii miało mnie uchronić przed porażką i objaśnić jej przyczynę. Tak czy inaczej, osiągnęłam wszystko. Wykładowcy nie wywoływali już nikogo do odpowiedzi. Kto nie znał mojego imienia, nie rozmawiał ze mną, a zdradzałam je tylko w rzadkich przypadkach. Mogłam zniknąć i jednocześnie nie nadążałam, mimo zdobytej na nowo uwalniającej anonimowości, jak gdybym była obecna tylko ciałem, a duchem tkwiła w rodzinnych stronach, krótko po egzaminach końcowych.

W nowym domu w korytarzu nie trzeba było wyłączać światła. Gasło automatycznie, gdy za długo stałam przed drzwiami mieszkania, rozkładając w dłoni pęk kluczy w poszukiwaniu tego właściwego.



Pierwszy śnieg spadł zdecydowanie za wcześnie, w październiku tuż na początku semestru, gdy drzewa wciąż były pokryte pomarańczowymi i czerwonymi liśćmi.

Ucięłam sobie drzemkę, która przeciągnęła się aż do popołudnia. Gdy się obudziłam, koc wydawał się cięższy niż zwykle. Za oknem powoli zapadał zmrok. Przypomniałam sobie o imprezie dla studentów pierwszego roku, na której miało być darmowe piwo. Przez chwilę walczyłam z pokusą, by zostać w łóżku i poddać się ogarniającej senności. Wysunęłam jednak spod koca najpierw jedną, a potem drugą nogę i poczułam na łydkach zimne powietrze.

W drodze na imprezę na czoło spadły mi zimne krople. Klub był już pełen studentów w mokrych płaszczach, przez grube zasłony przy drzwiach wchodzili kolejni z zaparowanymi okularami; zdejmowali je i wybuchali śmiechem. „Tak wcześnie w tym roku...!”, słyszałam wzajemne nawoływania, gdy zdejmowali szaliki. Ruszyłam w stronę baru, gdzie ustawiła się już kolejka. Nieco dalej dostrzegłam Lukasa. Obrócił się i na mój widok uniósł dwa palce.

– Piwko? – zapytał nad tłumem. Kiwnęłam głową, podeszłam do niego i dałam znać, że poszukam dla nas miejsca. Niedaleko baru znalazłam wolną ławkę. Po chwili pojawił się z dwoma kufkami piwa. Wzniesiliśmy toast, szkło zabrzęczało głucho.

– Masz ładny uśmiech – rzucił zupełnie niespodziewanie.

Udałam, że nie rozumiem podtekstu, ale jego komplement sprawił, że się rozpromieniłam.



Następnego dnia na pierwszych zajęciach usiadł w ostatnim rzędzie. Pomachaliśmy do siebie. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że już na początku semestru jest tu ktoś,

z kim wczoraj się przespałam. Ktoś, kto wie, jak dobrze wyglądać w koszuli i wprawnymi ruchami rozpina spinki w mankietach, żeby podwinąć rękawy. Chłopak w eleganckich butach o wypolerowanych czubkach.

Gdy podzieliliśmy się na grupy, musiałam się przedstawić, choć zazwyczaj udawało mi się zataić swoje imię. Referat wygłaszaliśmy w trójkę. Nasze nazwiska pojawiły się na ostatnim slajdzie prezentacji w PowerPoint, a ja pierwszy raz użyłam swojego tajemnego imienia, imienia c i a p a t e j; nawet Sophia i Pikka dostali zakaz mówienia go na głos. Teraz jednak chciałam zacząć od nowa, zmierzyć się z nim i pokazać je na ścianie, zapisane czcionką bez szeryfów, w rozmiarze osiemnaście.

– Widzę, że mamy gości z zagranicy – powiedziała profesorka.

Spojrzałyśmy na siebie z jedyną dziewczyną z wymiany w mojej grupie, Norweżką o imieniu Andrea.

Zajęcia dobiegły końca. Nastąpiło poruszenie i rozległo się szuranie krzeseł, a profesorka zawołała:

– Wszyscy studenci z Erasmusa, proszę do mnie!

Andrea wraz z kilkorgiem obcokrajowców ruszyła w jej stronę.

– Proszę do mnie!

Pomiędzy głowami machała ręką i raz po raz spoglądała w moją stronę.

– Erasmus! – powtórzyła bardzo wyraźnie i wskazała miejsce na podłodze obok siebie.

Obróciłam się, zarzuciłam na ramię materiałową torbę i wyszłam z sali.



Tak jak w przypadku babci moje oficjalne imię było hasłem. Hasło to otwierało wiele drzwi i oszczędzało określeń typu „koleżanka z zagranicy”, a także całej reszty pomijanej milczeniem, wszystkich ataków, jakich mogłam paść ofiarą, gdyby mama nie zakrywała ust, wypowiadając moje tajemne imię. Używanie go nagle wydało mi się zdradą wobec mamy, która tak pracowicie wznosiła wokół mnie mur ochronny i już w pierwszych sekundach po moich narodzinach liczyła na to, że w ten sposób będę miała w życiu łatwiej. Posługując się jedynie oficjalnym imieniem, zdradzałam jednak wszystkich tych, którzy nie mieli wyboru i musieli przy każdej okazji literować swoje nieniemieckie imiona, znosząc kręcących nosami urzędników. Poza tym jednak to tajemne wydawało mi się p r a w d z i w e; rezygnacja z niego oznaczała także zdradę samej siebie, wygodne kłamstwo, odłączenie jakiejś części swojej osoby.



W kolejnych miesiącach przestał padać śnieg. W grudniu nadciągnął zimny front z północy i zmroził wszystko na swojej drodze. Powietrze było suche, więc na chodnikach nie utworzyła się gołoledź; każdej nocy bezchmurne niebo pokrywały gwiazdy.

– Widzisz Wielki Wóz? – zapytałam Lukasa.

Staliśmy przy wejściu do parku nieopodal uczelni.

– Nie, ale tam jest Kasjopeja... – odpowiedział, wskazując na inne miejsce na niebie.

Wyglądało na to, że Kasjopeja była tu dla ludzi najważniejszym gwiazdozbiorem; jako dziecko go nie znałam, bo nasza miejscowość leżała bardziej na południe,

a może wynikało to z zanieczyszczenia światłami parku przemysłowego. Nie miałam pojęcia, gdzie szukać Kasjopei, jak w ogóle wygląda, a pół godziny później, na kolejnym skrzyżowaniu, zapomniałam, po czym ją rozpoznać.

Ruszyliśmy przez park w stronę tramwaju, którym mieliśmy pojechać do niego. Była siedemnasta, ludzie po pracy stali w ciemnościach na przystanku, twarze mieli omotane szalikami, a na oczy zsuwały się im głęboko wciśnięte czapki z futrem.

Chybotliwą windą powoli wjechaliśmy na piąte piętro, gdzie mieszkał Lukas.

– To mi przypomina sale wykładowe – powiedział, wskazując na sufit w kabinie.

Za białym pleksi wisiała płaska jarzeniówka z metalową płytą i otworami różnej wielkości.

– Tylko na odwrót – stwierdziłam.

– To prawda – przyznał mi rację i uśmiechnął się, jak gdybyśmy dokonali wyjątkowego odkrycia.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że prawie każdy dwudziestoparoletni mężczyzna, który ma o sobie wysokie mniemanie, śpi na materacu bezpośrednio na podłodze; każdy jako popielniczki używa słoika po dżemie i obowiązkowo ma gramofon, rozrzuca ubrania na podłodze, a gdy chce stworzyć romantyczny nastrój, rozstawia między nimi świeczki, których rozgrzane aluminiowe blaszki zostawiają na parkiecie ciemne plamy. Żaden z nich nie wietrzy pokoju, a zapach wypalonych świeczek połączony ze zwietrzałym dymem ręcznie skręcanych papierosów wypełnia całą przestrzeń i przenika kołdry. Leżałam pod jedną z nich; przykryłam nią gołe ramiona, zastanawiając się, ile dziewczyn przede mną zostawiło na niej swój złuszczony naskórek.

– Z matmy miałem same dwóje, a czasem zdarzył się i niedostateczny – powiedział i zachichotał pyszałkowato, po czym spuścił wzrok na dłonie złożone na pościeli. – Ale też nigdy nie byłem zbyt pilny.

Spojrzał mi w oczy, jak gdyby zdradził jakiś sekret.

– A ja wręcz przeciwnie, bardzo się starałam i jestem z tego dumna – odparłam.

– Pff – wypuścił głośno powietrze jak ktoś, kto jest ponad to.

Gdyby bardziej się postarał, wszyscy wypadliby na jego tle blado, co do tego nie miał wątpliwości; po prostu nigdy nie było takiej potrzeby

– Nie stałaś się przez to częścią establishmentu, przez maturę, i tak dalej? – zapytał.

– A ty?

– Ja się nikomu nie podlizywałem.



Spojrzałam w niebo. Wargi miałam przygryzione i pocierane, skórę napiętą obco na kościach; dopiero trzy warstwy ubrań sprawiły, że przestałam drzeć z zimna, choć mimo to czułam przeszywający mróz napierający na moje ciało, przeraźliwy i obcy. Znów szukałam Wielkiego Wozu. Czułam wciąż obecność Lukasa, mimo że został w pokoju; nie obudziły go kroki stawiane bosymi stopami na drewnianym parkiecie, kran odkręcany w malutkiej łazience, by zmyć z twarzy jego ślinę, i stuknięcie zamykających się za mną drzwi.

– Trzy miesiące wolnego, ty to masz dobrze – powiedział przez telefon tata.

– No, nie do końca wolnego, muszę napisać prace semestralne i zrobić jeszcze kilka innych rzeczy.

Siedziałam przy biurku, przyciskałam słuchawkę do ucha i z pękatego kieliszka piłam wino. Zadzwonić do taty odważyłam się dopiero po drugim kieliszku. Nie zorientowałam się, że gadaliśmy już z godzinę, a on wielokrotnie próbował zakończyć rozmowę. W trakcie bazarowałam w notatniku, od czasu do czasu szłam do łazienki; czułam, że zeszło ze mnie całe napięcie, a dźwiganie go było ogromnym wysiłkiem dla kręgosłupa. Wyrzałam za stare podwójne okna. Między szybami zbierała się wilgoć, a za nimi rosły lipy i biegła główna ulica. Nie przywykłam do jej hałasu, do biegnących tędy torów. W niedzielę powoli przejeżdżał obok tramwaj, w którym nie było żywej duszy; w wagonach światło padało na puste siedzenia.

– A co to za inne rzeczy? – zapytał.

Za każdym razem, gdy rozlegał się sygnał rozładowania baterii, na chwilę zapadała cisza. Rzuciłam się na łóżko, już półprzytomna, z czerwonymi od wina kącikami ust.



W mojej głowie pojawił się głos.

– Tylko dlatego, że się pani udało, pani A., pani A., pani A. – mówił.

Z każdym „A” zgrzytał coraz bardziej, niczym powoli zamykające się drzwi, i znów zaczynał od początku, nabierając rozpędu, by wypowiedzieć moje imię do końca. Ile razy miałam jeszcze we śnie odbierać telefon i dowiadywać się, że moje świadectwa są nieważne? Zasiadać w szkolnej ławce niczym zastygła rzeźba i słyszeć śmiech innych, którzy robią wszystko po raz pierwszy, rozbawionych widokiem papierowych samolotów szybujących w powietrzu, zanim do klasy wejdzie nauczyciel?

W mojej głowie pojawił się głos. Był to pan Schiller, ostatni nauczyciel niemieckiego, który mówił:

– Jesteś już w takim wieku, że musisz przemóc się i zacząć mówić. Milczenie w twoim przypadku nie wchodzi już w grę. Teraz oznaczałoby, że specjalnie nie chcesz dzielić się z nikim swoją wiedzą.

Wzięłam sobie wtedy do serca wszystko, czego mnie nauczył. Pod koniec roku zabierałam głos niepytana.

– Jesteśmy już dorośli – ciągnął. – Zostało nas tak niewiele. To niepoważne.

Niewiele, bo w obawie przed jego wymaganiami większość zrezygnowała z zajęć. Ja jednak zostałam, dałam radę. Potrafił to docenić. Odzywałam się, nie podnosząc ręki, choć czasem przechodził mi przez nią dreszcz. Pan Schiller widział to i z lekkim uśmiechem spoglądał na moje palce, pod którymi marszczył się papier.

W mojej głowie pojawił się głos. Była to nauczycielka angielskiego, która pytała:

– Gdzie się tego nauczyłaś?

W wypracowaniach nie znalazła ani jednego błędu.

– I jeszcze piszesz tak starannie.

W mojej głowie pojawiło się więcej głosów. Nie byłam pewna, kto pytał:

– Dlaczego się nie broniłaś?

Głosy nie wiedzą, że wszystkiego nauczyłam się ze strachu. Nie broniłam się ze strachu (czego się bałam?). Nie było czasu na zastanawianie; odpowiedzi miały padać z moich ust jak na widok wymierzonej we mnie lufy pistoletu; uczyłam się w nieustannym strachu, ostrożnie, żeby nie wyjechać za linię na margines. Z marginesów patrzyłam na świat. Nie wystarczyło ukraść dokumenty i oddać ich kopie. Chciałam zbudować skrytkę, ale gdy doszłam do cegły, poddałam się; gdyby była wystarczająco duża, wypełniłabym ją aktami.

– Dlaczego się nie broniłaś?

Ich głosy brzmiały coraz bardziej rozpaczliwie, pojawiały się kolejne znaki zapytania, a ja chciałam wykrzyknąć, że od samego początku nie było żadnego Ja, które mogłoby się bronić, że nic nigdy ode mnie nie wyszło, wszystko zawsze na mnie spadało; moje życie definiowały struktury gramatyczne, które od początku nie przewidywały o b r o n y.

W głosach słyhać było teraz cień niezrozumienia; ci ludzie szukali we mnie podobieństwa do siebie samych, bo tak był skonstruowany ich świat: gdy mówili, słuchano ich, za wypowiedzi zawsze otrzymywali wzorowe cenzurki, które, niczym czerwono-białe dropsy sprzedawane w papierowych rożkach w piekarni obok, rozpuszczały się w buziach, kremowe, truskawkowe, język nigdy nie odpoczywał, bez przerwy uderzał o podniebienie. Nieustannie coś mówili, byle tylko mówić; między rzędami

krzesel, przy ustawionych na ukos stolikach, z konspektem w dłoni, złożonym do formatu A5, niczym osobowości wysokiej rangi. A kto jest wysokiej rangi, ma coś do powiedzenia na każdy temat.

Ostatni egzamin zdawałam z bycia nieustępliwą, a nie ze znajomości *Pod kołami* Hessego. Pytania nauczyciela spadały na mnie niczym podrzucony w powietrze żwir; mimo drżenia na całym ciele nie poddałam się, nie wyszłam z sali, nie wybuchnęłam płaczem tak jak kilka lat później, gdy przepytywano mnie z aktów mowy.



– Proszę podać przykład nieudanego aktu mowy – polecił profesor.

Siedzieliśmy w gabinecie. Ścianę za jego plecami wypełniały oprawione prace dyplomowe. Profesor ominął mnie wzrokiem.

– Przykładem nieudanego aktu mowy jest wypowiedź, która sygnalizuje zamiar wykonania czynności, ale, po pierwsze, odbywa się w nieodpowiednich okolicznościach. Gdybym podeszła do pana na środku ulicy, pokropiła panu głowę wodą i powiedziała: „Ja ciebie chrzczę!”, okoliczności byłyby nieodpowiednie, więc akt chrztu by się nie dokonał. Mój akt mowy by się nie udał.

Przez twarz profesora przemknął cień uśmiechu.

– Po drugie: nie mam możliwości nikogo ochrzcić, bo nie jestem pastorką. Z podobną sytuacją mielibyśmy do czynienia, gdybym na przykład przeprosiła za coś, czego nie zrobiłam.



– Dlaczego pani milczy? – grzmiał nauczyciel, coraz bardziej podnosząc głos. – DLACZEGO PANI MILCZY?



– Trzeba było zaprotestować.



Usłyszałam głos Pikki.

– Zawsze będzie coś, co trzyma cię na miejscu.

Kierowały nami jednak zupełnie inne motywacje. W jakim wieku zdecydowałam, że wyprowadzę się przy pierwszej okazji; że gdy tylko skończę szkołę, wyjadę co najmniej trzysta kilometrów stąd? Wówczas nie wiedziałam jeszcze, że będę odbijać się z jednej szkoły do drugiej i nie zostanie mi nic innego, jak przywyknąć do naszej miejscowości.



W mojej głowie pojawił się nieznajomy głos. Zamiast do mnie zwracał się do pana Kaisera.

– Jak mogło do tego dojść? – pytał. – Jak to dziecko mogło nie wpasować się w schemat?

Pan Kaiser być może zastosowałby analogię wykształcenia do domu: że moja piwnica to niestabilna kondygnacja i nie odlano prawidłowo fundamentów, więc nie dało się postawić na nich budynku. To przyczyna wszystkiego; w rzeczywistości jednak przestrzeń na operowanie

danymi liczbowymi w mojej piwnicy wypełniały spleśniałe ubranka dla lalek i stare łyżwy. Nieznany głos na tym nie poprzestał i powtórzył pytanie, tak jak wtedy, gdy ku przestrodze ukarał mnie, bo nie znałam odpowiedzi i milczałam, milczałam, milczałam:

– Nie wypuszczę was stąd.

Pytał:

– Jak to dziecko mogło nie wpasować się w schemat? Przecież to nie jego wina, że jest krzywdzone, że nie radzi sobie w systemie, którego twórcy z góry skazują je na niepowodzenie. Dla kogo jest ten bezpieczny schemat, a dla kogo wszystko to, co się w nim nie mieści?



To był głos nauczycielki, która przyszła do nas kiedyś na trzytygodniowe zastępstwo chorobowe:

– Co chciałybyś robić? Co ci leży?

– Chcę przerwać naukę – odparłam.

– Słucham...? – zapytała.

Widać było, że odpowiedź ją zszokowała.

– Musimy porozmawiać po lekcji – dodała.

Stałyśmy na korytarzu. Przez duże okna widać było ciąg gabinetów nauczycieli i aulę, w której zaczęła się próba orkiestry.

– Jesteś tego pewna? – spytała.

– Przemyślałam sprawę. Nic dobrego mnie tu już nie spotka.

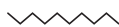
– I nikt nigdy nie próbował...

– Nie.

Chwila milczenia.

– Co chciałybyś w takim razie robić?

Użyła określenia „chciałabyś”, a nie „czy naprawdę chcesz”, nie krzyczała: „Czy naprawdę chcesz na zawsze pozostać tą dziwną dziewczyną z ostatniej ławki, skończyć w McDonalddie, sprzątać śmieci z trawnika przy autostradzie?”. Nie krzyczała: „Co takiego teraz zrobisz...”. Zamiast tylko postawić znak zapytania, dała mi przestrzeń, bym sama znalazła odpowiedź.



Siedziałam w gabinecie przepytwana przez profesora, a tak właściwie sama chciałam zapytać go: „Co to za akt mowy? Naprawdę coś teraz mówię? To jest egzamin czy może sama dokonuję właśnie zupełnie innego aktu? Czy spełniłam oczekiwania i dostanę ocenę? Nie uważa pan, że to wszystko jest nieznośne? Jak mam o tym mówić, tu, w pańskim gabinecie, w tych okolicznościach, przy tej członkini komisji, która słucha moich wywodów i robi notatki, odpowiadać na pytania sugestywne, w tych okolicznościach, które oznaczają coś innego niż pytania, które mi pan zadaje, w tej ciszy za podwójnymi drzwiami, na tym tapicerowanym krześle, w którym się zapadam?”. Chciałam powiedzieć to wszystko, ale nie wydobyłam z siebie ani słowa. W oczach pojawiły mi się łzy jak dziecku, które palnęło jakąś głupotę.



Po ostatnim egzaminie pan Schiller wyszedł z klasy, w której przesiedziałam ostatnie trzy lata. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do mnie.

– Dwanaście punktów – powiedział.

Chciałam zapytać, czy na pewno nie trzymaście; do wymarzonej średniej brakowało mi jednego punktu.

– Dwanaście? – zapytałam, krzyżując za plecami spoczone dłonie.

Pan Schiller się uśmiechnął. To była jego ostatnia pochwała.

– Zrobiłaś wszystko dobrze, tak jak cię tego nauczyłam – powiedział i kiwnął głową.

Brakowało tylko, by odrobiną popiołu namalował mi symbol na czole.

Trzymaście jest dla tych, którzy nigdy nie milczą, czternaście dla tych, którzy potrafią się wybronić, a piętnaście dla nauczyciela.



– Nic się nie stało, zrobimy krótką przerwę – powiedział profesor.

Zakłopotani siedzieliśmy w całkowitej ciszy. Nad nami czuwały oprawione w lniane okładki prace dyplomowe.

...tak jak wtedy, gdy nakrzyczał na mnie ostatni nauczyciel wuefu, bo podczas gry w badmintona trafiłam w siatkę. Lotka niczym zdechły ptak opadła na ziemię. Zaryczana uciekłam do szatni, a nauczyciel poszedł za mną i zaczął się bronić:

– Przecież to było zwykłe polecenie!

– Tak – odparłam. – Tak.

Nauczyciel zatrzymał się na moment, nastąpiła chwila ciszy. Ukryłam twarz w dłoniach i spomiędzy palców raz po raz łkałam:

– Przepraszam.



Musiałam zasnąć. Miałam wrażenie, że w półśnie ktoś głaszcze mnie po plecach i szyderczym tonem wymawia moje imię, „pani A., pani A...”; nieznany głos, który nie ma nic wspólnego ze stukaniem po drugiej stronie słuchawki.

– Poczekaj – wymamrotałam. – Poczekaj...

– A więc pilnie pani studiowała...

Mężczyzna się uśmiechnął. W biurze dominowała biel: białe regały, a na nich białe segregatory, wszystkie takie same – bez wyjątków – i białe biurko, za którym siedział na białym obrotowym krześle, ja naprzeciwko, a w rogu piętrzyły się świeżo wyprane białe nakładki na mopa. Nieustannie poruszał głową. Gdy weszłam do środka i podałam mu dłoń, w pierwszej chwili pomyślałam, że może źle się czuje albo jest zdenerwowany. Nie dostrzegłam jednak innych oznak słabości ani wzburzenia, więc uznałam to za chorobę nerwową lub jakiś tik. Jego głowa nie przestawała drgać, niby osadzona na luźnej śrubie i nieustannie wprawiana w ruch przez wibracje Ziemi.

– ...a teraz szuka pani zatrudnienia. Na okres letni, dobrze pamiętam?

Pewnego dnia po jednych z ostatnich zajęć zauważyłam ulotkę na tablicy ogłoszeń w dziale „Praca sezonowa”.

– Tak jest – odparłam.

– Właściwie to pani kwalifikacje są zbyt wysokie. Nigdy nie pracowała pani jako sprzątaczką... No, za bardzo nie ma o czym mówić. W liście motywacyjnym napisała pani, że cechuje panią sumienność. Jediną istotną kwestią jest zachowanie dyskrecji. Sprzątamy w kancelariach,

tam trzeba odkurzać akta i może mieć pani do czynienia z poufnymi informacjami. Nie wolno za bardzo patrzeć, co to za klienci.

Kiwnęłam głową.

„Poszukuję pracy sezonowej”. Tak napisałam, ale im dłużej patrzyłam na to słowo, tym mniej byłam pewna, że rozumiem jego znaczenie. W przypadku taty można było mówić o pracy. Tata pracował, gdy zakładał odzież roboczą, pakował rzeczy do torby, przed wschodem słońca ruszał schodami w dół, zanurzał blachę w kwasie; a na koniec widział efekty swojej pracy, czyli hartowaną stal do dalszej obróbki, półprodukt czekający na to, by zajęły się nim kolejne osoby.

– Gdzie ty chcesz p r a c o w a ć? – zapytał tata przez telefon. – Chcesz stanąć na ulicy i zbierać datki?

Nic nie zostało z jego wygłaszanych niegdyś co tydzień kazań na temat tego, bym „patrzyła, żeby mieć na chleb”. W jego oczach na nic były godziny spędzone w bibliotece na czytaniu; miałam wręcz wrażenie, że mu to na rękę, bo zostanie w domu, w swoich czterech ścianach, w bezpiecznej kryjówce, z dala od świata na zewnątrz.

– Komu to potrzebne? – zapytał, spoglądając na mój plan zajęć. – Można po tym tylko zostać na uczelni. Chcesz zostać profesorem?

Celowo przeciagnął to słowo, jak gdyby rozgniatł je językiem, p r e f e s o r e m.

– Daj spokój – mówił dalej. – Tam trzeba być bardzo ambitnym. Bardzo pilnym.

– A ja nie jestem pilna...? – odparłam.

Nie odpowiedział.

Nie miałam pojęcia, jak stawiać kolejne kroki w świecie, gdzie trzeba torować sobie drogę.

„Ilość miejsc na słońcu jest ograniczona”, zwykł powtarzać Lukas. Miał na myśli duże instytucje i przedsiębiorstwa.

– I co można robić potem? – pytał tata.

Wyczytałam stanowiska w tych firmach.

– Co to takiego? – dociekał.

Nie potrafiłam tego wyjaśnić. Od początku wychodziłam z założenia, że miejsca na słońcu są zarezerwowane dla bliżej nieokreślonych „innych”, o których zawsze mówił tata i którzy w różnych sytuacjach przybierali inną postać. Oni znali odpowiedź. Wiedzieli, gdzie iść na praktyki, jak podrasować cv i z podniesioną głową dążyć do określonego celu, podczas gdy ja zakładałam, że się jakoś prześlizgnę, od egzaminu do egzaminu, i ktoś mi kiedyś powie, co robić, ale nigdy do tego nie doszło. Skąd u pozostałych taka pewność siebie – było dla mnie zagadką.

– To nie zawód, z tego nie da się wyżyć – powtarzał tata.

Nastawiłam się więc na szukanie pracy, która nie wymaga kwalifikacji.

„Praca”, napisałam wtedy, i już to zdanie wydało mi się przekłamaniami. Napisałam „sumienność” i poczułam się jak hochsztaplerka.



Gdy przez szkołę wydłużyło się moje dzieciństwo, tata nie posiadał się z radości. Sama zaczęłam robić kanapki i zostawiać je na noc w lodówce, pakować torbę, co czwartek sznurować buty na wuef i chodzić wcześniej spać, w świetle nocnej lampki doczytując ostatni tekst w podręczniku do historii. Patrzył, jak pochylałam się nad

zeszytami przy biurku i zapominał o moim – a przy okazji i swoim – wieku. Wydawało mu się, że potrafi zatrzymać czas i że tak już będzie zawsze, bo chodzę do szkoły, jestem dzieckiem, które co pół roku dostaje świadectwo i uczy się z podręczników, nawet jeśli przestał rozumieć zawarte w nich treści. Więcej ode mnie nie oczekiwano.

Tata widział wyłącznie moją całkowitą bezbronność i nieśmiałość. Wszystkie plany dotyczące matury i pójścia na studia uznawał za mrzonki. Gdy tylko chodziło o coś tak namacalnego jak szukanie pracy, zaczynał objaśniać mi świat.

– Tak nie można – zaprotestował teraz, gdy opowiedziałam mu o rozmowie o pracę w firmie sprzątającej. – Należy nosić koszulę, czyste spodnie.

Następnie przez telefon odtworzył rozmowę.

– Czy ma p a n...? Czy m ó g ł b y pan...? Czy m o ż e chciałby pan...?

Zadając pytania, brzmiał jak petent w trakcie wizyt w urzędzie, gdy musiał wyrobić nowy dowód albo zapłacić mandat; „m o ż ż e”, jak aktor, któremu nie wychodzą ćwiczenia rozluźniające.



Przyszłam piętnaście minut przed czasem i czekałam przed zamkniętą bramą. Podjechał samochód, kierowca pomachał mi przez szybę.

– Dozorca zaraz otworzy – zawołał przez opuszczone do połowy okno. Brama się rozsunęła.

Ruszyłam za samochodem na podwórze; ceglany budynek porośnięty ozdobną winoroślą, wejście ze szkła, a dalej drewniana podłoga, lada z grubych desek,

dużego formatu obraz przedstawiający abstrakcyjne drzewa z rozmytych barwnych cieni. Mężczyzna wskazał mi drogę przez zawile korytarze, obok regałów na kółkach i wózków z kartonami, w których piętrzyły się akta. Zatrzymaliśmy się przed wąskimi drzwiami, które prowadziły do ciasnego pomieszczenia. Na metalowych regałach przy ścianach leżały ścierki i worki na śmieci, pod zlewem stał odkurzacz na czterech kółkach i wózek z pustymi wiadrami; wszystko na tak małej powierzchni, że gdy mężczyzna wskazał półkę z wolnym miejscem, gdzie miałam odstawić torbę, w rozkroku stanęłam na palcach, by do niej dosięgnąć.

– To dla pani. Proszę zobaczyć, czy pasuje – powiedział, podając mi białe polo zapakowane w folię, i wskazał na drzwi na ukos od pomieszczenia gospodarczego. Weszłam do pustego biura pełnego nieużywanych foteli i pojedynczych nóg od stołu. Założyłam polo na koszulkę, którą miałam już na sobie. Gdy stamtąd wyszłam, obok mężczyzny pojawiła się kobieta w ogrodniczkach.

– To pani Kirsch – powiedział.

Kobieta z uśmiechem wyciągnęła do mnie dłoń.

– Pani taka młoda! – stwierdziła.

Miała drobne, wąsko rozstawione oczy przypominające okrągłe perły i spoglądała przyjaźnie.



– Zaczynamy od biura szefa, bo on zawsze przychodzi bardzo wcześniej.

Ciągnęła za sobą odkurzacz, który zahaczył o framugę drzwi. Wyraźnie słychać było, że pani Kirsch mówi w dialekcie.

– Psiakość – przekłęta ukradkiem z szelmowskim uśmiechem. – Zróbmy tak: ty powierzchownie, ja podłogi. Potem możemy się zamienić, żeby było sprawiedliwie.

Biuro szefa było wysokim, prostokątnym pomieszczeniem. Po obu stronach część ściany zajmowała czarna tapicerka z miedzianymi guzikami; z jednej stało ciężkie mahoniowe biurko, a z drugiej dwa skórzane fotele i niski stolik ze szkła, na którym leżał album o zabytkowych szybowcach. Modele samolotów były umieszczone także na regałach i obok kodeksów. Jedną z półek zajmował fragment kokpitu z przyciskami; pomyślałam, że wystarczy uruchomić kilka kółek i przycisków i całe biuro wzniesie się w powietrze. Przesuwałam po ścianach ściereczką z mikrofazy i miotełką, przecierałam grzbiety i modele samolotów, wsuwałam szczotkę w kąty, by złapać pajęczyny, unosiłam przyciski do papieru i klawiaturę z biurka i odkurzałam oparcia krzesel w sali konferencyjnej.

– Pomalutku – zaleciła pani Kirsch, która przyglądała mi się z troską.

Gdy płynęłam do okien do połowy wyczyściłam szklany stół w sali konferencyjnej, przerwała mi pracę.

– Daj, ja dokończę – powiedziała i wyjęła mi z ręki ścierekę. – A ty możesz w tym czasie odkurzyć.

Nie wierzyła w to, że potrafię nie zostawić smug. Wprawnymi ruchami przesunęła srebrne tace, na których leżały serwetki oraz stały woda mineralna i małe szklanki, przemyła blat i ustawiła wszystko z powrotem, układając w półokręgu notesy i długopisy z nazwą kancelarii.



Zaczynali się schodzić pierwsi pracownicy. Podsuwali elektroniczne karty pod czytnik, podczas gdy ja polerowałam ladę w recepcji. Wszyscy byli ubrani normalnie, schludnie, ale nikt nie włożył garnituru. Jedna z pracownic miała nawet różowe włosy. Mogła być w moim wieku albo nawet młodsza. Weszłam z mokrą ścierką do jej gabinetu, a ona spojrzała na mnie i zawstydzona bez słowa wstała od biurka, bym mogła posprzątać. Z wprawą podniosłam zapisany papier z recyklingu z motywem korzeni drzewa, czekoladę i olejki eteryczne; pewnie wkrapiała je do lampy zapachowej w ciemne zimowe popołudnia, gdy odliczała czas do wyjścia do domu, a zapach eukaliptusa mieszał się z aromatem skórek mandarynki, które wyrzucałam teraz z jej śmietnika.

– Wrzuć do otwartego worka. Ten zawiązywany jest na poufne dokumenty do zniszczenia – powiedziała pani Kirsch, wyciągając mi z ręki siatkę, mimo że była to ta właściwa.

Wówczas atmosfera w biurze nagle uległa zmianie. Od wejścia rozbrzmiały kroki, cięższe i szybsze niż te stawiane przez pracowników. „Dzień dobry!”, zawołał ktoś niskim głosem i ludzie w gabinetach zaczęli w pośpiechu zbierać papiery, które studiowali wspólnie jeszcze przed chwilą; podrywali się niczym spłoszone gołębie i pędzili korytarzami ze spuszczoneymi głowami, odpowiadali „dzień dobry”, aby stworzyć pozory spokoju, jak uczniowie, którzy mają nadzieję, że nie zostaną wezwani do tablicy.

Pani Kirsch już miała popchnąć wózek z wiadrami, gdy w pośpiechu zaczęli wymijać ją pracownicy, jak jedną z szafek z kartoteką zagradzającą drogę, podczas gdy

jeszcze przed chwilą uprzejmie witali się i zagadywali do niej.

– Szeﬀ – szepnęła i spojrzała na mnie ostrzegawczo małymi oczkami. Skinęłam głową, w dłoni trzymałam białą ściereczkę z mikroﬀazy, która powoli rozmiękczała mi opuszki palców. – Chodźmy na kawę.

W kuchni nacisnęła na dźwignię ekspresu i napełniła dwie filiżanki. W pomieszczeniu stał długi stół, tak szeroki, że musiałam pochylić się nad nim całym ciałem, żeby dosięgnąć ściereczką do jego środka. Pani Kirsch zamknęła przeszklone drzwi prowadzące na taras.

– Tu zawsze sobie siadam – powiedziała.

Roztaczał się stąd widok na rzekę i lofty z mieszkaniami naprzeciwko. O tej porze balkony świeciły pustkami; widać było drogie żagle słoneczne i meble o wodoodpornych obiciach, opuszczone żaluzje zasłaniały drzwi. W dole przepływała para kajakarzy.

– Nawet tu miło – stwierdziłam.

Pani Kirsch kiwnęła głową, ściągnęła usta w dzióbek i pociągnęła łyk kawy.

– Moja koleżanka, z którą zawsze robiłyśmy tutaj wszystko razem... – zaczęła, wskazując na pomieszczenie z tyłu. – Zmarła...

Na chwilę zamilkła. Wydobyłam z siebie bezradne „ojej” i spojrzałam na nią. Ponownie kiwnęła głową i wzięła kolejny łyk kawy.

– Tak, dlatego szukamy kogoś nowego. Mówię ci, to był szok. Nikt w ogóle się tego nie spodziewał. Jeszcze mi napisała, że jest chora, a ja myślałam, że to zwykłe przeziębienie, ale potem dostała zakażenia czy coś w tym stylu, zabrali ją do szpitala i tam zmarła. Kiedy szeﬀ poprosił

mnie do swojego gabinetu, od razu pomyślałam, że zrobiłam coś nie tak, a gdy powiedział, że mam usiąść, byłam pewna, że mnie zwalnia. A on, że pani Schmidt nie żyje, a ja pomyślałam... Nic nie pomyślałam poza tym, że dobrze, że siedzę.

Palisz? Nie? Bogu dzięki, wreszcie ktoś, kto nie pali, nie znoszę tego paskudztwa.

– Wcześniej pracowałam w Amazonie, tak, też tam sprzątałam, i powiem ci, że to był horror. Tam traktują cię jak śmiecia, jak brud, który masz zmyć. Sprzątałam w magazynie, wszystkie te regały i stanowiska do pakowania, i nie było nawet chwili, żeby tak jak teraz chociaż wypić kawę. I tak sobie tylko myślałam: „Czas stąd spadać!”. Już wcześniej zaczęłam szukać innej roboty, w tajemnicy. Szef mnie przyjął tutaj, więc powiedziałam w Amazonie: „Czółko!”.

Jesteś dobrą pracownicą. Wcześniej mieliśmy taką z urzędu, nic jej się nie chciało, już na początku – pierwszego dnia – się spóźniła, a potem cały czas chodziła skwaszona. I wszystko trzeba było za nią zapisywać, powtarzać trzy razy, by wreszcie chwyciła za szmatę, z nosem spuszczonej na kwintę. Następnego dnia po prostu nie pojawiła się w pracy. Ty a ona to niebo a ziemia.

Uśmiechnęła się do mnie znad kubka kawy, jej oczy okalały kurze łapki.



Gdy jechałam rowerem do domu, z naprzeciwka nadszedł mężczyzna w zakurzonych spodniach. Rzucił mi przyjazne spojrzenie, w którym, choć trwało zaledwie milisekundę, dostrzegłam cień porozumienia. Wciąż miałam

na sobie białą koszulkę, a wiatr w trakcie jazdy potargał mi włosy, posklejane od rozpylanych środków czystości. Tego dnia spryskałam płynem do mycia łazienek wiele umywalk, a gdy pochylałam się, by wyczyścić je od dołu, płyn niczym delikatna mżawka osadzał mi się na włosach; spryskałam wiele muszli klozetowych środkiem enzymatycznym, tym różowym, perfumowanym płynem, który osiadał mi w gardle, przez co kaszlałam przy każdym psiknięciu. Mężczyzna uśmiechnął się, już teraz, po tych kilku godzinach, dostrzegł na mojej twarzy charakterystyczne zmęczenie, a biała koszulka nie pozostawiała złudzeń. Mogłam być opiekunką osób starszych, sprzedawczynią w piekarni, pracownicą fabryki, która zanurza blachę w ługu, laborantką, kobietą, która popycha korytarzami wózek z wiadrami wypełnionymi po brzeży wodą i wyciera z kurzu modele samolotów adwokata od prawa ochrony środowiska, z tym że nikt nie musiał mi tłumaczyć jego poleceń; oczy zdążyły mi się już skurczyć do małych perełek, a skóra wokół ściągnąć, przypominając pogniecione prześcieradło.

Tata żyje w przeświadczeniu, że studia i przeprowadzka do innego miasta otworzyły przede mną drzwi do innego, niedostępnego świata, na rzecz którego mnie utracił. Od owego świata dzieli go poczucie kompletnej bezsilności. Jego dewiza brzmi: „Coś się samo pojawi”. Gdy odpowiadam, że bezczynność do niczego nie prowadzi, macha ręką, „Ach – mówi – się zobaczy, co takiego...”, ale nie kończy zdania. Sama długo tak myślałam, aż w pewnym momencie ze swoim skromnym cv pod pachą poszłam do urzędu pracy. Na miejscu nikt nie wiedział, co ze mną począć. Wszyscy z niedowierzaniem zadawali te same pytania („Zero praktyk?”). Wysłali mnie do agencji pracy tymczasowej, co skończyło się fiaskiem, bo tam nie chcieli mnie przyjąć nawet do pomiaru ruchu drogowego; odesłali mnie więc z powrotem do pierwszego urzędnika, a stamtąd na szkolenie, które miało mi pomóc znaleźć pracę.

Kobieta prowadząca kurs bardzo powoli uzupełniała słowa w moich pisanych niestrudzenie listach motywacyjnych. „Hmm”, mruzczała za każdym razem, gdy nie była zadowolona z któregoś ze sformułowań i zastępowała je określeniami „absolwentka” lub „wyuczyc się”.

– Naprawdę nikt nie odpowiedział? To niemożliwe!

Kartkowała moje dokumenty; tekst napisałam Aria-lem i użyłam standardowej interlinii, tak jak mnie tego nauczyła. Drukarka pozostawiła na papierze smugi, bo skończył mi się toner.

– Tak to pani wysłała? – zapytała.

– Nie, jako PDF, wydrukowałam je tylko dla pani.

– Okej – odparła. – Czyli to nie dlatego.

Podniosła wzrok znad papierów i kliknęła w jakiś widoczny tylko dla niej przycisk na ekranie.

– Żeby nie siedziała pani bezczynnie całymi dniami – rzuciła i kilkoma kliknięciami myszki wybrała nowe ogłoszenie. Już chciałam powiedzieć: „Nie siedzę, chodzę przeciw...”, ale nie zdążyłam.

– Dlaczego nie była pani na żadnych praktykach? – zapytała. – Na a n i j e d n y c h, czy one nie były obowiązkowe?

– Nie, nie były.

Nie wspomniałam o tym, że wtedy mi to odpowiadało.

– Może musi pani lepiej zaprezentować swoje dotychczasowe osiągnięcia – powiedziała.

Drukarka z jednostajnym buczeniem wypluła ogłoszenie. Wydawnictwo edukacyjne szukało doktoranta w zakresie dydaktyki. Gdy zaprotestowałam, że nie jestem doktorantką i nie mam pojęcia o dydaktyce, machnęła ręką. Stwierdziła, że nie trzeba zawsze w stu procentach spełniać wszystkich wymogów; czasem należy zdobyć się na odwagę i nagiąć fakty tak, żeby pokazać się w jak najlepszym świetle. Następnie wyciągnęła długopis i zapisała przykładowe zdanie, którego poleciła mi używać w listach motywacyjnych. Jednocześnie czytała na głos:

– „Dzięki temu, że uczęszczałam do różnych szkół, dokładnie zapoznałam się z wymaganiami systemu

edukacji”. Szkoła główna, realna, gimnazjum, była pani w nich wszystkich, prawda?

Po kilku sekundach, w trakcie których udawałam, że czytam ogłoszenie, zapytała:

– A tak właściwie to dlaczego?

Obniżyła ton do konspiracyjnego szeptu jak w nieoficjalnej rozmowie, w której mogę jej zaufać.

– Miałam wtedy złe oceny – odparłam.

Natychmiast zrozumiałam, że nie jest to odpowiedź, jaką chciałyby usłyszeć, mimo że to była prawda, fakt widoczny gołym okiem. Prosty związek przyczynowo-skutkowy: to przez złe stopnie zostałam wydalona ze szkoły i trafiłam na okrężne drogi. To, co uznała za mój główny atut, czyli doświadczenie zdobyte w różnych placówkach – „szkole głównej, realnej, gimnazjum” – wymagało teraz określenia głębszej przyczyny.

– Ale dlaczego? – zapytała ponownie, z większym naciskiem i lekkim zwątpieniem. – Wydaje się pani przecież całkiem rozgarnięta!

Gdybym po wydaleniu ze szkoły ponownie nie podjęła edukacji, moja porażka byłaby zrozumiała także i teraz. „Dlaczego” urzędniczki, tak samo jak dyrektora szkoły, nie byłoby konieczne. Wszyscy oglądaliby moje słabe świadectwo z dziewiątej klasy i wrzuszali ramionami. „Sama jest sobie winna”. Nie wpadliby na to, że przyczyna może tkwić gdzieś głębiej. Gdybym przedwcześnie przerwała naukę i zamiast ją kontynuować, wyuczyła się zawodu kierowcy albo ogrodnika, albo próbowała wiązać koniec z końcem, podejmując się drobnych prac, nikt nie łamałby sobie głowy moim wybrakowanym cv. Mimo że wówczas wytrzymałam, siedziałam cicho, mówiłam bez zgłaszania się, znalazłam niewiadomą, uczyłam się

stosować wiedzę z jednej dziedziny w innych obszarach, aż opanowałam każdą metodę, i jeszcze odnosiłam przy tym sukcesy, teraz z twarzy urzędniczki biła tylko bezsilność. Co ze mną począć? Jak wytłumaczyć luki i niewidoczne przeszkody?

Wzięłam do ręki szary papier z adresem wydawnictwa naukowego, do którego miałam wysłać list motywacyjny. Na odwrocie mojego cv urzędniczka drukowanymi literami napisała przykładowe zdanie.

– Może ją pani zatrzymać – zapewniła, wskazując długopisem na kartkę. – Odwagi!



Po powrocie do domu zamknęłam za sobą drzwi i stanęłam w korytarzu przed lustrem. Moja skóra była inna niż kiedyś, cieńsza, na czole pojawiły się wystające żyły, nawet jeśli urzędniczka dała mi pięć lat mniej. Musiało chodzić o moje dziecięce spojrzenie, wzięte żywcem z dwunastej klasy. W lustrze widziałam jednak, że pod oczami mam cienie, prawie jak wtedy, gdy nie rozpoznałam swojego odbicia w szybie drzwi tarasowych domu na skraju pola. Zanikający kolagen sprawił, że powoli uwydatniła się blizna pod moim lewym okiem. Gdy obróciłam twarz w stronę światła i lekko się uśmiechnęłam, zauważyłam dwie płaskie bruzdy po ugryzieniu psa. Kto nie znał tej historii, mógł pomyśleć, że to asymetryczne kurze łapki. Jeszcze można je było ukryć pod makijażem, ale z czasem na pewno będzie je widać coraz bardziej. Coś jednak zostało. Coś jednak się uwidoczniło.

Zdjęłam torbę z dokumentami, wyłączyłam światło w korytarzu i ponownie otworzyłam drzwi, drugi raz

nie podnosząc wzroku, bo w ciemności nie patrzyłam w lustro; przesąd, w który wierzyłam od lat.

Nieopodal mojego mieszkania była duża, otoczona piaszczystą ścieżką łąka, a za nią miejski las, do którego nigdy nie wchodziłam. Czułam tylko jego zapach, zwłaszcza wtedy, gdy tak jak teraz wszystko nasiąkło wodą: mokre liście i ziemia, gałęzie, grzyby, mech. Liczyłam na to, że udzieli mi się spokój bijący od rozległej łąki, że nabiorę sił do wypełniania formularzy: „Dokumenty aplikacyjne wysłałam w dniu – pracę otrzymałam / pracy nie otrzymałam w dniu –”. Po jednym, dwóch okrażeniach serce waliło mi młotem i czułam lekkie kłucie w płucach od lodowatego powietrza. Tylko wysiłkiem, tylko własną aktywnością można osiągnąć upragniony cel. Ów dysonans, wrażenie, jakby moje własne „ja” stało tuż za mną i naśladowało wszystkie moje czyny, nie dopuszczał czegoś takiego jak jaźń, która niczym w wyniku erupcji łączyła ciało i myśli, ciało i świadomość, ciało i ducha – by użyć tego określenia. Ruszyłam ścieżką przez łąkę, mijając pojedyncze źdźbła traw, wysuszone i znów rozmoknięte od śniegu i deszczu, pod stopami miałam brązowe błoto i wyobraziłam sobie, że znów idę nadrzeczną łąką w naszej miejscowości, a drzewa, które widzę kątem oka, to w rzeczywistości krzaki jeżyn. Czasem wydawało mi się, że powietrze ma kwaśny zapach soli i spalenizny, i jeśli pójdę dalej, dotrę do Srebrnej Farmy; zaraz pojawi się kładka, odsłaniając widok na wodę, most i kominy, zaś na drugim końcu ukażą się góry, a ja chwilę później wejdę do domu i wszystko będzie wciąż znajdowało się w dalekiej przyszłości. Tu spotykała się przeszłość z teraźniejszością, na tej rozmięklej od deszczu łące, tuż pod moim lewym okiem.

Gdy w ostatnie święta Bożego Narodzenia siedzieliśmy nad pokrojoną pieczenią, panował całkowity spokój. Nie grała muzyka, gitara stała zakurzona w kącie i słyhać było jedynie, jak tata zgrzyta widelcem po talerzu, zsuwając resztki pieczeniowego sosu. Od śmierci dziadka parter stał pusty i oba piętra powyżej cały czas pozostawały niezamieszkałe. Właściciel wprawdzie co jakiś czas wracał do tematu wynajęcia mieszkania dziadka, ale tata przeciągał remont w nieskończoność i nieustannie prosił go, by jeszcze poczekał. Wzbraniał się przed tym, by zatrudnić kogoś, kto załatwi to za niego, bo uważał, że żadna firma nie sprostą zadaniu. Wolał zrobić wszystko sam, i to najlepiej, jak potrafił, przez co nigdy nie wychodził poza etap planowania. Zajęcie się sprawą niechybnie oznaczałoby popełnienie jakiegoś błędu. Objaśniał mi, co trzeba zrobić: oszlifować i pomalować okna, pokostować podłogi i położyć nowe tapety na suficie; z podwórza należało usunąć wielkogabarytowe śmieci i pozbierać z ziemi gałęzie, w końcu „tej jesieni mocno wiało”. Ponadto musiał posprzątać piwnicę, w której wilgoć dawno już zniszczyła stare drewniane sanki, przenikła kartony i oszczędziła tylko przedmioty z plastiku i lakierowanego metalu, puste butelki zwrotne w skrzynkach po napojach i przeterminowane kartony z sokiem, który zamienił

się w gęstą maź. Każde z pomieszczeń w piwnicy było pozostawiane rzeczami, niczym mieszkanie z wilgotnego kamienia. Najpierw musiał posortować pamiątki, poukładać stare zabawki i zdecydować, które zatrzymać, które oddać, a które wyrzucić, ja zaś wiedziałam, że pierwszy stos okaże się największy.

– Najemca zawsze chce mieć też własną piwnicę – stwierdził.

Może uniknąłby sprzątań jednej z piwnicznych komórek, gdyby mieszkanie wynajęli młodzi ludzie bez wielkich wymagań, na przykład uczestnicy kursu zawodowego w jednej z fabryk w parku przemysłowym.

– Tylko nie studenci – stwierdził. – Ci mają za dużo czasu, tylko siedzą w domu.

Przyszły lokator miał nie być taki „ą i ę”, powinien okazywać wyrozumiałość wobec stosów starych gier planszowych i kartonów wypełniających korytarz, które tata na razie wydobył z piwnicy i chciał sprzedać komuś, kto by je docenił.

– Wynika to z tego – zaczął i zawahał się, wbijając na widelec ostatni kawałek mięsa – że rodzina straciła wówczas dom w czasie bombardowania, i to dwukrotnie.



We wszystkich domach w miejscowości za frankami paliło się światło. Rozdano już prezenty i przez okna widać było, jak butelki wina i talerze wędrują z jednego pokoju do drugiego. Minęłam kościół, zakrystian zamykał dom parafialny i wstawiał do środka stoliki bankietowe; jak zawsze odbędą się dziś zawody w picu koźlaka, późnym wieczorem po mszy, gdy dzieci pójną spać.

Pikka z Sophią tradycyjnie spędzali Wigilię we dwójkę we wspólnym już mieszkaniu na strychu. Usiadłam na sofie, którą Sophia przykryła narzutą, zasłaniając staromodne obicie z aksamitu, i dostałam gin z tonikiem i korkową podstawkę. Nie było ultrafioletu rozświetlającego drinka, w piwnicy Pikka urządzał tylko większe imprezy. Pod małą, ozdobioną kolorowymi lampkami sztuczną choinką leżał zgnieciony papier do prezentów. Do kolekcji zdjęć na jednej z belek doszło kolejne: Pikka z Sophią na plaży, w ramce w kształcie serca, wokół słupów girlanda z kwiatów, za nimi zachodzące słońce; w czerwonym świetle wyglądali jak ludziki wycięte z papieru. Sophia włączyła telewizor i ściszyła dźwięk, leciała właśnie powtórka *Tańca z gwiazdami*. Pikka postawił na stole słone paluszki w dwóch kubkach.

Razem z Sophią zadomowili się w mieszkaniu na strychu i swoim obecnym życiu, jak gdyby była to oczywistość. Pikkę czekało jeszcze pięć egzaminów do dyplomu przyuczenia do zawodu, a następnie firma najprawdopodobniej zaoferuje mu pracę. Na jego drodze nie było przeszkód. Przed południem rzadko kiedy pojawiał się w auli, pod koniec nauki miał już tylko pojedyncze wykłady; popołudniami stał w białym fartuchu przy maszynach mieszających. Gdy po raz pierwszy wolno mu było takową obsłużyć, wysłał mi zdjęcie, na którym stał w za dużych okularach ochronnych, uśmiechał się szeroko i wyciągał uniesiony do góry kciuk. Wyglądał na szczęśliwego, gdy tak siedział na kanapie, w pokoju, który z jego kawalerskiego gniazodka przeobraził się w mieszkanie dla pary. Butelki po nalewkach wciąż stały na regale, a za nimi komiksy z Simpsonami. Sophia założyła nogę na nogę, także w jej przypadku nauka zawodu

miała zakończyć się lada dzień. Pracowała na część etatu w przedszkolu prowadzonym przez okoliczny kościół; i teraz, zamiast uczestniczyć w zajęciach grupowych, grając w tabu i jengę, zaczęła sama je prowadzić – trochę tak, jakby po prostu usiadła na kolejnym krześle w kręgu.

– Jeśli istnieje taka możliwość, nauka w szkole powinna trwać jak najdłużej – stwierdziła.

Opowiadała mi, ile godzin już wkrótce będzie spędzać w pracy, o tym, że dzieci drą się wniebogłoso, a w większym przedszkolu będzie tylko gorzej; po skończonych studiach chciała rozejrzeć się za stanowiskiem kierowniczym i w którymś momencie zająć się koordynacją, powoli odchodząc od „dyżurów dziecięcych”.

– Właściwie zrobiłaś wszystko, jak należy – dodała ze śmiechem.

Zapytała, czy ktoś chce jeszcze kolejkę ginu.

– Tak, ja poproszę! – zawołał Pikka.

Moja szklanka była jeszcze prawie pełna. Usiadłam pomiędzy nimi, a oni zaczęli rzucać sobie porozumiewawcze spojrzenia. Gdy Sophia zorientowała się, że to widzę, przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. Pikka dostał od niej szlafrok, a sam podarował jej bilety na kabaret w mieście. W łazience obok umywalki stały dwie końcówki elektrycznej szczoteczki do zębów, mleczko do demakijażu marki Bebe, a także kremy na dzień i na noc, z których jeden pachniał kwiatami, a drugi watą cukrową. W miseczce z przezroczystego akrylu Sophia trzymała gumki do włosów i wsuwki, razem z pomadką ochronną o spiczastej końcówce, bo zwykła malować jednocześnie górną i dolną wargę. Przez okno widziałam otwartą bramę na podwórko i odcinek ulicy prowadzącej do Aldiego, a nad dachami rozpościerały się korony platanów.

Gdy zeszlśmy do piwnicy domu parafialnego, mieszkańcy stali już wokół stołów. Światło było przyciemnione, reflektory pozostałe z jasełek oświetlały zakamarki i mural, namalowany przed laty przez Pikkę i jego kolegę: napisane kwadratowymi literami hasło: „Strefa młodych”. Starsi wyglądali smutno, choć nie zdawali sobie z tego sprawy, gdy w tej „Strefie młodych”, gdzie niegdyś sami obchodzili swoją osiemnastkę, siedzieli podchmieleni w wełnianych kamizelkach, z siwymi pasemkami na skroniach zaczesanymi do tyłu. Tata Pikki stanął obok mnie i zaczął opowiadać o motocyklach, doskonale wiedząc, że nie mam na ten temat zielonego pojęcia i dlatego może mi wszystko wyjaśnić; podchmielony podniósł głos i gdy mówił o częściach zapasowych do starszych modeli, nachylił się blisko mojego ucha. Wśród gwaru rozległo się stukanie widelcem w butelkę. Pikka. Od razu wiedziałam, o co chodzi. Tuż obok stała Sophia, która ze łzami w oczach uśmiechała się nieśmiało, tak jak wcześniej w mieszkaniu, teraz jednak nie starała się już tego ukryć. Pikka ugiął ręce w łokciach, w dłoni trzymając butelkę piwa i widelec, i zawołał:

– Wczoraj rano się zaręczyliśmy!

Rozległy się oklaski, po chwili wszyscy powrócili do rozmów. Atmosfera panująca na sali wydawała się teraz bardziej swobodna; ktoś włączył muzykę, tę samą, która leciała o poranku w lokalnym radiu, gdy wszyscy jechali do pracy. Ludzie ustawiali się w kolejce, by pogratulować narzeczonemu. Patrzyłam, jak wszyscy po kolei obejmują najpierw Pikkę, a potem Sophię, mówią kilka, jedno, dwa zdania, po czym wracają na swoje miejsca.

– Pikka! – zawołał ktoś z tyłu sali.

Tata Pikki, który stał obok mnie, z założonymi rękoma opierając się o stolik, odpowiedział:

– Tak?

Obrócił się i zrozumiał, że chodzi o jego syna.

W trójkę pochyliliśmy się wówczas nad zdjęciem kobiety z kościoła, wpatrując się w nabiegłe krwią oczy, a także wykrzywione usta, które wyglądały jak oderwane i znalezione w pokrytym gruzem przejściu między ławkami. „Jak na wojnie!”, zacytowano jednego z naocznych świadków zajścia następnego ranka, gdy ruszyły prace porządkowe i zaczęto wnosić rozsądzone drewniane ławki oraz zamiatać szkło na ulicy. Kiedy tylko udało się ustalić tożsamość kobiety, zdjęcie zniknęło z gazet. Rodzice Sophii i Pikki wyrzucili to wydanie, mój tata zaś je zachował, z zamiarem archiwizacji. Gdy wychodził z kuchni, wyciągałam je czasem z wysokiego stosu, by porównać zdjęcie z tym, które miałam w pamięci. Wpatrywałam się w oczy martwej kobiety i wyobrażałam sobie, jak siedzi w przyciemnionym pokoju i idzie chodnikiem do domu. Co nią kierowało, wandalizm czy nadzieja na poprawę własnego losu? Widzę, jak tymi oczami patrzy na naszą miejscowość, a obraz wykrzywia się w kącie pola jej widzenia, i jak szybkimi ruchami owiązuje się wokół pasa granatami.



Potrząsam głową, a mój wzrok znów pada na szyld Srebrnej Farmy. Z jak wielką pokorą w dzieciństwie kierowaliśmy ku niemu swe spojrzenia! Kowboj musiał umrzeć, zanim wypełnił swoją misję, tego Pikka był pewny; kto wie, na czym ona polegała. Czy po prostu nadeszła burza i, gdy próbował zabarykadować swoją chatkę, trafiła go w głowę spadająca gałąź (wiatr dął przez gałęzie, cofnęliśmy się o kilka kroków)? Czy musiał pokonać wroga, który groził, że zabije go, ostatniego członka rodziny – czy zaszedł go ktoś z tyłu w chwili, gdy chciał wyczyścić zdjęcia roztworem wody z octem?

– To kobieta z kościoła! – zawołała Sophia.

Uniosła ręce i wykrzywiając twarz, podeszła do nas i dała nam kuksańca. Pikka zaprotestował; co za bzdura, duch kobiety z kościoła może co najwyżej straszyć w kościele. Jego zdaniem wydarzenia, które kosztowały kowboja życie, nie były niczym wyjątkowym; po prostu umarł w wyniku głupiego zbiegu okoliczności, na coś zachorował, może nagle dostał zawału z poczuciem, że nie załatwił jeszcze wszystkiego, a teraz nie może pogodzić się z myślą, że nie żyje, i definitywnie odwrócić się od farmy, dlatego cały czas powraca. Tak przynajmniej zawsze było w historiach o duchach.



„Jesteś jeszcze młoda, wszystko jest w twoich rękach”.

W głowie słyszę słowa Cansu. Miałam wówczas tylko dwie możliwości: odejść w całkowitej ciszy albo w okropnym hałasie. Nie przyszło mi na myśl, że może istnieć jeszcze trzecia możliwość. „A jeśli to wciąż prawda?”, pomyślałam, idąc betonową drogą w pobliżu rzeki.

Korzenie, przez które niegdyś popękała nawierzchnia, dawno już wyrównano, a pęknięcia ponownie zalano betonem. Patrzyłam na głązy i domy po drugiej stronie rzeki. Wierzyłam w słowa Cansu tylko do pewnego stopnia. Widziałam szarobrązowe gałęzie wierzb, wszystko było nieprzyjemne w dotyku; nic ze sobą nie współgrało. Właśnie dlatego powtarzałam sobie, że „wszystko jest w moich rękach”, usiłując w to uwierzyć i czerpać z tego nadzieję silniejszą od wszystkiego, co pewne, silniejszą od obu tych możliwości. Wzięłam się stąd, z tej rozległej łąki z krzakami jeżyn, z mostu Fabrycznego, wyłączzonego z ruchu i splekanego od słońca, z szumu unoszącego się za hałdami węgla i nad miasteczkiem, z rzeki wylewającej każdej wiosny na drogę, ze śniegu pokrywającego ziemię gęsto porośniętą ostami.

Światło powoli gaśnie. Róż przemienia się najpierw w pomarańcz, potem lekko zabarwia się na niebiesko, przez kilka chwil będzie wciąż jasno. Mogę tu jeszcze postać, słysząc w tle znajomy szum oczyszczalni ścieków, który daje mi oparcie.

Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku usunięto wszelkie ślady eksplozji. Na ścianie znajduje się nowa ambona, a artyście zlecono odtworzenie witrażu i wyczyszczenie fresków na kopule z bryzgów krwi. Pikka z Sophią stali z przodu, ona w białej sukni z tiulem pod spódnicą; włosy układały jej się w luźne loki, pojedyncze pasemka spięła z tyłu głowy malutkimi perłowymi spinakami, a kąciki oczu pomalowała srebrnym cieniem do powiek. Pikka pocałował świeżo upieczoną żonę. Goście w ławkach zaczęli klaskać.

Przed kościołem objęliśmy się, złożyłam im życzenia i powiedziałam coś w stylu: „Był już najwyższy czas”, po czym wybuchnęliśmy śmiechem, na twarzy Sophii pojawiło się rozgorączkowanie, a w oczach łzy. Jeszcze przez chwilę mimo zimna zostałam na placu przed kościołem i spoglądałam na studnię po drugiej stronie. Starsza kobieta, prawdopodobnie babcia, zapytała szelmowsko: „No i co teraz?”, a mogła mieć na myśli tylko wnuki; nowożeńcy wyjaśnili, że chcą zostać w mieszkaniu na poddaszu, aż skończy się remont w oficynie. Niektórzy goście palili papierosy (nie znoszę zapachu dymu na mroźnym powietrzu). Gdy weselnicy skierowali się do domu parafialnego, gdzie serwowano obiad (gęsinę albo

wołowinę), odłączyłam się od grupy i szybkim krokiem ruszyłam w dół ulicy do domu.

Usiadłam w swoim dawnym pokoju, gdzie w dzieciństwie, otwierając okna, próbowałam wypuścić dym papierosowy. W kuchni panowała cisza. Przed opuszczonymi do połowy żaluzjami widziałam drzewo, które w ostatnich latach niepostrzeżenie wystrzeliło w górę, i opustoszałe podwórko pokryte lepkiem śniegiem. Miałam poczucie, że zaraz ktoś wejdzie do środka, przekręci klucz w drzwiach, a ja będę musiała bronić tego domu – tylko przed czym? Przed naciskiem, wiszącymi nisko kwaśnymi chmurami, niezapowiedzianym gościem, obcymi z naszej miejscowości? Zaczęłam pakować swoje rzeczy, choć chciałam zostać jeszcze dwa dni, a nie miałam pieniędzy na wymianę biletu. Do plecaka powciskałam pogniecione ubrania. Gdy usłyszałam stukot zamka w drzwiach, tym razem naprawdę, pospiesznie wstałam, zamknęłam okno i wyszłam do taty na korytarz. Powiedziałam, że niespodziewanie muszę wracać; coś mi wypadło, rozmowa o pracę, przykro mi, ale nie mogę przegapić takiej okazji. Tata trzymał w dłoni siatkę pełną zakupów, widziałam, że kupił truskawki.

Zeszłam ulicą w dół, aż dotarłam do wzgórza. Ruszyłam drogą prowadzącą wzdłuż łąki, a po chwili pędziłam na przełaj po zamarzniętej trawie. Kilka razy potknęłam się, ale nie przewróciłam, uparcie biegnąc w stronę drzewa, które podczas letniej burzy spadło przed laty tuż przede mną, złamało niczym pojedyncza gałąź w trakcie wichury. Cienkie kikuty sterczały w powietrzu, czarne i zdrewniałe, ponakrapiane zamarzniętymi resztkami śniegu i świeżym puchem, który spadł dziś przed południem. Szłam dalej wzdłuż rzeki, coraz dalej przez namoknięty śnieg,

a następnie w prawo, połą drogą, w stronę słupa wysokiego napięcia, aż dotarłam do Srebrnej Farmy.

Zapał zmrok, drzewa rzucają rozmyte cienie; nic się nie rusza. Za ogrodem widzę leżące odłogiem pole.



W korytarzu objęłam tatę. Zapytałam, czy na pewno nie ma nic przeciwko.

– No co ty – powiedział i przez chwilę popatrzył na mnie i mój zarzucony na plecy bagaż.

Otworzyłam drzwi, drewno zaskrzypiało, zazgrzytał zamek i gdy trzymałam jeszcze w dłoni gałkę, usłyszałam za plecami jego słowa:

– Jak ci się nie uda, możesz wrócić do domu.

Przypisy

(wszystkie pochodzą od tłumaczki)

- s. 40 | Mundstuh1 – duet kabaretowy, który stworzył postaci Dragana i Aldera. Ich dialogi prowadzone były w etnolekcie typowym dla tureckich imigrantów.
- s. 116 | Reforma języka niemieckiego z 1996 r. miała na celu uproszczenie zasad ortografii. Zmianie uległy m.in. pisownia wielką i małą literą, zastosowanie przegłosu czy zasady interpunkcji.

Posłowie tłumaczki

Powieść Deniz Ohde *Streulicht* ukazała się w Niemczech w sierpniu 2020 roku nakładem prestiżowego wydawnictwa Suhrkamp i odbiła szerokim echem w prasie. Bardzo szybko pojawiły się nominacje do nagród literackich, w tym tej najważniejszej w Niemczech, czyli Deutscher Buchpreis – powieść znalazła się na krótkiej liście i została bestsellerem. Dziennikarze i dziennikarki przyrównywali opisywane przez Ohde doświadczenie wstydu i wykluczenia do historii klasowej Didiera Eribona, Édouarda Louisa czy Annie Ernaux. Krytyka doceniła umiejętność autorki do zwracania uwagi na detale i posługiwania się wyważonym językiem w tworzeniu opisów, które na długo pozostają w pamięci.

W powieści centralną rolę odgrywa system edukacji, który różni się od tego, jaki obowiązuje w Polsce (jest on różny także w zależności od landu). Decyzja o ścieżce kształcenia jest podejmowana stosunkowo wcześnie, bo już po ukończeniu szkoły podstawowej, która zazwyczaj trwa cztery lata. Szkoła wydaje opinię na temat zdolności dziecka – opinie rodziców i ucznia/uczennicy są brane pod uwagę, ale nie zawsze mają wpływ na ostateczną decyzję – i zaleca wybór typu szkoły, w której dziecko będzie kontynuować naukę, tym samym w znacznej

mierze definiując jego przyszłość. Istnieją trzy typy szkół: *Hauptschule* (szkoła główna), *Realschule* (szkoła realna) i *Gymnasium*, stanowiące odpowiednik polskiego liceum ogólnokształcącego; przyjmowane są do niego osoby, które w szkole podstawowej nie miały problemów w nauce. Edukacja w samym *Gymnasium* jest dwuetapowa: po ukończeniu pierwszego stopnia można kontynuować ją na drugim, a następnie podejść do matury. Adnotacja widniejąca na świadectwie bohaterki, gdy nie uzyskuje ona promocji do kolejnej klasy – „Konieczna zmiana typu szkoły” – sprawia, że jej drogi z przyjaciółmi się rozchodzą: oni kontynuują naukę w gimnazjum drugiego stopnia (w ich przypadku w tzw. gimnazjum zbiorczym), ona trafia do szkoły wieczorowej. Tam po raz pierwszy, na tle stosunkowo niskich wymogów, nauczyciele dostrzegają jej talent. Bohaterce udaje się nadrobić zaległości i kilka lat po swoich przyjaciółach podchodzi do matury, a następnie idzie na studia: realizuje plan, który jej ojciec, robotnik w pobliskiej farbyce, od zawsze uznawał za mrzonki.

Akcja powieści toczy się w czasach, gdy po zjednoczeniu Niemiec głównie w landach byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej wzmagają się ruchy antyimigranckie. To do nich nawiązuje bohaterka, gdy wspomina, że w telewizji można było zobaczyć płonące domy. Serię ataków na tle rasistowskim zapoczątkowały wydarzenia w saksońskim mieście Hoyerswerda we wrześniu 1991 roku, kiedy to kilkudziesięciu neonazistów obrzuciło kamieniami i koktajlami Mołotowa budynek zamieszkały przez robotników pochodzących głównie z Wietnamu i Mozambiku, a kilka dni później zaatakowało

ośrodek dla uchodźców. Z kolei rok później, w sierpniu 1992 roku, w Lichtenhagen, dzielnicy Rostocku, kilkuset neonazistów na oczach tłumu złożonego z blisko trzech tysięcy skandujących gapiów podpaliło ośrodek dla azy-lantów, w którym mieszkali głównie pochodzący z Wietnamu pracownicy kontraktowi. Cudem nikt nie zginął. Wydarzenie to przeszło do historii jako jeden z najtra-giczniejszych aktów rasizmu w Niemczech od zakończe-nia II wojny światowej. W 2015 roku na podstawie tych wydarzeń nakręcono film *Jesteśmy młodzi, jesteśmy silni*.

Akty ksenofobii stanowią tło opowieści bohaterki nie tylko w jej dzieciństwie, lecz także latach nastoletnich. W tekście mowa jest o zamachu w dzielnicy Mühlheim w Kolonii, który miał miejsce 9 czerwca 2004 roku. W sa-lonie fryzjerskim przy Keupstraße, znanej jako centrum społeczności tureckiej, doszło do eksplozji bomby. Ran-ne zostały dwadzieścia dwie osoby, w tym cztery ciężko, a siła wybuchu zniszczyła wiele okolicznych sklepów i samochodów. W 2011 roku do ataku przyznała się neonazistowska grupa terrorystyczna NSU (Nationalso-zialistischer Untergrund – Podziemie Narodowosocjali-styczne), która w latach 2000–2006 przeprowadziła serię zamachów, napadów i zabójstw lub ich usiłowania na tle rasistowskim i antyimigranckim. Tragiczne wydarzenia w Kolonii stały się kanwą filmu Fatiha Akina *W ulamku sekundy* z 2017 roku, nagrodzonego później Złotą Palmą dla Diane Kruger jako najlepszej aktorki oraz Złotym Globem za najlepszą produkcję nieanglojęzyczną.

Bardzo cieszę się, że do rąk polskich czytelników i czytelniczek trafia dziś przekład powieści Deniz Ohde. Mam nadzieję, że publikacja ta pomoże lepiej zrozumieć, w jak dużym stopniu klasa i pochodzenie rodziców (czy

też nawet jednego rodzica) potrafią wpłynąć na losy młodego człowieka we współczesnych Niemczech – i jaką należy wyciągnąć z tego lekcję.

Zofia Sucharska

